

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK

**PAWEŁ
WOJTUNIK:**
PiS stworzy państwo
równoległe, struktury
partyzancko-podziemne



WYSOKIE OBCASY
ŚMIAŁE
50 kobiet,
które zmieniły
Polskę



GAZETA
wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOŁNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Lećmy wysoko

Czym, z kim i po co dosłownie polecimy w kosmos ▶ 30



RYS. IGOR MORSKI

wydaje Agora SA
nr indeksu 348198



Antony Beevor:
Putin nie jest
tak sprytny jak Stalin



**Z miłości
do Jodie Foster**
Jak mnie nie pokochasz,
zabiję Reagana

**Władysław
Zamojski**
Dzięki niemu Morskie
Oko jest nasze

Agnieszka
KublikDo kogo Kaczyński
zadzwoi nad ranem?

Albo raczej kto będzie musiał po nocy odbierać telefony? To jest praktyczny problem. Prezes PiS nie miał pojęcia o zmianach standardu nadawania sygnału TVP i myślał, że mu Tusk w nocy wyłączył telewizję. Taki rudy i złośliwy, że go precyzyjnie namierzyl!

I Kaczyński był tym tak przerażony, że o 3 nad ranem zadzwonił do Mateusza Matyszkowicza, prezesa TVP (chyba musiał z nim się zaprzyjaźnić, do obcego by po nocy nie dryndał). Opowiadał o tym w wywiadzie, nie czując zażenowania z powodu nieogarniania rzeczywistości i tego, że budzi kogoś w środku nocy, bo chciał sobie pooglądać telewizję. „Otworzyłem telewizor, zobaczyłem, że nie ma sygnału, zadzwoniłem do jednej osoby, potem do drugiej, a potem do samego prezesa Matyszkowicza, czy to już, czy to sposób, który został zastosowany w stanie wojennym. Okazało się, że to tylko mój błąd, że nie dokonałem odpowiednich zmian w moim telewizorze”. Ciekawe, do kogo zadzwonił jako pierwszy? Błaszczak? Terlecki?

A teraz, choć PiS okupuje, blokuje, wpada w furję, będzie musiał się pogodzić z prawdziwą utratą anteny. Do prezesa TVP już po nocy Kaczyński zadzwonić nie będzie mógł.

Ale do kogo musi. Ktoś będzie miał obowiązek odebrania telefonu od Kaczyńskiego bez względu na porę.

Tomasz Sakiewicz. Może to on będzie teraz tym najważniejszym medialnym dyżurnym? Może bracia Karnowscy? Oj, chcieliby. Bo konkurentów nie brakuje. Już widać, że część propagandystów TVP chce się przenieść ze swoimi programami do TV Republika (z koleżeńskiej życzliwości zapytam: a co z prawami autorskimi? Możecie za to zabulić).

Żuż widać, że chcą poza TVP robić to samo, co robili przez ostatnie osiem lat w – jechać po KO i po Tusku. Jeszcze po Hołowni. To pomysł Kaczyńskiego na przetrwanie do wyborów i wygranie – być ofiarą, której się nie tylko współczuje, ale i na którą się glosuje, żeby ukarać zdrajcę.

Dlatego Kaczyński marzy o swoich silnych mediach, które zatrudniłyby rękę zwalnianych z mediów publicznych. – Ludzie, którzy podjęli trud, a jednocześnie i ryzyko funkcjonowania w polskich mediach, będą mieli i zatrudnienie, i możliwość przekazywania prawdy – taką obietnicę złożył tuż po wyborach.

Na wyrost. Żadna TelePiS News tu nie powstanie. Bo do tej pory media władzy, te rządowe i te prywatne, żyły w dużym stopniu na nasz koszt. Spółki skarbu państwa tam kierowały strumieniem reklam.

Może parę twarzy z propagandowej TVP na jakiś czas zahaczy się u Sakiewicza czy u Karnowskich. Ale reszta? Nie mają ciekawych perspektyw. Zapracowali na to. ●

Andrzej rysuje

Sylwester w Nowym Jorku
Patrz w kryształową kulę

FOT. TEDUARDO MUNOZ/REUTERS

31 grudnia o 23.59.00 na Time Square – jak co rok od 115 lat – wielki sferyczny witraż zacznie się zsuwać z 43-metrowego masztu. 60 sekund dzielące kulę od ziemi, a nas od nowego roku, będzie odliczać tłum zgromadzony na placu i jeszcze większy przed ekranami na całym świecie. M.in. piosenkarz Paul Anka, który uczestniczył w odsłonięciu tegorocznego kryształowego czasomierza.

Kod dostępu
do Wyborcza.pl

Wiadomości z kraju
i ze świata
czytaj teraz na
wyborcza.pl

**UŻYJ
BEZPŁATNEGO KODU**
i bądź na bieżąco
przez cały weekend *

WZ79AN5

- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostęp do serwisu w dniach 30.12.2023–1.1.2024 r.

Nie żyje Lee Sun-kyun z „Parasite”
Czarna scena

FOT. EDUARDO MUNOZ/REUTERS

Był jednym z najbardziej znanych aktorów koreańskich. „Nie mamy słów, żeby wyrazić nasz ból i uczucie straty. Apeluujemy, żebyście nie wierzyli i nie szerzyli nieprawdy o tym, co się stało, tak żeby ostatnia podróż Lee była sprawiedliwa” – napisała w oświadczeniu agencja reprezentująca Lee Sun-kyuna.

Zanim wystąpił w „Parasite”, był już doskonale znany koreańskim fanom kina i telewizji. „Parasite”, w którym zagrał bogacza, prezesa Dong-ik Parka, zostało nagrodzone Złotą Palmą i czterema Oscarami otworzyło mu drzwi na świat. Za rolę w „Dr Brain” był nominowany do Międzynarodowej Emmy. W tym roku w Cannes były pokazywane „Project Silence” oraz „Sleep” z jego udziałem.

Aktor miał kłopoty z prawem. W październiku został oskarżony o posiadanie narkotyków. (Co według koreańskiego prawa jest surowo za-

bronione. Policja, jak sama ogłosiła, prowadzi „wojnę totalną” z narkotykami). Był kilkakrotnie przesłuchiwany, ostatnio tydzień temu.

Oskarżenia zachwiały jego karierą, stracił m.in. rolę w produkowanym przez Apple serialu „No Way Out”. Kilka dni temu rodzina aktora zgłosiła jego tajemnicze zaginięcie. Lee Sun-kyun miał zostawić po sobie list pożegnalny. Według koreańskich mediów aktora znaleziono martwego w samochodzie w jednym z parków w Seulu. Policja prowadzi śledztwo.

Miał 48 lat. ●
Łukasz Kamiński

Odkrycia
2023

W dziedzinie fizyki ten rok należał do astrofizyki i komputerów kwantowych

• Czytaj ► Wyborcza.pl

Liczba dnia



FOT. SHUTTERSTOCK

14
MLN LAT

– o tyle musielibyśmy się cofnąć, szukając tak wysokiego stężenia dwutlenku węgla w powietrzu, jakie mamy dziś, na świecie żył jeszcze wspólny przodek ludzi, szympanów, goryli i orangutanów. A ponieważ koncentracja CO₂ w atmosferze wciąż rośnie, zmierzamy do świata, jakiego nie zna nie tylko nasz gatunek (*Homo sapiens*), ale i rodzaj (*Homo*). Rok 2023 zapisze się jako najgorętszy w historii globalnych pomiarów temperatury – czyli od XIX w.

Naprawa TVP. Początek udany, koniec za półtora roku

Prezydent pomaga rządowi

Andrzej Duda dał koalicji rządzącej piękny prezent gwiazdkowo-noworoczny

Wielowieyska



Prezydent Andrzej Duda dał koalicji rządzącej piękny prezent na Gwiazdkę: umożliwił legalne odcięcie PiS od TVP.

Minister kultury Bartłomiej Sienkiewicz w środę postawił TVP w stan likwidacji i wyznaczył likwidatora. Powodem tej decyzji było weto prezydenta w sprawie ustawy około-budżetowej, która gwarantowała finansowanie państwowej telewizji. Dziś zgodnie z prawem tego finansowania nie ma, a biorąc pod uwagę fakt, że TVP za czasów Zjednoczonej Prawicy była bardzo rozrzutna i jej finanse są w kiepskim stanie (PiS nie oszczędzał na topornej propagandzie), to nie ulega wątpliwości, że decyzja ministra ma mocne podstawy: spółka odcięta od budżetowej kropłówki wymaga restrukturyzacji.

Pod informacją na platformie X o likwidacji TVP urzędnik zarządzający kontem ministra pracy napisał: „Andrzej Duda może się nauczyć, że jak się sika przy wietrznej pogodzie, to nie na nawietrzną”. Ministra pracy Agnieszka Dziemianowicz-Bąk słusznie przeprosiła prezydenta za ten mało elegancki wpis, który nie przystoi instytucji publicznej. Niemniej merytorycznie – co do istoty problemu – analiza tego urzędnika była trafiona.

Z punktu widzenia politycznej taktyki weto prezydenta nie miało sensu od samego początku, biorąc pod uwagę to, że Rada Mediów Narodowych wybrała głosami PiS nowego prezesa TVP, a właściwie kontrprezesa Michała Adamczyka. Duda zablokował więc pieniądze dla człowieka ze swojego obozu, może po prostu nie wierzył, że nominacja Adamczyka ma sens w związku z tym, że wcześniej na stanowisko prezesa TVP został powołany przez ministra Sienkiewicza Tomasz Sygut. I Duda wetem zakomunikował to opinii publicznej.

Natomiast ruch PiS z Adamczykiem był sprytny, bo Krajowy Rejestr Sądowy miałby problem z wyjaśnieniem, dlaczego nie akceptuje tej decyzji. Przecież wcześniej rejestrował zmiany dokonywane przez Radę Mediów Narodowych bez zastrzeżeń. Dlatego po wyborze Adamczyka Sienkiewicz znalazł się w trudnej sytuacji. I decyzja o wecie prezydenckim była dla niego wybawieniem. Zyskał powód, dla którego mógł postawić TVP w stan likwidacji: po prostu nie ma na nią pieniędzy.

PiS się obawiał, że jedną z opcji nowego rządu będzie właśnie postawienie w stan likwidacji, i chciał to ostatnim rzutem na taśmę zablokować. Ale manewr się nie udał, bo ktoś zawałił sprawę i wysłał zmianę

statutu telewizji nie na tym formularzu, co trzeba.

Innego scenariusza minister Sienkiewicz nie mógł sobie wymarzyć. Jego pierwsza decyzja o wymianie zarządu TVP na podstawie kodeksu spółek handlowych była krytykowana nie tylko przez PiS. Sienkiewicz zignorował ustawę o Radzie Mediów Narodowych. Owszem, ta ustawa była niezgodna z konstytucją w świetle wyroku legalnego Trybunału Konstytucyjnego, no ale jednak obowiązywała. Aby cała operacja nie budziła wątpliwości, należało ustawę najpierw zmienić. Sęk w tym, że koalicja rządząca nie ma siły, by odrzucać weto prezydenta. A nie jest pewne, czy sąd uznałby argument ministerstwa, że w przypadku ustawy o RMN mieliśmy do czynienia z „wtórną niekonstytucyjnością”. Nie ulega wątpliwości, że rząd stał przed bardzo trudną decyzją: próbować zmienić władze TVP czy pozostawić tę szczytnię bez żadnych zmian i tolerować permanentne łamanie ustawy o radiofonii i telewizji, która nakazuje bezstronność i pluralizm przekazu w mediach publicznych.

Teraz tamten manewr z kodeksem spółek handlowych jest już nieaktualny, a Sienkiewicz może spokojnie ignorować wszelkie zarzuty i nie boi się tego, że Adamczyk będzie wpisany do KRS.

PiS jest więc w głębokiej depresji, co widać po wypowiedziach polityków tej partii. Prezes Jarosław Kaczyński opowiada, jaka to koalicja rządząca jest zła, ale jego wypowiedzi są dowodem bezsilności – posługuje się ogólnikami, jakby nie miał cienia pomysłu, co dalej. Ale w największym dołku jest minister Marcin Mastalerek, główny doradca prezydenta, który rozpaczliwie próbuje zatuszować błąd Dudy.

„Decyzja szefa MKiDN Bartłomieja Sienkiewicza o postawieniu w stan likwidacji TVP, Polskiego Radia i PAP to przyznanie się do porażki przez większość rządową; blitzkrieg się nie udał” – stwierdził w mediach Mastalerek. Jest dokładnie odwrotnie: udał się i to dzięki prezydentowi.

Nie można jednak tracić z oczu podstawowej kwestii: jak w przyszłości będą funkcjonowały media publiczne. I co zamierza w tej sprawie zrobić Koalicja 15 Października.

Najlepszym systemem powoływania władz instytucji, które powinny zachować niezależność od rządu, jest ten zastosowany np. przy wyborze prokuratora generalnego przed 2015 r. System ten polega na tym, że istnieje równowaga pomiędzy wpływami danego środowiska zawodowego i eksperckiego a wpływami polityków z demokratyczną legitymacją. Prawo wymuszało niejako kompromis pomiędzy tymi dwoma środowiskami. I tak np. ustawa o prokuraturze zakładała, że środowisko prokuratorskie wylaniało kandydatów na prokuratora generalnego – a spośród tych kandydatów pre-

zydent wybierał szefa prokuratury. Ten sam mechanizm obowiązywał w przypadku sędziów przed 2015 r.: Krajowa Rada Sądownictwa, gdzie dominujący głos miało środowisko sędziowskie, wskazywała kandydatów, ale ostateczną decyzję o nominacjach sędziów podejmował prezydent. Podobnie było w przypadku IPN: historycy i rząd musieli dojść do porozumienia.

PiS nie udało się zablokować postawienia TVP w stan likwidacji, bo ktoś zawałił sprawę i wysłał zmianę statutu telewizji nie na tym formularzu, co trzeba

Należałoby taki system stworzyć także w przypadku mediów państwowych. Władze TVP byłyby powoływane przez Krajową Radę Radiofonii i Telewizji, ale KRRiT, która jest jednak ciałem politycznym, powinna wybierać spośród kandydatów zgłoszonych przez środowiska artystyczne, twórcze i naukowe, a lista tych instytucji, które wskazywałyby kandydatów, miałaby być skonstruowana pluralistycznie. To znów wymusi współpracę i kompro-

mis pomiędzy stroną pozarządową i stroną polityczną.

Lecz być może przyjdzie nam poczekać na budowę tego mechanizmu. Dziś Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji jest zdominowana przez PiS. A są to ludzie, którzy kierują się tylko i wyłącznie interesem swojego obozu. Przeprowadzenie reformy przy ich udziale wydaje się niemożliwe. Wymiana członków KRRiT może nastąpić wtedy, gdy Sejm, Senat i prezydent odrzucą sprawozdanie tej rady. Andrzej Duda na to nie pójdzie, więc możliwość pojawiłaby się dopiero, gdy po wyborach w 2025 r. w Pałacu Prezydenckim zasiadłby kandydat z obozu anty-PiS.

Swego czasu Jacek Żakowski był krytykowany za pytanie: czy jesteśmy gotowi oddać telewizyjną Dwójkę PiS w ramach pluralizmu politycznego. Sam pomysł, traktowany dosłownie, jest bez sensu, ale ja słowa Jacka traktowałam w kategoriach skrótu myślowego. Chodzi po prostu o to, by nowy mechanizm wyłaniania władz mediów państwowych brał pod uwagę pluralizm polityczny oraz poglądy i wrażliwość różnych grup społecznych w naszym kraju. Niestety nie da się tego projektu zrealizować bez minimum kultury politycznej i otwarcia na kompromis wszystkich stron sporu.

Dominika Wielowieyska

Na 70. rocznicę śmierci Juliana Tuwima

Litania

Modlę się, Boże, żarliwie,
Modlę się, Boże, serdecznie:
Za krzywdę upokorzonych,
Za drżenie oczekujących,
Za wieczny niepowrót zmarłych,
Za konających bezsilność,
Za smutek niezrozumianych,
Za beznadziejnie proszących,
Za obrażonych, wyśmianych,
Za głupich, złych i maluczkich,
Za tych, co biegną zdyszani
Do najbliższego doktora,
Za tych, co z miasta wracają
Z bijącym sercem do domu,
Za potraconych grubiańsko,
Za wygwizdanych w teatrze,
Za nudnych, brzydkich, niezdarnych,
Za słabych, bitych, gnębionych,
Za tych, co usnąć nie mogą,
Za tych, co śmierci się boją,
Za czekających w aptekach
I za spóźnionych na pociąg,
– ZA WSZYSTKICH MIESZKAŃCÓW ŚWIATA,
Za ich kłopoty, frasunki,
Troski, przykrości, zmartwienia,
Za niepokoje i bóle,
Tęsknoty, niepowodzenia,
Za każde drgnienie najmniejsze,
Co nie jest szczęściem, radością,
Która niech ludziom tym wiecznie
Przyświeca jeno życziwie –
Modlę się, Boże, serdecznie,
Modlę się, Boże, żarliwie!



FOT. NAC

wyborcza.pl

Na Wyborcza.pl/magazyn: „Dziś pisałby o Ukrainie, Strefie Gazy i starsz-kach z alzheimerem” Jarosław Mikołajewski wyjaśnia, czemu powinniśmy czytać wiersze sprzed stu lat „Ciepłe, pocziwe liberały nie mogą na mnie liczyć” Osobiste dramaty i polityczne pomyłki Tuwima w reportażu historycznym Magdaleny Grochowskiej

NOWOROCZNY PLAN B

„Chcieć to móc”
sprawdza się tylko
w ludowych
porzekadłach.



Z PSYCHOLOGIEM **WIESŁAWEM ŁUKASZEWSKIM*** ROZMAWIA **DOROTA WODECKA**

Trzeba napisać tekst, a człowiek, zamiast przysiąc, zaczyna generalne porządki w mieszkaniu. Zna pan to?

– Znam to bardzo dobrze. Ilekroć mam coś ważnego do zrobienia, najpierw robię porządek w szufladach, w szafie i w szafkach kuchennych. Ale postrzegam to jako fazę mentalnego przygotowania się, żeby zacząć.

Takie czyszczenie umysłu?

– Niektórzy tak twierdzą, jednak bliższe prawdy są inne wyjaśnienia. Pierwsze to samouspokojenie: „Przecież się nie lenię, coś przecież robię”, a drugie, jeszcze bliższe prawdy, to samoutrudnianie: „Nie mogę przecież zabrać się do prawdziwej pracy, zanim nie posprzątam tego bałaganu wokół”. Obiektywnie łatwiej jest zrobić porządek w szufladzie z papierami, niż napisać rozdział do książki czy sporządzić bilans w swojej firmie, więc aby uciec od trudniejszego, skupiamy uwagę na łatwiejszym.

Z jakich jeszcze powodów odwołujemy?

– U niektórych ludzi odwołanie może mieć funkcję obronną, czyli odkłada się rozmaite rzeczy jako mechanizm samoutrudniania, żeby przeszkodzić sobie w osiągnięciu wyniku, głównie po to, aby zapobiec porażce, a co najmniej zapobiec skutkom porażki. Ale jest jeszcze inna kwestia. Z danych dotyczących zachowań studentów podczas sesji egzaminacyjnej wynika, a właściwie wynikało, bo nie są to najnowsze badania, że wtedy wzrasta spożycie alkoholu i intensywność życia to-

warzyskiego, czyli działania, które przeszkadzają w osiągnięciu dobrego wyniku egzaminacyjnego.

Zna pan i to?

– Oczywiście. Podczas moich studiów mieliśmy tak zwane sześciodniówki brydżowe, czyli przez sześć dni i sześć nocy graliśmy bez przerwy. Było pięciu zawodników i na zmianę jeden spał, a czwórka grała. Szanse, by się uczyć do egzaminów, były żadne. To samoutrudniające odwołanie ma jednak fantastyczną właściwość – zapewnia pożytek zarówno w warunkach sukcesu, jak i porażki. Jeśli grałem przez sześć dni i zdałem potem egzamin, to mogłem myśleć, że dotknął mnie palec boży. Gdybym nie zdał – wiadomo, nie zdałem, bo grałem w brydża. Nie grałbym, tobym zdał. Nadzwyczajnie użyteczny trik, do którego ludzie uciekają się dość nagminnie.

Jaki jest tego plus, a jaki minus?

– Samoutrudniające odwołanie – jak widać – jest skutecznym sposobem podtrzymywania dobrego mniemania o sobie i obrony samooceeny. Często powtarzane tworzy jednak fałszywy obraz własnej osoby i złudne przekonanie o własnej wartości.

Jest też inny scenariusz naszych zachowań. Najpierw silne postanowienie, wsparte pozytywnym myśleniem, że „z nowym rokiem nowym krokiem”. W lutym przychodzi do głowy myśl, że lepiej zacząć od wiosny. A potem już jest „byłe do lata”. Co jest nie tak z naszymi postanowieniami, skoro nie dość, że myślimy pozytywnie, to jeszcze mądrość ludowa powiada, że „chcieć to móc”.

– „Chcieć to móc” sprawdza się tylko w ludowych porzekadłach, a pozytywne myślenie w sytuacjach, kiedy zależy nam na dobrym samopoczuciu, a nie na efektywnym działaniu.

Lepiej od razu przyjąć, że i tak się nie uda?

– Lepiej pomyśleć, że łatwo nie będzie. Przywołam badania, w których uczestniczyły kobiety z nadwagą biorące udział w długoterminowym programie odchudzającym. Wszystkie miały myśleć o sobie, o zadaniu, jakie mają przed sobą, o skuteczności odchudzania i o jego wyniku. Dodatkowo jedna grupa kobiet miała myśleć pozytywnie – że sobie dobrze radzi, robi systematyczne postępy, a na końcu uczestniczki miały sobie wyobrażać, jak bardzo będą atrakcyjne, gdy schudną. Druga grupa przeciwnie, miała myśleć negatywnie – że sobie nie radzi, bo mimo wysiłku nie udaje się schudnąć, a na końcu uczestniczki miały sobie wyobrażać swoją rosnącą nieatrakcyjność. Zgodnie z oczekiwaniami koncepcji pozytywnego myślenia grupa pierwsza powinna schudnąć, a druga nie.

Tymczasem było odwrotnie?

– Tak. Ale kobiety, które myślały pozytywnie, mimo niepowodzenia w działaniu były w dobrym nastroju w przeciwieństwie do grupy drugiej, która mimo osiągnięcia celu pozostawała raczej w nastroju minorowym.

Czyli i tak źle, i tak niedobrze.

– To zależy od tego, jaki postawimy sobie cel. Z pozytywnym myśleniem, a w konsekwencji z towarzyszącym mu dobrym nastrojem wiąże się skłonność do koncentrowania się na re-

lacjach z innymi ludźmi, ale jednak kosztem zaniechania zadań.

Jeśli więc komuś zależy tylko na dobrym samopoczuciu, to niech poprzestanie na pozytywnym myśleniu. Specjaliści od motywacji pomagający w osiąganiu celów coraz częściej namawiają do strategicznego pesymizmu, z którym wiąże się ostrożność, rozważa i analityczne myślenie, a w końcu dopuszczenie możliwości porażki i tworzenia planu B na wypadek niepowodzenia.

Czy wizualizację powinniśmy włożyć między bajki jako psychologię ludową?

– Nie. Ale wyobrażajmy sobie nie to, co zrobimy, tylko to, w jaki sposób zamierzamy to zrobić. Przeprowadzono mnóstwo badań nad skutecznością wizualizacji sposobu działania m.in. wśród narciarzy i tenisistów. Zawodnik leżał np. na ławce i wyobrażał sobie, w jaki sposób zagra bekhend, uaktywniając te części mózgu, które odpowiadają za koordynację oraz pracę mięśni zaangażowanych w wykonanie tego zagrania. Ten trening okazywał się potem bardzo skuteczny na korcie. Jest wiele dowodów wskazujących na pożytki płynące z wyobrażania sobie sposobu działania. Pomaga to poprawić efektywność i – co ważne – także wytrwałość w działaniu.

Nauczyliśmy się myśleć, że podstawową funkcją mózgu jest myślenie, a w rzeczywistości on jest przede wszystkim organem, który programuje działania.

Wspomniał pan o konieczności planowania. Skąd zatem bierze się przekonanie, że spontan jest bardziej twórczy niż trzymanie się planu?

– Z kultury bałaganu, w której żyjemy. I to dobrze ugruntowanej. Codziennie słyszę albo czytam, jak ktoś mówi, że „trzeba tylko zacząć, a potem się zobaczy”.

A plany są zróżnicowane. Jeden planuje, że w wakacje pojedzie do Kopenhagi, a drugi, że popodróży trochę po Skandynawii. Pierwszy plan jest ograniczający, drugi otwarty. Pierwszy daje wyraźną miarę sukcesu lub porażki, drugi niekoniecznie.

Czy już na tym etapie wiadomo, który ma szansę na realizację?

– Bez dodatkowych decyzji żaden. Owe decyzje dotyczą tego, jak postąpić, jakie środki są niezbędne, aby wyobrażony wynik osiągnąć. Trzeba także mieć jasność co do swoich kompetencji („czy potrafię to zrobić?”) i co do swoich emocji („czy mnie to cieszy?”). Cel jest zatem skomplikowaną kompozycją czterech rodzajów procesów psychicznych: procesów poznawczych, czyli wyobrażeniem sobie jakiegoś stanu i planowaniem; procesów wolicjonalnych, związanych z intencją osiągnięcia tego stanu; przekonania o własnym sprawstwie oraz procesów emocjonalnych. Żaden z tych procesów z osobna nie przesądza o podjęciu działania. Co więcej, każdy z tych składników może występować w różnym nasileniu.

Jednym słowem planowanie musi być bardzo szczegółowe i koncentrować się na „jak” i „kiedy”. Co jeszcze jest ważne?

– Plany nie mogą być ogólnikowe. Plany nie mogą się też wykluczać lub choćby poważnie się ze sobą kłócić. Nie powinny być również chaotyczne, ale raczej wspomagające się. Plany nie mogą być pozorne i samospełniające się („zamierzam się zestarzeć”). Ale to, co wydaje się najważniejsze, a co jest powszechnie zaniebdywane, to jest plan B przygotowywany na wypadek niepowodzenia w realizacji planu A.

Dlaczego jest potrzebny?

– Bo daje poczucie bezpieczeństwa. Wiesz, że realizujesz swój plan A, ale wiesz i to, że jeśli zdarzy się katastrofa, masz zabezpieczenie. Prawdopodobnie znajdziesz sposób na osiągnięcie tego celu albo osiągnięcie celu równoważnego. Co ciekawe, kiedy masz plan B, to na ogół nie musisz go używać.

Bo plan B najczęściej przygotowują ludzie przekonani o dużym wpływie na zdarzenie, a więc skuteczni sprawcy, a oni planów B na ogół nie potrzebują.

Paradoks?

– Niekoniecznie. Bo asekuracyjny plan jest formą emocjonalnego zabezpieczenia, a to pod-

skich uczelniach. Trwają cztery semestry! W Holandii to jeden semestr, w wielu krajach dwa. Holenderscy studenci przygotowują porządne prace w ciągu jednego semestru, a na pewno nie gorsze niż ci, którzy mają na to cztery semestry. W tym ostatnim wypadku jest przecież sporo okazji do powiedzenia sobie samemu, że mam jeszcze przed sobą tyle czasu, zatem zabiorę się w przyszłym miesiącu, w przyszłym semestrze i tak dalej.

Z pana najnowszej książki pt. „Motywacja bez mitów” wnioskuję, że osiągnięcia celu nie gwarantują też nazbyt silna motywacja i entuzjazm, co mnie dziwi.

– Przekonanie, że wysoka motywacja i entuzjazm sprzyjają wytrwałości, nie ma potwierdzenia w rzeczywistości, co nie jest zaskakujące. Podwyższony poziom pobudzenia bowiem nie przyczynia się do sprawności i skuteczności działania. Wręcz przeciwnie.

Proszę spojrzeć na wielkiego hiszpańskiego tenisistę Rafaela Nadala, który zanim zaserwuje, wykonuje wiele czynności uspokajających. Za każdym razem jest to rytuał, który zmniejsza jego pobudzenie. Robi to po to, aby skutecznie serwować. Z kolei lekkoatleci, żeby podnieść motywację, bar-

– ma kształt odwróconej litery U. Kolejne badania pokazały, że punkt optymalny, po którym następuje pogorszenie sprawności działania, różni się w zależności od stopnia złożoności zadania. Złożoności, a nie trudności. Jeśli zadanie jest proste, to moment przełomu następuje późno, przy wysokiej motywacji. Jeśli natomiast zadanie jest złożone, to moment ten następuje już przy niezbyt silnym pobudzeniu motywacyjnym. Tym samym dotykamy mitu skutecznego popędzania. Popędzanie może być skuteczne w początkowej fazie zachowania, ale wtedy jest zazwyczaj zbędne, i przy prostych czynnościach, lecz jest destrukttywne przy wysokiej motywacji, szczególnie wtedy, gdy zadania są skomplikowane. Popędzanie innych, jak też nadmierne mobilizowanie samego siebie może się z łatwością obrócić przeciw najlepszym zamiarom człowieka.

Czyli w żadnym razie „szybciej, więcej, lepiej”?! Dlaczego?

– Jeśli ktoś jest nieustająco popędzany, to w pewnym momencie się załamie, bo doświadcza nie tylko negatywnych ocen swojej sprawności, ale również frustracji i poczucia bezradności. Wie, że się stara, że daje z siebie wszystko, a dowiadyuje się, że powinien starać się jeszcze bardziej, nawet jeśli pracuje ponad

odkrywają, że nie – szukają dalej i dalej. Wiele osób poszukuje wrażeń. Dla nich porzucanie podjętych działań (ten słomiany zapał) jest subiektywnie bardzo funkcjonalne.

Dlaczego?

– Bo utrwała przekonanie działającego, że jest prawdziwie zainteresowany światem, że ma szerokie horyzonty, nie jest bierny itd. Rzecz w tym, że w takich wypadkach ludzie nie osiągają żadnych wyników. W pewnych warunkach wręcz unikają osiągnięcia wyników, bo mogłyby się okazać rozczarowujące.

Kto gaśnie najszybciej?

– Najszybciej wypalają się ci, którzy się zapalili, czyli osoby, które mają nazbyt wygórowane aspiracje i oczekiwania oraz błędne przekonanie o wyjątkowej zdolności do szybkiego i skutecznego rozwiązywania problemów.

Naiwni optymiści?

– Tak właśnie. Skonfrontowani z rzeczywistością doznają dotkliwych rozczarowań, za które najczęściej obarczają odpowiedzialnością innych ludzi lub jakieś cechy sytuacji.

Ale wypalamy się przecież nie tylko dlatego, że coś nam nie idzie.

FOT. SHUTTERSTOCK



trzymuje wytrwałość w działaniu, które w danym momencie prowadzisz.

Problemem dość powszechnym jest wadliwa ocena czasu. Bardzo rzadko myślimy, ile czasu nam zajmie zrealizowanie planu, czyli wykonanie zadania, a jeśli już to robimy, to oceny są zazwyczaj obarczone sporym błędem dochodzącym do 30 proc. Co więcej, w Polsce czasu się nie szanuje i niechętnie o nim myśli. W badaniach przeprowadzonych w skali europejskiej polscy uczniowie osiągnęli najwyższe wskaźniki w spóźnianiu się na lekcję. Od lat mam niestety okazję to oglądać. Na pierwszy wykład po rozpoczęciu roku akademickiego spóźniło się ponad 70 osób z grupy liczącej blisko 140 słuchaczy. Fikcją staje się wykład, kiedy co chwilę musisz przerywać zdanie, bo ktoś wchodzi do sali wykładowej i robi zamieszanie.

Są wykładowcy, którzy zamykają drzwi na klucz.

– Studenci czy uczniowie muszą się w końcu nauczyć punktualności, a jeśli zamknę salę, to się jej nie uczą. To oni sami, a nie zamknięte drzwi, powinni decydować o punktualności. Można to osiągnąć, ale kosztuje to sporo zbędnej pracy. Już nie pamiętam kto, chyba Anton Makarenko, wielki, choć zapomniany dziś pedagog ukraiński, powiedział, że najczęściej niepowodzenia dotyczą tych, którzy mają za dużo czasu.

Czas trzeba szanować i bardzo limitować. Jak masz go mało, to bierzesz się do roboty i zapominasz o wszystkim innym. Jeśli masz go w nadmiarze, to zadania odkładasz i odkładasz. Nie znam lepszego przykładu niż seminaryjne magisterskie na pol-

dzo często biją się po udach czy po twarzy. W obu wypadkach używają technik modyfikujących ich pobudzenie po to, by osiągnąć optimum zapewniające im największą skuteczność.

Przekonanie, że nadmierny entuzjazm i motywacja są gwarantem osiągnięcia celu, jest jednym z najbardziej upiornych przesądów, który wynika z ogólnej tendencji, że opisując świat, poszukujemy prostych zależności i prostych wyjaśnień. A zależność „im bardziej – tym bardziej” jest prosta. Za poszukiwaniem prostych wyjaśnień stoi przekonanie, że ludzkie zachowanie zwykle ma jedną przyczynę i tylko jeden skutek. Tymczasem każde nasze zachowanie, podkreślam – każde – ma więcej niż jedną przyczynę, a już na pewno więcej niż jeden skutek. Rozpowszechnione i utrwalone uproszczenia sprawiają, że większość z nas zadowala się przykładami, a nie oglądamy się na dowody. A przykłady można znaleźć na wszystko. Co więcej, dają one złudne przekonanie, że mamy rację.

Jaka jest więc zależność między pobudzeniem, czyli entuzjazmem i motywacją, a sprawnością działania, czyli poniekąd osiągnięciem celu?

– Pierwsza odpowiedź na to pytanie padła już sto lat temu, kiedy sprawdzano, czy sprawność zdobywania pokarmu u szczurów wzrasta, gdy stają się coraz bardziej głodne. Okazało się, że początkowo w miarę deficytu jedzenia szczury zdobywały je coraz sprawniej, ale po przekroczeniu pewnego progu ich zachowania stawały się chaotyczne i nieefektywne. Zatem zależność między siłą pobudzenia i sprawnością działania okazała się krzywo liniowa

Radość przywraca siły jak sen

siły. To się kończy porażkami i przekonaniem, że nie ma dobrego wyjścia. I tak się nie uda. Blisko 30 proc. dzieci z polskich szkół podstawowych żywi takie przekonanie.

Wielki entuzjazm i motywacje niesprzające wytrwałości są tożsame ze słomianym zapalem?

– Niekoniecznie. Znam ludzi, którzy skupiają uwagę niemal wyłącznie na tym, co wydaje im się pociągające w danym momencie. Zapisują się na kurs hiszpańskiego, ale chwilę później bardziej podoba im się szermierka, więc zaczynają treningi szermierki, potem to może być japońska kaligrafia, windsurfing i wiele innych.

Zaczynam, odpadam, bo mnie nie kręci. Szukam dalej. Dlaczego to ma być pejoratywne?

– Widzę tu dwa ważne pytania. Pierwsze – dlaczego porzuciliśmy działanie, a drugie, jeszcze ważniejsze – dlaczego zabraliśmy się do niego. Jak wspomniałem wcześniej, racjonalna decyzja o podjęciu działania opiera się na wielu przesłankach. Ludzie podejmują działania, aby sprawdzić (w boju, jak mawiali żołnierze), czy te przesłanki są spełnione. Kiedy

– Wypalenie nie jest skutkiem chwilowego niepowodzenia. Często niepowodzenie nie ma z nim nic wspólnego. Wypalenie jest długotrwałym, czasem chronicznym wyczerpaniem dostępnych zasobów bez możliwości ich odnowienia w miarę szybko. Zasobów energetycznych i zasobów poznawczych. Brakuje sił, brakuje pomysłów. Towarzyszy temu rosnące poczucie bezradności, niechęć do świata zewnętrznego, szczególnie do innych ludzi. To bardzo niebezpieczny stan i dla podmiotu, i dla innych.

Tak czy inaczej, łatwiej wypalają się entuzjaści – ci, którzy podejmowali działania motywowani wewnętrznie, ale utracili tę motywację za sprawą otrzymywanych gratyfikacji zewnętrznych. To dobrze znany mechanizm przestrojenia motywacyjnego skłaniający do ostrożności przy aplikowaniu nagród zewnętrznych. Nagrody, choć nie zawsze, osłabiają, a nawet eliminują motywację wewnętrzną.

Ten mechanizm bardzo dobrze widać w szkole, gdzie dzieci, które są ciekawe i poszukujące, przestają w ogóle myśleć o tym, czego się w danym dniu nauczyły, a zaczynają myśleć o tym, co dostały, czy piątkę, czy szóstkę, czy siedemnastkę. Nagradzanie działań, które są inspirowane od wewnątrz, jest jednym z głównych mechanizmów wypalenia. Bo ludzie zaczynają się orientować na nagrody zewnętrzne, na to, czy im zapłacą i ile, czy ich pochwalą i czy będą na liście przodowników pracy.

To miłe, że ktoś docenia naszą pracę.

– Co innego docenić, zauważyć czyjeś starania i wyniki, a co innego fundować specjalną instytucję nagrody z tego powodu, bo przecież

on bez tej nagrody też by to zrobił. Te nagrody są jednak ukrytym sposobem popędzania.

Brak nagród też jest demotywujący.
– Nie zawsze. Jeśli pewnego rodzaju działanie było wcześniej systematycznie nagradzane i nagle tej nagrody zabraknie, wówczas dochodzi do wygaszania zachowania. Zmniejsza się prawdopodobieństwo powtarzania zachowań, które nie przynoszą spodziewanych konsekwencji pozytywnych. Ale nie zawsze. Na przykład nie dotyczy to ciekawości, która nie potrzebuje żadnych nagród.

Pisze pan, że polską specyfiką jest nienagradzanie i brak komunikatu, że jesteś okej, co z kolei odbierane jest jak kara. Dlaczego?
– Na wschodzie Europy powszechne jest założenie, że „jak jest dobrze, to nie ma o czym mówić”.

Rozumiem, że ze wszystkim tak jest – ze związkiem, z pracą, z relacjami?
– Właśnie tak. Jak coś jest udane, to właściwie o czym jeszcze rozmawiać. Natomiast jeśli coś jest nieudane, to należy to bezwzględnie napiętnować. Wiąże się z tym zjawisko, które w polskim życiu społecznym nazywam przesunięciem ku negatywności. Dotyczy ono poczucia krzywdy, roszczeń, kolektywnego narcyzmu, nieufności, przekonania, że świat jest niesprawiedliwie urządzony.

Zatem i nie nagradzać ciężko, i nagradzać nędzna pociecha?
– Problem w tym, że pojęcie kary i nagrody w terminologii psychologicznej znaczy coś innego niż w codziennym życiu. Z psychologicznego punktu widzenia kara lub nagroda to konsekwencja własnego zachowania. To, że dane zachowanie się zakończyło oczekiwanym wynikiem, jest nagrodą, a to, że nie udało się go zrealizować, jest karą. To są jasne komunikaty. Nikt nikomu nie musi mówić, czy wdrapał się na Śnieżkę, czy nie. Natomiast w kulturze presji, posłuszeństwa, uległości, w jakiej żyjemy, otoczenie musi jeszcze dolożyć swoje. Czyli nie dość, że się nie wdrapał i jest mu przykro, to jeszcze trzeba mu dopiec, i to tak, by zapamiętał. Obok nieufności to właśnie tendencja do punitwności, czyli gotowości do karania, jest najtrudniejsza do przezwyciężenia w polskiej kulturze i w polskiej socjalizacji.

Zwraca pan uwagę na radość towarzyszącą realizacji celów. Dlaczego jest tak ważna? Przecież wykonujemy swoją robotę, nawet jeśli nie sprawia nam radości. Po prostu z poczucia obowiązku.
– To prawda, coś robimy z konieczności, a coś z wyboru. W obu wypadkach działaniom może towarzyszyć radość. To bardzo ważne. Po pierwsze dlatego, że zadanie jest zgodne z naszymi interesami. Napisałem o tym w swojej książce, że radość, czy ogólniej emocje pozytywne, może się pojawiać w różnych momentach działania. Najpierw jest radość na samą myśl, że coś się zdarzy. Potem jest radość z tego, że działanie przebiega sprawnie, płynnie. Wreszcie jest mowa o radości związanej z oczekiwanym wynikiem działania. Po drugie, waga emocji pozytywnych, a radości szczególnie, bierze się z tego, że sprzyjają one odzyskiwaniu utraconych zasobów. Radość działa tu podobnie jak sen. Po trzecie, radość jest składnikiem bilansu emocjonalnego, a pozytywny bilans emocjonalny jest ważną przesłanką dobrostanu.

Co się dzieje z motywacją i radością tych, którzy porzucają cel prawie przed metą?
– Jest wiele powodów, dla których ludzie porzucają działanie krótko przed osiągnięciem wyników. Pierwszy to taki, że się po prostu wyczerpali. Zabrakło im sił. Drugi to taki, że działanie nie ma w sobie nic ciekawego i nasycili się nim dostatecznie. Znudziło się nim. Trzeci – bardzo częsty – to pojawienie się celu alternatywnego, bardziej pociągającego. Kolejny powód to obawa przed konfrontacją z niepowodzeniem. Ludzie się boją porażki i jej osobistych oraz społecznych konsekwencji. Wolą się tego nie dowiadywać. Zwłaszcza w zadaniach, które mają nie do końca jasno doprecyzowany wynik, gdzie rozstrzygnięcie zależy po części od reakcji innych ludzi. Znacznie ciekawsze są sytuacje, kiedy ludzie przerywają działania, które naprawdę prowadzą do powodzenia. Lęk przed sukcesem to następny powód przerywania działania.

Porównania są wstrętne – mówił Cervantes. Ma rację: z porównań, rankingów niewiele wynika pożytku, a bardzo wiele szkody

niach, które mają nie do końca jasno doprecyzowany wynik, gdzie rozstrzygnięcie zależy po części od reakcji innych ludzi. Znacznie ciekawsze są sytuacje, kiedy ludzie przerywają działania, które naprawdę prowadzą do powodzenia. Lęk przed sukcesem to następny powód przerywania działania.

Dlaczego boimy się sukcesu?
– Sukces trzeba zagospodarować. Odniesienie sukcesu nakazuje w sposób jawny lub ukryty iść dalej. A ktoś może już nie mieć na to ochoty albo siły.

Czyli byłby to mechanizm obronny przed wycieńczającą presją, że kiedy osiągnąłeś sukces, musisz osiągnąć kolejny, by udowodnić, że to, co osiągnąłeś, nie jest przypadkiem?
– Rozmawialiśmy już kiedyś o tym, że podejście do wyniku działania i jego miary są różnicowane. Jedni podejmują się działań przede wszystkim po to, by osiągnąć sukces. Drudzy – po to, by poszerzyć kompetencje.

Co nie jest tożsame.
– Nie jest. W pierwszym wypadku sukces staje się automatycznie miarą wartości wykonawcy działania. Jeśli go osiągnął, to jest coś wart, a jak przegrał, to jest nic niewart. Przy takim nastawieniu porażka jest bardzo silnie demobilizująca. Jeśli ktoś jest jednak nastawiony na zdobywanie kompetencji, czyli na rozwój, to porażka jest komunikatem, że czegoś się musi nauczyć. W sytuacji sukcesu te dwie orientacje się nie różnią, ale w sytuacji porażki pociągają za sobą dwie odmienne strategie działania. Wycofanie się, ucieczkę z jednej strony albo poszukiwanie sposobu, w jaki można swoje kompetencje poszerzyć, z drugiej.

Rozprawia się pan również z mitem, że rywalizacja jest motywująca. A przecież rankingioza jest dość powszechna w życiu społecznym.
– Ranking to kiepska miara.

Ala nakręca rywalizację.
– Przypominam stare zdanie Miguela Cervantesa, że wszelkie porównania są wstrętne. On ma rację. Z porównań niewiele wynika pożytku, a bardzo wiele szkody.

Są pożytki?
– Nie są miarodajne, bo mamy wybór. Możemy się porównywać w górę, a więc z lepszymi, możemy w dół, a więc z gorszymi. 90 proc. osób wybiera porównania w dół i wychodzi na swoje. Ten pożytek jest jednak nader subiektywny i właściwie przelotny, bo gdy się zmieni ten na dole, to może się okazać, że my zajmujemy jego miejsce.

Ale dlaczego to jest pożyteczne z punktu widzenia pracodawcy?
– Pracodawcy poszukają prostych sposobów hierarchizacji. Rywalizacja dobrze się do tego nadaje. Hierarchizacja nie jest optymalną formą organizacji życia społecznego, za to jest prosta. Znacznie bardziej korzystne jest tworzenie sieci współpracy.

Jakie są straty?
– Przede wszystkim społeczne. Interpersonalne. Rywalizacja niszczy sieci społeczne. Wzbudza w ludziach lęk, o czym się bardzo rzadko mówi. Lęk o swoją pozycję życiową, o to, co będzie ze mną, jeśli nie wygram. Rodzi niechęć do innych ludzi, zwiększa potencjał agresywności, czyli gotowość do siłowego rozwiązywania konfliktów. Rywalizacja zwiększa dystans do innych ludzi, skłania do unikania kontaktu z nimi. I to nie jest zaskakujące, bo w rywalizacji zwykle jeden wygrywa, reszta jest przegrana. Ci ostatni nie mają powodów do euforii. Co więcej, ostatnie badania pokazują, że ludzie, którzy uczestniczą systematycznie w rywalizacji, znacznie częściej chorują. Wiąże się z nią bowiem chroniczne nadwyżerzenie zasobów i utrata odporności. To, o czym tu mówimy, wiadomo od lat 40. XX w., ale niewiele firm i ich szefów przejmuje się wynikami badań psychologicznych.

Skąd się bierze opór przed akceptacją i aplikacją wiedzy psychologicznej w praktyce? Również tej dotyczącej motywacji.

– W naukach społecznych ten opór jest dość powszechny, a zawołanie, że „teoria teorią, ale ważna jest praktyka”, słyszymy codziennie. Badacze w większości pracują bezinteresownie w tym sensie, że poszukują prawidłowości, poszukują wiedzy sprawdzonej. Nie kierują się najczęściej tym, jak bardzo ktoś tej wiedzy pragnie. Rzetelna wiedza znana jest w wąskim kręgu specjalistów i tu nie potrzebuje żadnej promocji. Ta promocja jest jednak potrzebna niespecjalistom, a to oznacza dużą rangę popularyzacji wiedzy. Społeczeństwa nowoczesne, nadążające za wiedzą doceniają znaczenie popularyzacji. W Polsce popularyzacja nie cieszy się uznaniem ani uczonych, ani praktyków.

Tak jest także w wypadku wiedzy o motywacji. Tu królują potoczne koncepcje, amatorskie, a często szalbierskie coachingi i motywy motywacyjne czy poradniki – proste, strawne i zgodne ze zdrowym rozsądkiem. Tyle tylko, że zdrowy rozsądek nie jest i nie może być żadną miarą wartości czy użyteczności wiedzy przede wszystkim dlatego, że wiedza nie jest magazynem. Jest procesem, a więc niewiele w niej rozstrzygnięte jest raz na zawsze. W wiedzy o motywacji też. ●



FOT. MAGDA KOZIŃSKA

*Wiesław Łukaszewski

• profesor psychologii. Wieloletni przewodniczący, a obecnie honorowy przewodniczący Komitetu Nauk Psychologicznych PAN. Autorytet w dziedzinie psychologii osobowości i psychologii społecznej. Jego najnowsza książka „**Motywacja bez mitów**” ukazała się nakładem wydawnictwa Smak Słowa. Miłośnik dobrej literatury, muzyki oratoryjnej i ogrodów. Mieszka w Sopocie



Plaszcz

Janusz Rudnicki

Nigdy nie dbałem o swoje ubranie. Wkładałem na siebie, co było pod ręką. Wyglądając na ulicy jak tłum ludzi przeciętnych zebrany w osobie jednej, mojej. Aż do dnia, w którym zobaczyłem na wystawie płaszcz. Na manekinie, który jak ja – w rubryce „wygląd” odpowiedź „brak”. Ale w tym płaszczu, w tym płaszczu to on wyglądał jak... No po prostu on wyglądał po prostu. ●

Oto idę więc po raz pierwszy w nowym tym płaszczu po mieście. Uczucie, jakbym się ożenił. Jakbym miał kogoś, kto zgodził się iść ze mną razem nową drogą życia. Idę krokiem bardziej żwawym niż zwykle, powiedziałbym nawet, że hardym. ●

Idę, jak przystało na nowy płaszcz, Nowym Światem, może po raz pierwszy ktoś zwróci na mnie uwagę? Każdy człowiek jest jak pileczka z numerem, może wpadnę w końcu w tym bębnie maszyny losującej do jakiejś szuflady i nie będę już latał w nim w stanie nieważkim? ●

Na razie uwagę na mnie zwracają warszawskie gołębie, czyli menele. Gruchają o pomoc, może to dobry znak, może czują w powietrzu człowieka, którego numerek został wylosowany? ●

Skrećam na Foksal, idę do Amatorskiej, ona jak ojczysta, tylko jedna. W niej jak w kosmosie: obojętnie gdzie siedzisz lub stoisz, masz zawsze wrażenie, że jesteś w samym jej centrum. ●

Chcę wejść, ale wychodzi grupka młodych, więc przystaję i przepuszczam, wychodzą i jedna z dziewcząt pyta: „Ej, a gdzie ty kupiłeś ten płaszcz?”. Staram się odpowiedzieć obojętnie, ale chyba widać, że podlechtały jestem srodze, mówię, że w jednym ze sklepów w Złotych Tarasach, na co ona: „A, jeszcze mają otwarte, to niedaleko, idź i oddaj”. ●

Ich śmiech słyszę jeszcze wtedy, kiedy już są daleko. Dobrze, że to już koniec tego cholernego roku 2023. Mijają mnie ludzie z lewa, z prawa, a ja stoję na chodniku pod drzwiami jak nagi, bo odarty ze złudzeń słup ogłoszeniowy. ●

DZIEKUJEMY PAŃSTWU
ZA TE OSIEM LAT

Jak węgiel zmienił się w diament

Wykrystalizowała się nam wspólnota, która obejmuje pokolenia, wszystkie grupy społeczne i która uchroniła Polskę przed dyktaturą.

Bartosz T. Wieliński



Od wyborów minęły już ponad dwa miesiące, ale warto ciągle to przypominać. 15 października udowodniliśmy, że w Polsce działa silne społeczeństwo obywatelskie. Nie tylko u nas, również za granicą obserwatorzy zanotowali niespotykaną frekwencję przy urnach i niewiarygodną odporność na propagandę.

Grudzień mamy niespokojny, PiS nie potrafi się pogodzić z przegraną, więc wspomnienia z jesieni zaczynają się zacierać. To przypominę: nie było wówczas państwowej instytucji, która nie wspierałaby w kampanii wyborczej Prawa i Sprawiedliwości. Nie było rządowej agencji, która nie wywiesiłaby billboardów pokazujących „sukcesy” i „dokonania”. Nie było rządowego medium, które nie gloryfikowałoby Zjednoczonej Prawicy i nie zołyzdzałoby opozycji. Na kampanię wyborczą PiS wydał miliardy – i przegrał.

Po stronie demokracji zaangażowały się tysiące ludzi. Część w większych i mniejszych grupach regularnie demonstrowała przeciwko bezprawiu na ulicach Warszawy i innych miast. Organizowała spotkania, jeździła po Polsce, tłumacząc ludziom, czym jest praworządność, dlaczego należy re-

spektować mniejszości, co daje członkostwo w Unii Europejskiej i jakie z niego wynikają obowiązki. Wielu angażowało się w pomoc obcokrajowcom, którzy utknęli w lasach i na bagnach na polsko-białoruskiej granicy. Ratowali ich życie, chronili przed bezprawiem.

Nie nazwałbym ich armią. To była lekko anarchiczna wspólnota, bez przywódców, bez hierarchii, bez rozkazów i praktycznie bez koordynacji. Każdy robił to, co umiał i co był w stanie. Czasami zbyt radykalnie, czasami za mocno. Ale gdy w Polsce robiło się naprawdę ponuro, gdy wydawało się, że jesteście skazani na mrok, gdy zawodowi politycy odwracali głowy lub rozkładali ręce, oni nie rzucali swojej służby. Demonstrowali, jeździli po kraju, pisali posty, slali memy. Ogień nie gasł, a potem się rozpalil.

To, że się udało uratować wolną Polskę, jest w dużej mierze zasługą tych w większości bezimiennych ludzi, którzy przez osiem lat poświęcali własny czas, pieniądze, a czasem życie prywatne, zdrowie, kariery.

Jarosław Kaczyński na samym początku rozpoznał to zagrożenie. W Warszawie rozbrzmiewały jeszcze echa wielkiej demonstracji Komitetu Obrony Demokracji, a on tryskał już jadem na ludzi, którzy protestowali przeciwko autorytarnym zapędom jego partii. – W Polsce jest taka fatalna tradycja zdrady narodowej. I to jest właśnie nawiązywanie do tego. To jest jakby w genach niektórych ludzi, tego najgorszego sortu Polaków. No i ten najgorszy sort właśnie w tej chwili jest niesłuchanie aktywny, bo czuje się zagrożony – mówił w TV Republika.

Był 12 grudnia 2015. PiS rządził miesiąc, a TVP Info jeszcze było niezależną stacją, pracowali tam dziennikarze, którzy rozmówcom zadawali trudne pytania. Gdy świeżo upieczona premier Beata Szydło leciała w pierwszą podróż do Norwegii, jej otoczenie usiłowało wmusić towarzyszącym jej reporterom mediów publicznych pytania, jakie należy zadać na konferencji prasowej. Ale telewizja i radio były wciąż publiczne nie tylko z nazwy i takie numery jeszcze nie przechodziły. By wygłosić pierwszą nienawistną tyradę przeciwko własnemu narodowi, Kaczyński musiał korzystać z gościny Tomasza Sakiewicza.

Zwykło się mówić, że Kaczyński i jego akolici brutalnie dzielili polskie społeczeństwo. Nic z tych rzeczy. Oni społeczeństwo brutalnie okrawali. Przeciwników politycznych Kaczyński najpierw wykluczał z narodowej wspólnoty. W kolejnych tyradach – gry zrównywał ich ze współpracownikami gestapo z czasów okupacji – robił z nich wrogów, gdy mówił o „elementach animal-

nym” – to ich odczłowieczał. Potem padała komenda „bierz”. Przeciwnika, którego przywódca naznaczył mianem wroga, zdrajcy, zwierzęcia, można niszczyć bez żadnych skrupułów. Dlatego w państwie PiS tak szybko pojawiły się represje.

Kaczyński zdawał sobie sprawę, że straci władzę, gdy społeczeństwo wystąpi przeciwko niemu solidarnie, jak jedna pięść. Gdy słuchałem jego kolejnych nienawistnych wynurzeń, przypominały mi się wydarzenia, o których czytałem w podręcznikach do historii PRL. – Trzeba powiedzieć, jak my ich nienawidzimy, jacy to są lajdacy, jak oni swoim postępowaniem szkodzą krajowi. Uważam, że im więcej będzie słów bluźnierstwa pod ich adresem, tym lepiej dla sprawy – mówił Edward Gierek o ludziach, którzy uczestniczyli w antyrządowych protestach w Radomiu w 1976 r. Ludzie Kaczyńskiego wprowadzili w życie identyczne instrukcje.

Nazwać skandalem to, co wobec protestujących przeciwko PiS robiła kontrolowana przez partię policja, to nic nie powiedzieć. Zaczęło się od zaawansowanych szykan. Od tworzenia grup pościgowych, by zatrzymać demonstrantów, którzy np. na drzwiach biura posła Czabańskiego napisali sprejem skrót PZPR, nazwę partii, do której niegdyś należał. Albo ludzi, którzy zakładali na pomniki Lecha Kaczyńskiego koszulki z napisem „konstytucja”. Były wejścia funkcjonariuszy do domów o szóstej rano, rewizje, konfiskaty telefonów i komputerów, a w końcu absurdałne zarzuty zagrożone karą więzienia. A potem ostrzej: policja organizowała łapanki demonstrantów, trzymała ich godzinami w kotłach, lała gazem łzawiącym, biła pałkami. Byłe zadowolić Kaczyńskiego.

Tam, gdzie nie sięgała policyjna pałka, swoje robiła propaganda TVP Info i innych zagarniętych mediów, które też stały się aparatem represji. Bo zwalczano w nich nie tylko polityków opozycji, ale też wszystkich, którzy stawiali czoło autorytarnej władzy. Miały zaszczuwać, rozbijać opór, straszać, bez względu na koszty. Na celownik wzięto dziesiątki mniej i bardziej rozpoznawalnych ludzi. Przypomnijmy tragiczny atak na posłankę Magdalenę Filiks, działaczkę KOD. Filiks tropiła patologie w kontrolowanych przez polityków Suwerennej (dawniej Solidarnej) Polski Lasach Państwowych, przedsiębiorstwie oskarżanym o rabunkowy wyrąb lasów i sponsorowanie politycznych patronów. „Musimy tę szmatę uciszyć” – takie hasło miało – według jej informatorów – paść na jednym ze spotkań w Lasach Państwowych. Filiks spodziewała się fizycznego ataku, zaatakowały ją kontrolowane

przez PiS media. Pod koniec grudnia zeszłego roku Radio Szczecin i TVP Info tak skonstruowały informacje o ofercie pedofila, który był członkiem PO, że było jasne, że chodzi o jej nastoletniego syna. Chłopak po tych publikacjach popełnił samobójstwo. Trzy lata wcześniej – po trwającym miesiącami hejcie – z ręki nienawistnika podczas finału WOŚP zginął prezydent Gdańska Paweł Adamowicz. Żadna z tych tragedii nie zatrzymała Kaczyńskiego.

12 grudnia byłem na demonstracji KOD pod siedzibą przejmowanego przez PiS Trybunału Konstytucyjnego. To był mój pierwszy uliczny protest. Towarzyszyły mi wyłącznie pozytywne emocje. A poczucie wspólnoty z tysiącami ludzi, którzy przyjechali do Warszawy z całej Polski, dawało siłę. Myślę, że dla wielu moich rówieśników, którzy – gdy upadał komunizm – byli jeszcze dziećmi, było to nieznanne wcześniej uczucie.

Później doświadczałem go wielokrotnie. Marsze KOD nie zatrzymały PiS, tak jak wielkie demonstracje kobiet po uchwaleniu przez Trybunał Julii Przyłębskiej praktycznego zakazu aborcji. Ale były początkiem wielkiego przebudzenia Polaków. Demokratyczne społeczeństwo było jak węgiel, który poddany przez dłuższy czas wysokiemu ciśnieniu i temperaturze zamienia się w diament. Mimo siania nienawiści, policyjnej przemocy, mimo propagandy – a może w odpowiedzi na tę brutalną politykę PiS – wykrystalizowała się nam wspólnota, która obejmuje pokolenia, wszystkie grupy społeczne i która uchroniła Polskę przed dyktaturą.

Przyglądam się temu, co się dzieje obecnie na ulicach Warszawy. Słucham komentarzy o budowie nowego mitu, który ma scementować ruch Kaczyńskiego. Patrzę na garstkę demonstrantów pod siedzibami TVP, którzy przyszli bronić pisowskiej propagandy. Tam nie czuć jednak tego niepokornego ducha, który czuliśmy na przełomie 2015 i 2016 roku, gdy broniliśmy przed PiS sądów. Nie czuć żadnej spinającej wspólnoty idei. Tam zresztą chyba nie ma obywateli, są partyjni funkcjonariusze i działacze. Zdaje się, że zawiódł – przejrzał na oczy? – nawet najtwardszy elektorat. Działające przez tyle lat metody mobilizacji przestały działać. Kaczyńskiemu nie udało się stworzyć podobnego ruchu jak ten, który odebrał mu władzę. ●

OŚWIADCZENIE WŁASNE WYDAWCY

34248365

Wiele się w Akademii pozmieniało. Nowi uczniowie (i uczennice!), jeszcze bardziej niesamowite lekcje, a i sam profesor jakby młodszy. Na szczęście niezmiennie pozostały wyobrażenia, która ma wielką moc, i magia, dzięki której słynna szkoła wciąż jest najbardziej niezwykłym miejscem w świecie bajek. Oto nowy Kleks na nowe czasy!

PIOTR FRONCZEWSKI

**KSIĄŻKA JUŻ W SPRZEDAŻY,
A FILM W KINACH 5 STYCZNIA!**

POWIEŚĆ STWORZONA NA PODSTAWIE FILMU „AKADEMIA PANA KLEKSA” W REŻYSERII MACIEJA KAWULSKIEGO

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA



WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

***Paweł
Wojtunik**

• ur. w 1972 r., absolwent Wydziału Prawa Uniwersytetu w Białymstoku i Wyższej Szkoły Policji w Szczytnie. Były dyrektor Biura Kryminalnego oraz CBS KGP (2007-09) i szef CBA (2009-15). Międzynarodowy ekspert ds. bezpieczeństwa i antykorupcji OBWE. Od 2016 r. doradca wysokiego szczebla UE ds. antykorupcyjnych w gabinecie premiera Republiki Mołdawii

Jest ryzyko, że stworzą
państwo równoległe:
medialne, polityczne
plus swoje służby.
Struktury
partyzancko-podziemne

NIE OKAZYWAĆ STRACHU MAFII

Z **PAWŁEM WOJTUNIKIEM***, BYŁYM SZEFEM CENTRALNEGO BIURA ANTYKORUPCYJNEGO I CENTRALNEGO BIURA ŚLEDZCEGO, ROZMAWIA **DONATA SUBBOTKO**

Nosi pan przy sobie broń?

– Kiedyś się z nią nie rozstawałem, ale nigdy nie szpanowałem i nie straszyłem, jak Ziobro pistolecikiem za gaciami.

Bo chciałem porozmawiać o przestępczości zorganizowanej.

– Mam pokusę mówić o PiS jako o organizacji mafijnej, bo – w sposób, mam nadzieję, niezamierzony – powiela schematy działania mafii i klisze mafijnej lojalności. Będziesz wierny, to nie zginiesz, zaopiekujemy się twoją rodziną. Ślepa lojalność plus ślepa dyscyplina. Kto nie z nami, ten przeciwko nam i go niszczy my. Oni oczywiście nie zabijają ludzi na ulicy, ale są tam goście, którzy wykonują zadania pistoletów medialnych. Ich rządy były promocją zła i brutalności. Nikt nie przewidział, że to się może wydarzyć w Polsce.

Jak walczyć z mafią?

– Potrzebne są nie tylko narzędzia prawne, ale także np. wykorzystywanie świadków koronnych. Podstawowa metoda to izolacja, czyli uniemożliwienie członkom mafii dalszego funkcjonowania w organizacji przestępczej, rozbijanie lojalności i rozliczanie członków grupy. „Ułaskawienie” Kamińskiego i Wąsika – skazanych przez sąd pierwszej instancji w 2015 r. na trzy lata pozbawienia wolności i dziesięć lat zakazu pełnienia funkcji publicznych – było czynnikiem deprawującym innych oraz ich samych.

Teraz dostali po dwa lata więzienia i pięć lat zakazu pełnienia funkcji publicznych - i mogą zostać „więźniami politycznymi”.

– Wyrok sądu drugiej instancji przywraca sprawiedliwość i daje ulgę ofiarom przestępstw, za które zostali skazani, a mnie daje nadzieję, że to koniec prześladowanie mojej rodziny. Pewnie PiS będzie szukać trików prawnych, żeby potraktować ich w sposób ekskluzywny, bo mają wyjątkową pozycję w partii, a ich skazanie kompromituje i obnaża cały system bezpieczeństwa ostatnich lat. Ale powinni trafić do więzienia.

Ci goście mieli być antykorupcyjnymi szeryfami, a spowodowali, że Polska zapadła się w korupcję jak w czarną dziurę, co pokazują wszystkie rankingi. Kamiński pozował na sędziego Falcone, pogromcę mafii, a Wąsik to jego awatar, taki Toudi z „Gumisiów”. Dostali władzę, jakiej wcześniej nikt w Polsce nie miał: nad służbami specjalnymi i nad MSW. I dzisiaj skala korupcji, upartyjnienia państwa, nepotyzmu, kumoterstwa, niewyjaśnionych afer, ślepoty państwa jest niebywała. To skutek ich działań i zaniechań oraz tego, jak zorganizowali państwo.

Rozliczanie powinno być surowe. Najłatwiejsza jest odpowiedzialność administracyjna, czyli odsunięcie kogoś od tego, czym się zajmował, czerpiąc z tego niewspółmierne korzyści albo niezdrową satysfakcję. Później jest rozliczanie formalnoprawne, frustrujące i długie, procesy karne ciągną się latami. Dlatego na świecie coraz częściej praktykuje się kary finansowe i zakaz pełnienia funkcji.

Najbardziej dotkliwą, edukacyjną i sprawiedliwą karą dla osób, które w działalności przestępczej motywują się pieniędzmi, jest jak najszybsze ich odbieranie i udaremnienie korzystania z nielegalnie zdo-

bytych środków. Polskie prawo pozwala na zamrażanie majątków i konfiskatę rozszerzoną. Dalej musi być odpowiedzialność karna, pozbawienie wolności.

PAŃSTWO RÓWNOLEGŁE

Mafia łatwo się nie poddaje.

– Niektórzy będą walczyć do końca. Utrudniać pracę następcom, zastawiać pułapki, drenować budżety, próbować kompromitowania oponentów. Ostatnio służby specjalne pozostawały praktycznie bez kontroli, więc może się jeszcze dużo wydarzyć, ale słyszę, że tam ludzie są wystraszeni, część czuje się uwikłana.

Zostawią pole minowe?

– Mogą wyjść np. podsłuchy Pegasusem jeszcze paru osób. Po politykach, których zaślepia nienawiść i przywiązanie do władzy, można się spodziewać działań radykalnych. Jeden z nich przyznał, że ich głównym celem było niedopuszczenie do powstania nowego rządu, a to bliskie zamachu stanu. Generałowie, którzy odeszli z wojska, powinni teraz zabrać głos i powiedzieć, co tam się działo. Taka zmiana przed wyborami, w czasie wojny w Ukrainie i konfliktu na Bliskim Wschodzie, jest czymś wyjątkowym.

Dryfowanie po wyborach też było groźne dla państwa. Większość instytucji wykorzystywano do walki z oponentami, załatwiania prywatnych porachunków i biznesów, co zawsze cieszy wrogów zewnętrznych. Wywiad rosyjski nie przestał pracować dlatego, że w Polsce przewlekał się proces przekazywania władzy. Czy pisowski przekaz o wroguj Unii, Niemcach zagrażających bezpieczeństwu Polski jest tylko retoryką, czy niektórzy w to wierzą? Jeśli wierzą, to są zdolni do wszystkiego.

To znaczy – do czego?

– Będą do końca utrzymywać lojalność niektórych osób w służbach i policji, spróbują pozostawić tam jak największą liczbę swoich, żeby mieć przecieki i dalej kontrolować służby. PiS chce mieć własne media. A może ktoś podpowiada: stwórzmy własne służby? To byłaby próba budowy struktur partyzancko-podziemnych. Jest ryzyko, że stworzą na różnych poziomach państwo równoległe: medialne, polityczne plus swoje służby. Dlatego tak ważne jest przejęcie pełnej kontroli nad służbami specjalnymi i zagwarantowanie, że nie będą szkodzić bezpieczeństwu państwa.

Będą budować jakieś państwo podziemne?

– Część z nich – tak. Wierzą w gloryfikujące mity jeszcze opozycyjne, kult „żołnierzy wyklętych”, konspiracji. Będą dalej robić to, co robili, a nazywanie nowego rządu antypolskim, wrogim daje niektórym tytuł moralny.

Kaczyński straszy, że zmiana władzy prowadzi do anihilacji państwa polskiego, a w walce o niepodległość każda cena jest do zapłacenia.

– Zakryjmy nazwę kraju, nazwiska – i zanalizujmy ten przekaz możliwie obiektywnie. Lekarz nie powinien patrzeć na to, kogo bada, tylko co widzi. Otóż to jest narracja ekstremistyczna, a ekstremizmy, lewicowe czy prawicowe, są groźne dla państwa. Takimi nawoływaniami powinny się zajmować służby. Bo dla jednych to może być apel o odwagę, ale wedle innych – o dokonanie aktu przemocy lub zamachu. Część naszego społeczeństwa jest zindoktrynowana, łatwo im wmówić różne rzeczy, żeby nie pogodzili się z wynikiem wyborów.

Co robić, jeśli zbudują te struktury państwa równoległego?

– Po pierwsze, izolować od strategicznych spraw bezpieczeństwa osoby, które służą komuś innemu niż państwo polskie. Tajne struktury mogą być tworzone poprzez utrzymywanie lojalności funkcjonariuszy, którzy pozostaną w służbach, ale dalej będą pracować dla swoich politycznych mocodawców. A ci, którzy wyjdą ze służb, będą w innych miejscach te struktury tworzyć. Bo kluczowe osoby nie pozostaną bezrobotne. Po pierwszych rządach PiS też tak było, wiceszef CBA wyładował w spółce Srebrna, a szef ABW w polityce...

Ernest Bejda i Bogdan Świączkowski.

– Tak, tacy ludzie będą „zaopiekowani”. Najpierw trzeba więc opanować instytucje państwa, które mogą być niestabilne i zagrażać demokracji. Drugie – to jak najszybsze znalezienie tykających bomb, które podłożyli. Chodzi o nowo rozpoczęte sprawy, już uruchomione procedury. Władza w służbach i prokuraturze jest najbardziej demoralizująca, bo tu można zniszczyć komuś życie. Trzecie – to ograniczenie dewastacji i skoku na kasę.

Kluczowy jest dobór ludzi gotowych śmiało skoczyć do basenu, który przez osiem lat zakwitł, nie wiadomo, czy jest płytki, czy głęboki ani co jest pod wodą.

Za sprawą Kamińskiego i Wąsika skala korupcji, upartyjnienia państwa, nepotyzmu, kumoterstwa, niewyjaśnionych afer, ślepoty państwa jest niebywała

Przez te lata uzbierali pewnie szafy nagrań, haków.

– I będą je wykorzystywać, żeby kogoś załatwić albo przypodobać się nowej władzy. Najważniejsze to nie okazywać mafii strachu, nie wolno dać się zaszantażować, bo pierwszy szantaż rodzi kolejne. Trzeba jak najszybciej reagować, zgłaszać się do nowych, godnych zaufania instytucji państwa. Mogą też za pośrednictwem swoich dziennikarzy wypuszczać zmanipulowane materiały. Używać sztucznej inteligencji, która pozwala wszystko zmontować, żeby kogoś skompromitować. Jediną metodą na skuteczną walkę z mafią jest codzienne jej przeszkadzanie i wyrywanie elementów. Do tego muszą dojść zmiany przepisów, by udaremniać patologie. Musi być nadzór nad służbami, faktyczna kontrola ze strony parlamentu – przez ostatnie lata szefowie służb nawet nie przychodzili na spotkania komisji służb specjalnych.

ABOLICJA DLA ŚWIADKÓW

Jaki powinien być nadzór polityków nad służbami, żeby mogły także tych polityków sprawdzać?

– Wszystko zależy od szefów służb, ich autorytetu, niezależności. Musi być mechanizm kadencyjności – za PiS to nie odgrywało roli, bo Kamiński i Wąsik mieli nad nimi władzę absolutną. Dalej: niezależni prokuratorzy, bo służby mogą informować o patologiach, ale następny krok zależy od prokuratury. Na wszystkich

poziomach musi być niezależność polityczna. Oczywiście, pewna zależność zawsze jest, bo politycy decydują np. o budżetach służb, o procesie mianowania szefów, ale na końcu sprawiedliwość, Temida, powinna być ślepa, bezstronna. Akurat koalicje polityczne gwarantują lepszy, bardziej wszechstronny nadzór i kontrolę niż monowładza. Powinien powstać także nadzór kolegialny, organ, który będzie można informować o nadużyciach i przed którym mogą zeznawać skruszeni funkcjonariusze.

Na stałe?

– Musi mieć permanentny nadzór nad służbami specjalnymi, gwarantować w imieniu obywateli legalność działania służb. Za czasu PiS szef służby czy koordynator mieli życzenie pójść na komisję albo nie – w przyszłości powinni mieć obowiązek składania zeznań i oświadczeń pod rygorem odpowiedzialności karnej.

Wreszcie: kontrola społeczna, dziennikarska, możliwość przepytywania ludzi służb. Proszę sobie przypomnieć, ile razy w czasie rządów PO-PSL występowałyśmy przed mediami, wyjaśniając wątpliwości. A jak to wyglądało w ostatnich latach – jak np. władza na początku próbowała obśmiać aferę Pegasus.

Oczywiście służby nie wszystko mogą upubliczniać, ale obywatele powinni mieć zaufanie do osób, które je nadzorują. Kiedy pracowałem w Londynie, delegowany do Scotland Yardu, policja zastrzeliła niewinnego obywatela Brazylii, był to okres ataków terrorystycznych i wzięto pod obserwację niewłaściwą osobę. Szef Scotland Yardu przeprosił publicznie i zapowiedział, co zostanie poprawione w procedurach policyjnych. Po nim wyszedł przewodniczący rady policji dla Londynu – w Wielkiej Brytanii policję w hrabstwach nadzorują rady, w skład których wchodzi przedstawiciele lokalnych społeczności i przedstawiciele rządu – i powiedział jedno zdanie: sprawa została wszechstronnie zbadana, nie ma wątpliwości co do sposobu działania policji. To zamknęło dyskusję. Mówię do szefa Scotland Yardu, że w Polsce jako szef policji byłbym rozjeżdżany przez dziennikarzy i próbowano by dezawuować takie oświadczenie. Odpowiedział, że jeśliby ktoś z nich chociaż raz publicznie zmanipulował informację, musiałby odejść ze służby publicznej. W Polsce też musi w służbach i policji obowiązywać nie partyjny, lecz merytoryczny nadzór i przejrzystość. Nowy rząd powinien uznać, że nie PR polityków rządu jest najważniejszy, ale zaufanie do instytucji państwa.

Po tym, co PiS robił ludziom Pegasusem i jak szeroko stosowali kontrole operacyjne, sprawa podsłuchów musi być zreformowana tak, żeby zagwarantować obywatelom, że już nigdy nie będą nielegalnie czy na zlecenie polityczne kontrolowani, podsłuchiwani, rozpracowywani.

Mieli czas zniszczyć dowody swoich działań.

– Z reguły ten, kto popełnia przestępstwo, próbuje zatrzeć ślady, ale nie wszystko da się zniszczyć, schować, pewne rzeczy dokumentuje się w kilku miejscach. I są świadkowie. Trzeba uchwalić abolicję dla funkcjonariuszy, którzy brali udział w przekroczeniach uprawnień, zwłaszcza w kontrolach operacyjnych, a dzisiaj nie mogą nic powiedzieć, bo przyznaliby się do przestępstwa i ponieśli karę, stracili emeryturę itd. Powinien powstać przepis, który pozwoli im ujawnić patologie w zamian za zwolnienie z odpowiedzialności. Tak jak rozbijanie solidarności w mafii, uzyskiwanie zeznań od szeregowych „żołnierzy”, świadków przestępstw.

A co z bossem mafii, który np. nie nie podpisywał?

– W mafii ludzie próbują się wzajemnie osłaniać, wszyscy też mają za zadanie za wszelką cenę ochraniać bossa. Ale to, że ktoś nie podpisuje pewnych dokumentów, nie znaczy, że nie jest odpowiedzialny za wydawanie ustnych poleceń. Każdy powinien być

Ze rosyjscy agenci tutaj są, należy przyjąć jako fakt

rozliczony za przestępstwa, jeżeli je popełnił, albo nadużycia, do których się przyczynił. W przypadku Kaczyńskiego będzie to prawie skomplikowane i ryzykowne. Szukałbym innych narzędzi ograniczenia, zwalczania patologii i przywracania sprawiedliwości. Tutaj główną sankcją jest odpowiedzialność polityczna i utrata władzy. Osobom, które mają złe intencje, nieraz wystarczy uniemożliwić dalsze działanie.

Tak już ich rozliczył naród. Za nadmiarowe zgony w epidemii, za kobiety zmarłe wskutek zakazu aborcji, za niewyjaśnione śmierci na komisariatach, za Piotra Szczęsnego, Pawła Adamowicza, Mikołaja Filiksa...

– Kiedyś spotkałem policjanta w Stanach, który zawsze, kiedy był na zabójstwie, rozmawiał podczas oględzin z ofiarą i mówił: „Zrobię wszystko, co mogę, jesteście ci to winni”.

Jak odpowiedzieć powinni funkcjonariusze z TVP?

– Linia obrony osób, które zachowywały się niemoralnie, na granicy prawa albo podlegały do przestępstwa, będzie taka, że one tylko realizowały swój odcinek, ktoś im kazał, nie wiedzieli. Ich wina będzie więc niestety uznaniowa, zawsze tak jest z aparatem propagandy. Skuteczne będą procesy o podżeganie czy naruszenie dóbr osobistych przez konkretnych funkcjonariuszy tzw. mediów publicznych. I pewnie będą tu wyroki skazujące tychże na odpowiedzialność finansową czy pracę społeczną.

Ponad 50 osób zmarło na granicy polsko-białoruskiej.

– Odpowiedzialni za pushbacki będą się smażyć w piekle. Pushbacki są bezprawne i ten, kto wydał polecenie oraz kto je realizował, powinien się liczyć z odpowiedzialnością karną. Każde państwo musi chronić granice, ale nie można naruszać godności żadnego człowieka czy doprowadzać do jego śmierci. Ci, którzy zginęli, to nie są przemytnicy ani szpiedzy białoruscy, lecz ofiary handlu ludźmi. Osoby bezbronne, często kobiety i dzieci. Dla mnie to jednoznaczne, niezależnie od tego, jaki hejt mnie spotka ze strony tych, którzy siłę państwa widzą w sile strażnika granicznego, żołnierza czy policjanta. Pushback to nie jest metoda polityki antyimigracyjnej. To tak, jakbyśmy wylapywali w nocy ofiary gangu w Pruszkowie i zawozili ich do Wołomina, żeby tam ich bito albo zabito.

Kamińskiemu i Wąsikowi się nazbierało?

– Ci panowie robili to wszystko świadomie i mam nadzieję, że nie będą wiecznie unikać odpowiedzialności za swoje czyny poprzez triki z ulaskawieniami. Sprawiedliwość wcześniej czy później następuje.

Przypadek prokuratora generalnego i ministra sprawiedliwości też będzie łatwiejszy do rozliczenia niż Kaczyńskiego. Chociaż za drugich rządów PiS wiele zmian prawnych uniemożliwiło ściganie prokuratorów, ministrów za sprawy, za które byli ścigani podczas pierwszych rządów. Ziobro był wtedy ścigany za ujawnienie prezso-wi Kaczyńskiemu tajnych informacji, więc kiedy doszli do władzy ponownie, zmienili prawo i prokurator generalny może ujawnić wszystko. Konstytucjoniści i prokuratorzy prześladowani przez kolegów Ziobry powiedzą więcej na ten temat i mam nadzieję, że tutaj także politykom nie zabraknie determinacji.

Czego na pewno nie wolno odpuścić?

– Żadnego przypadku korupcji, niegospodarności czy łamania praw człowieka. Nie ma chyba nikogo, kto by wymienił te setki afer ciurkiem, a teraz wyjdzie wiele innych, których jeszcze nie umiemy nazwać. Znane afery PiS w większości rozpracowali dziennikarze. Państwo ścigało osoby niewinne, a chroniło osoby władzy, które przestępstwa popełniały.

AGENCI ROSYJSCY NAS NIE OMIJAJĄ

Co powinno być załatwione w świetle kamer, żeby ludzie, którzy oglądali TVP, poznali prawdę?

– Koledzy żartują, że jestem zdobywcą korony komisji śledczych, bo byłem świadkiem we wszystkich, oprócz komisji Rywina. Po-wiem coś niepopularnego jak na urzędnika, ale żadna z komisji nie osiągnęła w stu procentach celu powołania. Z reguły jest bytem medialnym i nie treść zeznań, ale pot, mina, gesty mają znaczenie dla widzów. Trzeba jednak wykorzystać to narzędzie, żeby zmusić ludzi PiS i Ziobry do mówienia. Komisję śledczą powołuje się, kiedy właściwe organy państwa nie radzą sobie ze ściganiem przestępstw. Taką sprawą są np. respiratory, skoro różne instytucje uwikłały się w deal z facetem, o którym nikt nie słyszał, oprócz Agencji Wywiadu i CBA. Zapłacono mu, respiratorów nie dostarczył, po czym następuje jego tajemnicza śmierć. Ten ordynarny walek powinien zostać wyjaśniony w świetle kamer.

Podobnym przykładem jest Pegasus, bo to Ziobro przekazał miliony z Funduszu Sprawiedliwości na zakup urządzenia, które nie służy ochronie ofiar przestępstw, ale powoduje nowe ofiary. To też uwikłanie najwyższych urzędników w służbach, bo od 1990 inwigilacja jest w Polsce nielegalna, a Pegasus to narzędzie inwigilujące, które bezprawnie pozyskuje o ofercie wszystkie dane, także te wrażliwe o religijności, seksualności itd. Stosowano je wobec przeciwników politycznych, prokuratorów, mecenasów, senatorów, samorządowców, działaczy związków zawodowych. Zaraz się okaże, że stosowali nie tylko Pegasus, ale też np. Kucyka Pony albo inne narzędzie o nazwie mitycznego zwierza.

Pan pewnie wie coś o tych zwierzach.

– Słyszałem nawet o jakichś chińskich nazwach i w innym alfabecie pisanych.

Czy wracać do afery podsłuchowej, dzięki której prawdopodobnie rosyjskie służby pomogły PiS zdobyć władzę w 2015?

– Przy okazji porządkowania kontrwywiadu, wywiadu i innych służb niektóre osoby powiedzą więcej niż kiedyś. Ja nie mam dowodów, że polecenie nagrywania w restauracji Sowa i Przyjaciele i innych przyszło z ambasad rosyjskiej, ale znając świat służb, a także funkcjonując siedem lat tu, w Moldawii, gdzie służby rosyjskie są bardzo aktywne, uważam, że nawet jeśli tych podsłuchów nie inspirowali Rosjanie, to pozyskali dostęp do tych nagrań. A nie wszystkie ujawniono. Dokonano selektywnego doboru wykraczającego poza możliwości intelektualne dziennikarzy, którzy te nagrania publikowali.

Naczelnym „Wprost” był Sylwester Latkowski, wydawcą Michał Lisiecki, prezes Point Group. Co z resztą nagrań, na których był podobno Mateusz Morawiecki?

Policjanci stracili twarze, gdy zaczęli je zasłaniać

– Myślę, że ci, którzy je posiadają, bardzo o nie dbają. Można podejrzewać, że są do dyspozycji obcych służb, bo nagrania z podsłuchów publikowano w określonym celu, tempie i timingu.

Niewyjaśniona pozostaje też afera podkarpacka. Agent CBA Wojciech Janik na zlecenie PiS szukał haków na pana, a podobno odkrył nagrania m.in. Marka Kuchcińskiego uprawiającego seks z 14-latką.

– Ktoś szukał złych rzeczy na mnie, a znalazł ponoć na inne osoby. Jeśli są takie nagrania, to mogą kiedyś wypłynąć, co powoduje bezsenność osób, których dotyczą. Zrobiono wszystko, żeby tę sprawę rozmyć i skompromitować agenta, który taśmy zdobył. Janik mógł wszystko, wchodził do swojego szefa Ernesta Bejdy, kiedy chciał, jako ktoś bardzo zaufany. Ale kiedy zaczął ujawniać niewygodne informacje i sprzeciwiać się poleceniom, zrobiono z niego wariata i przestępcę. Podobny przypadek jak agenta Tomka. Dopóki był przydatny i realizował oczekiwania, mocodawcy go chwalili i nagradzali. Kiedy zaczął mówić, kto mu co kazał i co było nielegalne, został zatrzymany, aresztowany i do dzisiaj jest zastraszany.

Kto może mieć nagrania podkarpackie?

– Mówi się, że są ukryte w Ukrainie. Ale to pytanie do osób odpowiadających za bezpieczeństwo państwa. Nie możemy żyć w kraju, w którym ukrywa się „kompromaty” i nie wiadomo, kiedy wybije czyja godzina. A to tylko jedna z podobnych spraw. I nie mówimy o lokalnych włodarzach, szeregowych policjantach, ale także o najważniejszych osobach w państwie.

Kto był jeszcze nagrany w takiej sytuacji?

– Za chwilę zrobią proces mnie i pani. Można założyć, że ktoś rejestrował schadzki w domach publicznych – i to dotyczy nie tylko jednego gościa i nie tylko przez miesiąc.

I w tej sprawie są trzy śmierci.

– Bardzo dziwne śmierci. Afera podkarpacka i sprawa Falenty zostały opisane, o wielu innych opinia publiczna jeszcze nie wie, a może, o zgrozo, nie wiedzą również same służby, bo nie ma jeszcze symptomów tych działań albo są źle odczytywane.

Co pan ma na myśli?

– Nowe kierownictwo służb na pewno dowie się nowych rzeczy. Trudno sobie wyobrazić, aby agenci rosyjskich służb przez ostatnie lata omijali nasz kraj. Przeciwnie, jesteście jednym z głównych miejsc aktywności Rosjan.

Oni stoją za mailami Dworczyka? Publikacje Poufnej Rozmowy ciągle się ukazują i nawiązują do bieżącej polskiej polityki.

– Maile Dworczyka traktowałbym tak jak afery Falenty, bo skopiowano skrzynki pocztowe najważniejszych osób w państwie. Sprawa jest rozgrywana i mogą za tym stać Rosjanie. Ktoś te maile analizuje, gromadzi i publikuje według określonego planu. I podobnie jak nie opublikowano wszystkich podsłuchów z afery Falenty, tak samo tutaj nieopublikowane maile będą wywoływały pot na czołe wielu polityków przez wiele lat. Te maile są publikowane we fragmentach prawdopodobnie po to, żeby ich szantażować i destabilizować sytuację w Polsce. I nie zmieni tego udawanie przez polityków PiS, że to „ruskie fałszywki”, bo ponad wszelką wątpliwość te maile są prawdziwe.

Dlaczego służby PiS nic z tym nie robiły?

– Bo to by szkodziło prominentnym członkom partii z premierem na czele. Brak reakcji ze strony Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, a także obłuda i manipulacja polityków PiS, którzy nie chcą o tym mówić, dowodzą, że państwo polskie nie radzi sobie z tą sytuacją. Opublikowanie znacznie bardziej blahych maili kandydującej na prezydenta Hillary Clinton zakończyło się śledztwem i przyniosło surowe konsekwencje.

Publikacja maili Dworczyka pokazuje nie tylko stan bezpieczeństwa państwa, ale

też przy okazji nepotyzm, kumoterstwo, korupcję, układy, prośby o pracę itd. Osoby, o których mowa w mailach, zostały zatrudnione i robiły karierę. Gdybym jako szef dostał taki mail i wziął kogoś do pracy, to powinienem dostać zarzuty. Tam są informacje o przestępstwach, na które z urzędu powinna zareagować nie tylko ABW, bo politycy PiS zdradzali informacje niejawne, ale także prokuratura i CBA. Żadnych reakcji nie było. Wszyscy bohaterowie maili muszą zostać przesłuchani i ponieść odpowiedzialność karną, jeżeli popełnili przestępstwa.

PiS sprzedał udziały Rafinerii Gdańskiej firmie Saudi Aramco, która może je odsprzedać Rosjanom. A Lotos – węgierskiemu koncernowi MOL powiązanemu z Rosją. Co służby robiły w sprawie bezpieczeństwa energetycznego Polski?
– Nowy zarząd Orlenu i nowi szefowie służb specjalnych muszą ustalić, czy doszło do niegospodarności i zagrożenia bezpieczeństwa państwa. Kto jest winny, kto brał pieniądze za opinię, kto pośredniczył w transakcjach, ile straciło państwo. Słyszałem o funkcjonariuszach służb, którzy nie chcieli się zgodzić, chociaż byli z jądra PiS.

Nie chcieli się zgodzić na co?
– Nie chcieli podpisywać dokumentów, które miały uzasadniać te transakcje, w tym fuzję Orlenu z Lotosem. Nie chcę o tym za dużo mówić, ale służby mają swoich ludzi w takich instytucjach. Kiedyś to byli profesjonalści, a za PiS... W Lotosie był Marzec, jeden z dyrektorów CBA, który znalazł się tam dlatego, że znał Kamińskiego. To on ponoć nie chciał podpisać papierów – może dlatego, że dotyczyły de facto likwidacji Lotosu. Trzeba zanalizować cały proces, kto do kogo dzwonił, pisał maile itd.

Tyle że przed fuzją PiS specjalnie wprowadziło procedurę omijającą obowiązek informowania służb.
– To tak, jakby przed napadem na stację benzynową zdemontować monitoring. Ale w służbach, w ABW, jakieś opinie, analizy na ten temat są. Pytanie, czy rządzący wzięli je pod uwagę.

No to muszę spytać o rolę byłego rzecznika PiS Adama Hofmana. W 2013 zawiądomił pan prokuraturę o podejrzeniu popełnienia przez niego przestępstwa – Hofman dostawał przelewy, od których nie płacił podatku, ręczył za niego Robert Pietryszyn, twierdząc, że to przyjacielskie pożyczki. Na początku rządów PiS

państw będą mogły u nas działać bez zgody rządu polskiego.
– Nie tylko służby, ale też, mam nadzieję, prokuratorzy Prokuratury Europejskiej. Nie mam problemu z obecnością żołnierzy amerykańskich w Polsce, a pewnie towarzyszą im agenci, którzy ich chronią kontrwywiadowczo. Natomiast wszyscy mamy problem z obecnością rosyjskich agentów, chociaż nie ma w Polsce jednostek wojskowych, które musieliby chronić. I to powinno chyba bardziej niepokoić byłego premiera polskiego rządu. A to, że oni tutaj są, należy przyjąć jako fakt.

Jak głęboko wpływają na to, co się u nas dzieje?
– Nie mam aż takiej wiedzy jak choćby Piotr Pytel, który od początku wolnej Polski pracował w kontrwywiadzie. W Polsce nie ma sentymentu prorosyjskiego, jak w niektórych republikach postsowieckich, prorosyjskość budzi niechęć, więc u nas ta agentura musi być zakamuflowana.

Jawnie prorosyjski Leszek Sykułski, który był w Komisji Weryfikacyjnej WSi, ma odznaczenie od prezydenta Dudy.
– Ciężko to skomentować, ale teoretycznie: jeśli szpieg rosyjski dostał odznaczenia od prezydenta w innym państwie, to niewątpliwie dostałby równoległe dużą premię w Rosji. Nie bądźmy naiwni, nie wszyscy agenci służb sowieckich wyjechali z Polski razem z wyjściem wojsk radzieckich. I nie mam na myśli tych, którzy odbyli różne szkolenia na Wschodzie. Ja przeszedłem kilka szkoleń w USA i nie jestem agentem amerykańskim. Osobę, która była na szkoleniu w ZSRR – co w komunie było często elementem rozwoju zawodowego – wręcz trudno podejrzewać o agenturalność, bo jawność takiego szkolenia już dekonspiruje. Mówię o ludziach zkonspirowanych i ich współpracownikach, informatorach, którzy byli aktywni np. w czasie zrywu solidarnościowego w latach 80. Tylko kilka osób zostało ujawnionych, a potężny Związek Radziecki miał w Polsce więcej niż dwóch czy trzech agentów.

W Rosji jest olbrzymia złość wobec obywateli państw nadbałtyckich i Polski – co widać chociażby w rosyjskich mediach – za to, że nam się udało wyrwać z orbity wpływów Rosji, zbudować dobrobyt i wstąpić do NATO, co traktują jak zdradę. Jesteśmy dzisiaj jednym z priorytetów na mapie służb rosyjskich. Zatrzymanie szeregowych żołnierzy, którzy grasują po Polsce, nie pokazuje realnej aktywności tych służb. Mam obawy, że w ostatnich latach polskie służby nie widziały zbyt wiele. Od kilkunastu lat Rosja-

ję antyzachodnie, antynatowskie i antyunijne memy. To efekt propagandy rosyjskiej, która tu dociera. Nie można naiwnie myśleć, że ona nie dociera do Polski. Ktoś tylko musi na końcu nacisnąć enter, odebrać, wysłać, zaktualizować i zdecydować, jak należy to u nas podać.

Powinna powstać komisja do spraw badania wpływów rosyjskich? Prawnicy wyliczyli, że pisowska komisja „lex Tusk” łamała konstytucję w 13 punktach.
– Państwo nie powinno funkcjonować, opierając się na komisjach, musi być silne swoimi instytucjami. W kontekście wojny i tego, co się u nas działo w ostatnich latach, priory-

Orlen-Lotos: szukać między papierami, między biurami i między państwami

tetem nowego rządu powinna być praca wywiadu i kontrwywiadu, tropienie agentów rosyjskich, ale to wymaga czasu i inwestycji, bo PiS te służby zdziiesiątkowało.

Nie chcę, żeby ludzie myśleli, że u nas wszędzie są szpiedzy, działalność wywiadów to też wykorzystywanie wpływów osób publicznych, niekiedy niezadających sobie z tego sprawy. Tu, w Moldawii, nie mam telewizji polskiej, mam rosyjską. Nacjonalizm rosyjski i wojna przeciwko Zachodowi opierają się na sojuszu tronu z ołtarzem i mesjanistycznej wierze, że Rosja zbawi Europę, ocali przed zarazą LGBT+, UE i NATO, które są potępiane także przez Cerkiew. U nas jest podobnie. Główną linią ataku w Rosji są mniejszości i odmienności – tak jak u nas. W Rosji jest kult siły i inwestycja w ruchy nacjonalistyczne. Klub motocyklowy Nocne Wilki, skinheadzi, kibice mają się tam dobrze – tak jak u nas kibole i faszysty. Rosyjskie media mówią o niefunkcjonalnym NATO i słabej Unii, gdzie kobiety mogą być na ulicy zgwałcone przez migranta – ta linia była powielana w polskich mediach rządowych. Przed wojną w Ukrainie leciałem do Polski przez Mińsk i w hotelu oglądałem telewizję białoruską – proszę uwierzyć, struktura programu informacyjnego w TVP była identyczna z tą na Białorusi, najpierw leci informacja o świetnym prezydencie, potem o fatalnej opozycji, o postępach władzy, zgniłym Zachodzie, a na koniec o światłym kierownictwie partii. To efekt wpływu potężnej operacji dezinformacyjnej, antyhumanistycznej, antyzachodniej prowadzonej u nas przez Rosję. Jeżeli boty chińskie podbijają wpisy niektórych polskich polityków, to mogą to być też boty rosyjskie, wysyłane z Chin czy Pakistanu. Niedawno widzieliśmy skandaliczne antysemickie zachowanie posła Brauna – ono nie tylko kompromituje Polskę na scenie międzynarodowej, ale też służy Rosji.

W Moldawii zabroniono partii prorosyjskiej Sor startu w wyborach, u nas nikt nie sprawdza polityków, czy działają na rzecz obcego wywiadu.
– To powinna być bieżąca działalność ABW, tak jak analizowanie propagandy. W Moldawii, której mam honor doradzać w imieniu Unii, te zagrożenia są znane, również nielegalne finansowanie partii politycznych, tam instytucje mają kompetencje, żeby reagować. U nas wymaga to zmodernizowania i chodzi mi nie tylko o kodeks wyborczy, ale też deklaracje o stanie majątkowym, konflikty interesów itd. Ustawa antykorupcyjna z 1997 r. jest nieadekwatna do obecnej rzeczywistości.

PIRAMIDA KORUPCJI

Wprowadza pan w Moldawii procedury antykorupcyjne. My w Polsce nie wiemy,

jaki naprawdę jest majątek Kaczyńskiego, Morawieckiego, Glapińskiego, są problemy z oświadczeniami także polityków mniejszej rangi, jak np. Tomasza Poręby, który organizował spotkanie propuciniowców w Warszawie. Co naprawić?
– Ja tych procedur nie wprowadzam, ale doradzam, jak to robić. Walka z korupcją to nie jest sprawa na dzisiaj i jutro, tylko proces stały. Korupcja pochodzi od łacińskiego słowa „corruptio”, co znaczy zepsucie. Jeśli w Łódówce jest temperatura sprzyjająca gniciu, to produkty gniją. Trzeba ją myć regularnie, robić serwis i wywalać to, co się psuje. Korupcja – często to powtarzałem jako szef CBA, ale

niektórzy politycy tego nie zrozumieli – tak jak przestępczość, jak narkomania jest patologią, a patologie są demokratyczne, dotyczą wszystkich: polityków, urzędników, duchownych, policjantów, nauczycieli itd. Walka z patologiami to nigdy nie powinien być proces polityczny, muszą się tym zajmować instytucje od polityków niezależne.

W Polsce za kontrolę oświadczeń majątkowych odpowiada Centralne Biuro Antykorupcyjne, a jak CBA nie wszczyna kontroli, to nikt nie może tego oświadczenia skontrolować. To powinna być kompetencja np. urzędów skarbowych, które i tak mają dostęp do historii finansowej i dosyć ostre uprawnienia. Odpowiedzialność za podane treści ponosi wypełniający oświadczenie, ale powinno ono także interesować przełożonych danej osoby, np. ministrów, których urzędnicy składają oświadczenia majątkowe.

W Moldawii wchodzę na stronę Narodowej Agencji Przejrzystości, wpisuję nazwisko dowolnego polityka – oczywiście w tym rejestrze nie ma funkcjonariuszy służb specjalnych i antykorupcyjnych, ich dane podlegają szczególnej ochronie – i mogę znaleźć jego oświadczenie majątkowe świeże i sprzed lat, proces digitalizacji też już się praktycznie zakończył. W oświadczeniu są informacje o posiadanych samochodach, nieruchomościach z przybliżoną wartością realną, kryptowalutach, majątku żony czy partnerki, jeżeli zamieszkują razem powyżej sześciu miesięcy, a także rodziców bądź dzieci, jeżeli mieszkają w jednym miejscu. W przypadku wykrycia znaczących rozbieżności między majątkiem deklarowanym i posiadanym majątek może podlegać konfiskacie.

Nasz system oświadczeń majątkowych jest niejasny, deklaracje są wypełniane ręcznie, nieczytelnie i jest szeroka interpretacja tego, co się wpisuje. Oświadczenia powinny być wypełniane na szablonie elektronicznym i zawierać rzeczywiste dane finansowe członków rodzin. Rozdzielność majątkowa dokonywana w związku z objęciem publicznej funkcji, żeby nie szokować opinii publicznej wartością majątku, wywołuje u mnie podejrzenie. Rozumiem rozwody, separacje, ale w przypadku wspólnego korzystania z majątku można podważać zasadność takiej rozdzielności.

A co z korupcją w spółkach skarbu państwa? Wszyscy finansowaliśmy PiS, który pobierał haracz od ludzi przez siebie tam wsadzonych.
– Ustępująca władza opanowała ten mechanizm do perfekcji. Ci ludzie mówią: prawo nie zabrania, wpłaciłem – i co mi zrobicie. Sprawdzalbym, co się działo między tymi wpłatami, kto do kogo dzwonił, czy ktoś kogoś szantażował, coś kazał, wymusił, jak to się stało, że jednego dnia kilkadziesiąt osób wpłacało

Odpowiedzialni za pushbacki będą się smażyć w piekle

Pietryszyn był prezesem Lotosu. Po odejściu założył z Hofmanem firmę R4S, która współpracowała z MOL i lobbowała za fuzją Orlenu z Lotosem, a po fuzji zarobiła na sprzedaży Lotosu Węgrom, o czym pisał dziennikarz Jacek Harlukowicz.
– Pośrednio przeze mnie Hofman odszedł z polityki i jest teraz bogatszym człowiekiem. On i Pietryszyn dalej razem działają na Węgrzech...

Po rozpadzie R4S założyli firmę Butterfly Strategies.
– I tę nitkę trzeba sprawdzić. Nie tylko dokumentację, ale też kuchnię tych procesów w Orlenie. Kto z kim i co nieformalnie uzgadniał, kto opiekował się sprawą, żeby tak się zakończyła. Bo papiery zawsze wyglądają idealnie, prawnicy o to dbają. Szukać należy między papierami, telefonami, komputerami i między państwami.

Mateusz Morawiecki ostrzega, że po zmianie prawa unijnego służby obcych

nie wpływają na opinię publiczną i na wybory w Stanach i Europie. Nikogo nie rozstrzeliwują, ale planują na kilka lat do przodu, prowadzą akcje propagandowe. Służby rosyjskie są w lepszym stanie niż ich armia, chociaż pamiętam, że kiedy moi koledzy ze Służby Kontrwywiadu Wojskowego wykrywali operacje GRU, to niektóre działania Rosjan były głupie, dekonspirowane z powodu alkoholizmu itd. Ale tych lepszych i gorszych Jamesów Bondów jest dużo i Rosję stać na ich utracę.

Po przegranych przez PiS wyborach rosyjski politolog Aleksandr Chramczychin napisał, że Polska i Rosja to bracia na zawsze, bo PiS i ludzie Putina bronią tradycyjnych wartości, walczą z lewackim szalenstwem Europy, a Polska powinna żądać reparacji od Niemiec, Ukrainy i Litwy.
– Retoryka PiS i Putina jest podobna. Nieraz od kolegów Moldawian, którzy mają korzenie rosyjskie albo próbują być „neutralni”, dosta-

identyczną kwotę na konto PiS czy SP. Trzeba zmienić prawo, żeby uniemożliwić takie patologie. Bo teraz polityk może się umówić z 10 osobami, że je zarekomenduje do spółek skarbu państwa, a one w zamian nie tylko wpłacą mu pieniądze na kampanię wyborczą, ale też będą np. utrzymywać jego i jego rodzinę do końca życia. A już absolutnym skandalem jest to, że w tym procederze korupcji politycznej brały udział osoby, które nie tak dawno odpowiadały za politykę antykorupcyjną państwa, jak byli szef CBA.

Ernest Bejda, zasiadający m.in. w zarządzie PZU.

– Wreszcie, tak po ludzku, jestem ciekaw, czy te osoby mówiły w domu: „Kochanie, wiesz, muszę wpłacić 45 tys. na kampanię wyborczą, żeby wesprzeć partię”. Raczej mówiły wprost: „Muszę zapłacić myto, inaczej nie będę tu pracował”. Kto wygrywa konkurs na stanowisko, nie musi się nikomu odwdzięczać, ale jeżeli praca i olbrzymie zarobki są oparte na czyjejś rekomendacji, to tworzy się system patronów i wasali. Piramida zależności: u dołu ci, którzy komuś coś zawdzięczają, u góry ci, którym się coś zawdzięcza.

Długi wdzięczności – jak z „Ojca chrzestnego”.

– Nielojalni wypadają z obiegu i piramidy. Wiele byłych funkcjonariuszy służb, zakolegowanych z Kamińskim lub jego pretorianami, jest w spółkach skarbu państwa. Trzeba ich zapytać wprost: jak pan się dowiedział, że było takie miejsce w tej firmie, dlaczego pan tam złożył CV? Taki gość nie będzie wiedział, co odpowiedzieć, on będzie wiedział tylko, kto go polecił i otworzył drogę do dużych pieniędzy, zamykając ją innym. O tych wpłatach na PiS wiemy tylko dlatego, że muszą być rejestrowane. Ale ciekawe, jak oni jeszcze wzajemnie się oplacają, kto komu co funduje. Standardy trzeba przywrócić nie tylko w spółkach, ale też we wszystkich instytucjach, bo PiS tak upartyjniło państwo, że nie istnieje już służba cywilna.

Kto wie, jak urosły majątki PiS i SP po tych ośmiu latach...

– Zaciera się granica między tym, co partyjne, a tym, co prywatne, jak pokazuje np. historia ze Srebrną. Gdzie jest biznes, gdzie partia, gdzie interes prywatny. Każdy obywatel powinien mieć jasny obraz finansów partii, zwłaszcza że partie polityczne są finansowane w Polsce w dużej części z subwencji. Rozwiązania, jakie dziś mamy, zaciemniają obraz, często są nielogiczne. Dotyczy to np. rejestru podarunków. Jako szef CBA dostawałem kiedyś w prezencie psa i zgłosiłem go do Państwowej Komisji Wyborczej, bo tam się zgłasza prezenty. Ale dlaczego akurat tam? Cóż ma PKW do osoby, która nie pochodzi z wyborów?

Przede wszystkim: co z psem?

– Mieliliśmy jednego cavaliera, więc żona i współpracownicy wymyślili, że dostanę drugiego, tylko innej maści. Niestety, ten starszy już zmarł, ale Gonzo jest z nami – i jest może jedynym w historii zadeklarowanym szczeniakiem-podarkiem. Sprawdzi pani w PKW, że dostałem psa, ale nie zobaczy pani, kto korzysta np. z samochodu, który mu dała jakaś firma w leasing lub do testowania, i może nim jeździć kilka lat albo go zmieniać co roku. Bo w Polsce tego się nie deklaruje, a to są wrażliwe usługi, często w celu kupowania sobie przychylności czy korumpowania urzędników.

Politycy lubią mówić o korupcji, kiedy policjant wziął łapówkę na drodze, lekarz kopertę, a sędzia kielbasę. To proste i łatwe jak zwalczanie chuligaństwa – ktoś kopie śmietnik, sika, można go szybko ukarać. Natomiast nepotyzm, kumoterstwo, klientelizm, korupcja polityczna są o wiele groźniejsze. Jeden policjant bierze łapówki od kierowców, a drugi jest naczelnikiem w tej samej komendzie, bo został tam wskazany przez polityka. Który jest gorszy? Skurczybka, który bierze kasę, łatwo wyrzucić, a ten skorumpowany na większą skalę może nawet awansować. I trudno go złapać, bo zdobywa pieniądze w inny sposób.

W Polsce nikt nie zajmuje się na poważnie polityką antykorupcyjną, prewencją. Ale tak, jak się zapobiega narkomanii, alkoholizmowi, przestępczości, tak powinno się budować mechanizmy zapobiegania korupcji. Polska jako jeden z nielicznych krajów nie wdrożyła wydanej w 2019 r. dyrektywy unijnej o sygnalistach. To nowoczesny mechanizm prewencyjny wymyślony kiedyś w Stanach: państwo ma zapewnić ochronę przed odwetem, zwolnieniami, represjami tym, którzy zgłaszają naruszenia prawa, przestępstwa w biznesie czy polityce – może dlatego nie podobał się rządzącym z PiS. Kiedyś policjanci brytyjscy i amerykańscy używali gwizdka, żeby zaalarmować innych, gdy widzą coś złego i potrzebują wsparcia, dlatego ten mechanizm nazywa się whistleblowing, od gwizdania.

Musi być wreszcie poczucie równości wobec prawa i nieuniknionej odpowiedzial-

Zawsze znajdzie się jakiś „Dziad”, jakiś Dyzma. Ważne, żeby mafie trzepakowe nigdy nie rządziły ani nie miały wpływu na państwo

ności. W sprawach mniejszej wagi może to być odpowiedzialność dyscyplinarna, finansowa, administracyjna, bo w Polsce wszystko, włącznie ze złożeniem wadliwej deklaracji czy podaniem nieprawdy w oświadczeniu majątkowym, sprowadza się jedynie do ścigania karnego.

POLICJA W KOMINIARKACH

Kto po likwidacji CBA powinien walczyć z korupcją?

– CBA bardziej było zaangażowane w walkę z opozycją niż z przestępcami. Chyba nikt nie jest w stanie wymienić ani jednej wykrytej dużej afery korupcyjnej czy choćby jednego mafiosa VAT-owskiego, którego by zatrzymano i ukarano. Ale polityka antykorupcyjna to coś więcej niż istnienie czy nieistnienie CBA. W państwach skandynawskich i Europie Zachodniej policje, prokuratury i urzędy podatkowe są na tyle sprawne, że radzą sobie z tym problemem i tam nie ma biur antykorupcyjnych. Tego typu struktury tworzone są częściej w państwach Europy Środkowo-Wschodniej i postsowieckich krajach Azji Centralnej. W Polsce postawiono na model służby specjalnej, który – jak pokazały ostatnie lata – niesie więcej zagrożeń niż korzyści.

Dla porównania, Centralne Biuro Śledcze nie skompromitowało się politycznie, z czego jestem dumny jako jego były dyrektor i funkcjonariusz. CBS ma kadre o wysokich kwalifikacjach i zdolności prowadzenia trudnych postępowań, ma instrumentarium do ścigania przestępczości zorganizowanej, terroryzmu, przestępczości finansowej, a także korupcji, bo sposoby walki z tymi przestępstwami są identyczne.

CBA to 1300 osób, co zrobić z tymi ludźmi, żeby np. nie weszli do struktur równoległych?

– Policja ma problemy kadrowe, dla profesjonalistów nie zabraknie miejsca. Musi być tylko weryfikacja tych ludzi, ale o tym będą decydować nowi szefowie służb, nie chcę wchodzić w nie swoje buty.

Czy w policji też powinna być weryfikacja?

– Policja to prawie 100 tys. funkcjonariuszy plus pracownicy cywilni, ciężko zepsuć tak potężną instytucję w całości. Są miejsca, gdzie sprzeniewierzono się rocie ślubowania, ale to,

mam nadzieję, tylko część ludzi. Jeżeli przyjdą tam nowi przełożeni, policja szybko sama się zweryfikuje, zresztą już po wyborach nie reagowała, gdy rozbierano barierki przed Sejmem. Policja, jak i prokuratura, ma taką zdolność żeglarską, że potrafi się dostosować do zmian kierunku wiatru.

Chodzi o to, żeby się nie dostosowywała, żeby w przyszłości zachowała apolityczność.

– Na wizerunku policji ciążyą skandaliczne zachowania wobec obywateli w czasie zgromadzeń czy podczas prostego legitymowania. Policja ma też problem wizerunkowy z zabezpieczaniem miesięcznic, domu prezesa PiS, zatrzymywaniem obywateli, którzy nie mogli przejść przez plac Piłsudskiego itd. Ale to nie policja kupiła Pegasusa. Z wyjątkiem kilku przypadków nie zajmowała się, tak jak inne służby, politykami opozycji.

Ważne, żeby mafie trzepakowe nigdy nie rządziły ani nie miały wpływu na państwo

Bila ludzi pałkami. Nie może być tak, że szef policyjnych związków zawodowych Rafał Jankowski, który dawał Kamińskiemu i Wąsikowi jakieś medale, powie, że policja jest porządna, i po sprawie.

– Było bicie, łamanie rąk, i to powinno być rozliczone. Sam brałem udział w protestach i moja żona z córkami uciekały przed policją. No, żeby rodzina byłego policjanta uciekała przed policjantami? Policjanci stracili twarz, gdy zaczęli je zaślaniać. Teraz wszyscy, prócz antyterrorystów, powinni zdjąć kominiarki. Nie wstydzić się nazwisk na identyfikatorach. Nauczyć się, kiedy można obywatela legitymować, kiedy nie. I walczyć o odzyskanie zaufania, a to będzie długi proces. A gdybym był szefem związków zawodowych, nie wykonałbym sobie zdjęcia z dwoma ministrami, bo to stawiałoby pod znakiem zapytania moją „apolityczność” i byłoby zwykłym lizusostwem.

Czy jest miejsce w policji dla ludzi, którzy kolaborowali z PiS?

– Nie może być w policji miejsca dla osób, które sprzeniewierzyły się rocie ślubowania ani dla polityków w mundurach. Ale policja ma potężny problem kadrowy, który ociera się o zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa, więc nie jestem zwolennikiem czystek. Może trzeba dać szansę tym osobom, żeby powiedziały, dlaczego tak robiły.

Komendant Szymczyk chyba powinien odpowiedzieć za kłamstwa o śmierci Stachowiaka, za wysyłanie policjantów na protestujących, za granatnik?

– Komendant główny policji powinien odpowiadać za przewinienia dyscyplinarne czy przestępstwa na takich samych zasadach jak każdy policjant. Te sprawy mają teraz szansę zostać wyjaśnione. Ale ja znam osobiście komendanta Szymczyka, więc niezręcznie mi go oceniać. Policja została upolityczniona na różnych poziomach, nie tylko Komenda Główna. Często nie można było zostać komendantem powiatowym czy naczelnikiem wydziału, jeśli się nie miało dobrych relacji z miejscowym działaczem PiS.

Broni pan Szymczyka?

– Nie. Granatnik przewieziony z Ukrainy do Polski to sprawa kryminalna. Każdy szeregowy policjant miałby kłopoty z tego powodu, wszyscy widzieli polityczny parasol ochronny i znowę milczenia wokół tego zdarzenia. Straszne też było dla mnie osobiście, kiedy ko-

mendant Szymczyk powiedział, że „największym szczęściem dla policji jest to, że Kamiński jest ministrem spraw wewnętrznych”. To świadczy o poddaństwie. Może dzięki tej spolegliwości kierownictwo policji dostało od ministra na pożegnanie wysokie dodatki. Notabene, jak nienormalna to sytuacja, że policjantów nadzorował przez osiem lat człowiek skazany przez sąd pierwszej instancji.

Zepsucie policji nie jest jednak tak głębokie, jak w służbach specjalnych, policja jest zbyt duża i jest tam jeszcze wielu ludzi z twardymi kręgosłupami. Niektórzy z nich ostrzegali mnie przed wyborami, że są pomysły polityków, by kompletować zaufane grupy policjantów i szukać materiałów na opozycję, ale finalnie to się nie udało. CBS i policja nie były zaangażowane w operacje wymierzone w przeciwników władzy, a służby, w szczególności CBA, tak.

Apelował pan po wyborach na Twitterze do policji, żeby się nie dała w nic wciągnąć.

– Żeby nie dali sobie podrzucić kukulczych jaj. Miałem cel i podstawę, żeby coś takiego napisać. W policji łatwiej pewne rzeczy schować. Jeżeli chciałbym ukryć pani podsłuch telefoniczny, zrobiłbym to w jednej ze spraw policyjnych, a nie w sprawie prowadzonej przez CBA, bo CBA będzie przechodziło proces likwidacji i wszystko będzie sprawdzane. Różne pomysły przychodziły i będą jeszcze przychodzić do głowy osobom, które są w szoku powyborczym i stresie.

Alarmem o odprawie służb w Lucieniu chyba popsuł pan im zabawę.

– Ich jedyną reakcją na moje wystąpienie, że szukają haków na polityków Trzeciej Drogi, było wszczęcie wobec mnie postępowania karnego, żeby móc rozpracowywać mnie i osoby, które ze mną rozmawiają, żebym niczego więcej się nie dowiedział. Może także przez ten alarm opozycja ma stabilną większość i wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że dojdzie do naprawy państwa, głębokiej reformy służb i ścigania przestępstw. Proszę sobie wyobrazić, że dzisiaj PiS tworzy jakąś egzotyczną koalicję, ktoś z opozycji wchodzi do rządu, bo jest szantażowany.

Podobno PiS proponowało Hołowni, że go poprze na prezydenta.

– Polska pod rządami PiS stała się eldorado dla korupcji politycznej. Zmieniają się mechanizmy korupcyjne. Częściej są to korzyści bezgotówkowe: kontrakty, umowy, stanowiska. W biznesie, na styku administracji i biznesu, w sporcie te zjawiska są ścigane, ale w polityce – nie, bo to wygodne dla wszystkich.

JAK NA RINGU

Pana kiedyś ktoś próbował przekupić? Pytam o politykę, bo kiedy pan łapał zwyczajnych gangsterów, to pewnie często.

– Nie. Jeżeli ktoś chciałby mnie przekupić, musiałby się liczyć z zatrzymaniem, bo to przestępstwo. Ze zdziwieniem słuchałem, jak był szef ABW, niejaki Wacławek, mówił, że jako kontroler NIK i CBA sprawdzał wiele instytucji i wielokrotnie chciano go przekupić. Jeżeli urzędnik dostaje taką propozycję, to jego obowiązkiem jest poinformować przełożonych i prokuraturę. Kiedyś zresztą CBA opracowało procedurę, jak ma się zachować urzędnik, od którego ktoś wymaga nielegalnego zachowania.

Za pierwszych rządów PiS raz mnie chcieli przeffancować. Byłem wtedy p.o. szefem CBS i dochodziło do napięć na linii CBS i Prokuratura Generalna. Wysoki funkcjonariusz policyjny, bardzo zbliżony do prokuratora generalnego Ziobry, mówi do mnie: „Ale czemu ty się tak szarpiesz? Zobacz, możesz być z nami, za chwilę Zbyszek będzie prezydentem, Janusz Kaczmarek będzie premierem, ja będę tym i tym, a ty z nami...”. Nie chcę mówić o personaliach, nie wiem, czyj to był pomysł. A to nie było bredzenie przy alkoholu, ale w czasie urzędowania. Radykalnie, bardzo prostymi słowami odmówiłem.

Później kilka razy zachowywałem się pryncypialnie, np. przy okazji afery stara-chowickiej. Doprowadziliśmy do zatrzy-mań polityków odpowiedzialnych za prze-ciek do miejscowej mafii, sprawa zakończy-la się ich skazaniem, dymisjami w policji, ba, przyczyniła się do upadku rządu SLD. Kiedy PiS doszedł do władzy, Ziobro chciał odtajnić te materiały, żeby uderzyć w SLD. Wszyscy moi przełożeni się zgodzili, tylko ja jeden powiedziałem: nie. Choć to mogła być trampolina dla mnie i moich bohater-skich kolegów. I później już tak miałem, że im bardziej mnie ktoś naciskał i popychał, tym bardziej się opierałem.

I dzisiaj pana nie lubią, podobnie jak generałów Pytla, Noska, Bondaryka, płk. Duszy...

– Bo każdy z nas zaszedł za skórę PiS-owi. Można prowadzić przeciw komuś postępowa-nie wiele lat, tralować, podsłuchiwać, próbo-wać wyeliminować, ale na końcu sąd w dru-giej instancji musi powiedzieć, że ktoś jest winny. Jednak w naszych sprawach takiego wyroku nie było. Zostały uruchomione tylko po to, żeby nas nękać. Ani ja, ani osoby, które pani wymieniła, niczego złego nie zrobiliśmy.

Mnie Bejda, zastępca Kamińskiego, po-wiedział kiedyś na pożegnanie, że paru rze-czy Mariusz mi nie odpuści, np. tego, że udostępniłem materiały z afery gruntowej, przez co zostali z Wąsikiem skazani. Zrobił-bym to jeszcze raz, chociaż to osoby mści-we i będą mi towarzyszyć pewnie do końca życia, ale jak się walczy z przestępcami, to trzeba się liczyć z konsekwencjami. Nie je-stem wystraszony. Im bardziej jestem uder-zany, tym bardziej walczę. To mnie sty-muluje jak na ringu. Kamiński i Wąsik to zli ludzie, którzy stosują metody nie fair, a ja jestem z gołymi rękami. Próbowali mnie zetrzeć z historii policji, służb i nasylali na mnie prokuraturę, w której byłem wielo-krotnie świadkiem oskarżenia, na podsta-wie moich zeznań doszło do wielu skazań prawdziwych gangsterów.

Jak wygląda teraz pana „historia krymi-nalna”?

– Kamiński i Wąsik pewnie bardzo by chcie-li, żebym spotkał się z nimi w jednej celi, ale ja nie zostałem za nic skazany. Oprócz Lucie-nia wiem jeszcze o dwóch postępowaniach. W jednym mi zarzucają, że zwalniając pod-władnego w CBA, nie dopełniłem obowiązku poinformowania prokuratury o jego domnie-manym przekroczeniu obowiązków, co jest nieprawdą. I miałem w tej sprawie niszczyć jakieś dowody przestępstw. W drugim postę-powaniu znany z głośnych spraw prokurator Ziarkiewicz chce udowodnić, że nie mieszkam w Kiszyniowie i że przewożąc przez granicę różne rzeczy, nie mogłem ich deklarować ja-ko tax free, zwolnione z podatku. Ostatnio je-den agent CBA z Gdańska rozesłał po moich sąsiadach w bloku w Warszawie wezwania, ale nie imienne, tylko wystawione na „NN do-rosłego lokatora lokalu nr...”. Sąsiad, który ma w mieszkaniu cztery dorosłe osoby, nie wie-dział, którą z nich wyzywają. Sąsiedzi trzyma-ją za nas kciuki, a też trochę cierpią przez na-szą „popularność”, bo oprócz ataków na mo-ją rodzinę zdarzały się alarmy pożarowe, wi-zyty straży pożarnej, policji.

Wiadomo, kto stał za groźbami wobec pana córek?

– Nie wykryto sprawców i nic nie wyjaśniono.

Pan wie, kto to robił?

– Nie. Żona i córki dostawały telefony z groź-bami prawie zawsze, kiedy wypowiadałem się w mediach na temat Pegasusa, nawet raz żona powiedziała: „Już nie udzielaj żadnego wywiadu, bo znowu będą do nas dzwonić”. To się działo ponad 20 miesięcy temu i pew-nie niektóre ślady zatarli. Ale dostałem maila od osoby, która opisała patologię w Minister-stwie Cyfryzacji związaną z wiceministrem popularnym z uwagi na aferę respiratorową...

Januszem Cieszyńskim.

– ...a jako dowód prawdziwości tych infor-macji załączyła nagranie rozmowy przez te-

lefon z córką, kiedy poinformowano ją o mo-jej śmierci. Policja i prokuratura dostały od nas ten „dymiący pistolet” – jak się nazywa te-go typu dowody – i też nic z tym nie zrobio-no. Czy gdyby to było dziecko któregoś z mi-nistrów, np. syn Mariusza Kamińskiego, to też nic by nie robiono?

Nie chce pan teraz wrócić do Polski?

– Jeżeli będzie wezwanie, to trzeba wsiąść na koń, chwycić szablę w dłoń i walczyć, ale ja i żona świetnie czujemy się w Moldawii, by-wa, że, o zgrozo, lepiej niż w Polsce. Kiedy podróżowaliśmy samochodem, to po prze-kroczeniu granicy polsko-ukraińskiej brali-śmy głęboki oddech, że już nam się nic nie stanie. I to był smutny element tej emigracji. Ale udało nam się ułożyć tu życie. Wygrałem konkurs na stanowisko doradcy wysokie-go szczebla ds. antykorupcyjnych UE i dzieł-ki temu konkursowi, pomimo prób, nie zo-stałem stąd przez polskie władze odwołany, bo to poza polem ich rażenia. Mam tu nawet gabinet przy biurze premiera i współpracuję z prokuraturą. Wciąż zajmuję się walką z ko-rupcją, choć inaczej niż w CBS czy CBA, ale pracuję dla interesu publicznego, a to lubię. Tu jest dla nas bezpiecznie, mimo że 20 pa-rę kilometrów dalej są rosyjskie punkty kon-trolne i Naddniestrze. Mamy tu mieszkanie, przyjaciół, zaadoptowaliśmy psa z moldaw-skiego parku, bo problem psów bezdomnych jest tutaj duży. Po Kiszyniowie jeżdżę rowe-rem, co nie jest zbyt popularne, nie ma ścież-ek rowerowych. Pytają: – Paweł, czy ty się nie boisz? Odpowiadam: – Jeżeli zobaczysz na ulicy stukilogramowego dzika na rowe-rze, to wjedziesz w niego czy nie? – No nie. – I we mnie też nie wjeżdżają.

Czyli ma pan drugiego psa?

– I kota. Uwielbiamy zwierzęta. Nasza star-sza córka, która już się od nas wyprowadzi-ła, zaadoptowała też dwa psy, kota i jeszcze ma żółwia. Mojej mamie podrzuciliśmy zna-lezionego na ulicy kotka... Mama boi się roz-mawiać ze mną przez telefon, jak wielu ludzi w Polsce, bo podsłuchy. Czy nie zabrnęliśmy w tym świecie orwellowskim zbyt daleko?

Im bardziej jestem uderzany, tym bardziej walczę

Co mama mówi?

– „Synku, nie dawaj się”. Codziennie sprawdza internet, czy mnie nękają, i zdarza jej się użyć słów niecenzuralnych, chociaż jest kultural-na i wierząca. Tata nie żyje. Oboje byli prze-korni. Tata był tokarzem, ślusarzem, potrafił wyczarować cuda z metalu, mama – świetną krawcową. Nigdy nie byli w partii, nie zginali głowy. Wiem, co to jest bieda w domu, co to jest nie pojechać na wycieczkę szkolną, nie mieć pieniędzy na ubranie.

Jako chłopiec byłem słabego zdrowia, miałem dwie skomplikowane operacje, podczas jednej prawie się wykrwawiłem – teraz też jestem po zabiegu i dlatego pa-ni czekała na wywiad, ale już jest OK, ju-tro przyjeżdża żona i wypijemy moldaw-skie wino. W każdym razie późno zacząłem rosnąć, zawsze najniższy w klasie, najslab-szy. Byłem zaangażowany w ruchy religijne i grałem na gitarze, nic nie wróżyło karie-ry policjanta.

Mama żartuje, że w transfuzji musieli mi dać krew „borowika”. Bo leżałem z oficerem BOR, miał na imię Robert, też po operacji. Pilnowałem, kiedy wychodził na balkon pa-

lić i robić pompki, potem robiliśmy je ra-zem. Ja do dzisiaj robię, takie ze specjalnym ułożeniem rąk, jeżeli ktoś ich nie ćwiczy re-gularnie, to nie zrobi ani jednej. On po ope-racji robił takich 100.

Pan ile robi?

– Teraz z 50 na raz. Po tym szpitalu wzięłem się za sport, bieganie. Byłem jedyną osobą w Białobrzegach, skąd pochodzę, która pre-numerowała „Gazetę Policijną”. Wyczytałem, że rusza eksperymentalny kurs, przyjmują do Wyższej Szkoły Policji bez wcześniejszej służ-by w oddziałach prewencji, które powstały po ZOMO, i bez okresu tzw. deptania, szlifo-wania krawężników. Zresztą w ramach tego kursu do policji trafił również Szymczyk. Ja w 1991 zgłosiłem się do komendy wojewódzkiej w Radomiu, powiedzieli, że za późno, więc na rok wyładowałem na Politechnice Warszaw-skiej na kierunku silników lotniczych i rakie-towych, a potem po kryjomu przed rodzica-mi zdałem do Szczytna. Moja żona ma pre-tensje, że po egzaminach, zamiast iść pro-sto do niej, bo już ze sobą chodziliśmy, poje-chałem na pole truskawek pomóc rodzicom przy zbiorach.

I co na tym polu?

– Tata szczęśliwy, nie okazywał tego, ale miał lzy w oczach. Mama zła, że chcę być policjan-tem, nie inżynierem, policja kojarzyła jej się jeszcze z milicją, na moim podwórku miesz-kał chłopak, który był w ZOMO, no, nie był sza-nowany.

ZŁO NIE ZNOSI PRÓŻNI

Czyli Szymczyka pan zna ze Szczytna?

– Byliśmy w jednym batalionie, ale on dwa la-ta wyżej. Poznałem go później, w 2007, kiedy był komendantem w Rzeszowie, a ja wróci-łem ze Scotland Yardu – wysłano mnie tam, żebym nie pyskował w kraju – i zostałem dy-rektorem Biura Kryminalnego KGP. Mieli-śmy kontakt bardziej towarzyski niż służbo-wy. Nawet był tu, w Moldawii, kiedyś i zapro-sił mnie na spotkanie. Żartowaliśmy, bo jeden z ministrów dziękował mu za to, że zostałem wyrzucony z Polski i dzięki temu mogę pra-cować tutaj. Nawet go lubilem. Policjanci są na ogół napakowani, głośni, krzyczą i szpa-nują, a on jest cichy, wyważony.

Tylko bawi się granatnikami.

– I niestety zostanie z pieczęcią PiS przybitą na czole. Ale to on osobiście starał się wykryć sprawców telefonów do moich córek, więc nie jestem obiektywny... Życie policjanta nie jest czarno-białe. Może się kiedyś dowiemy, że Szymczyk z tym swoim spokojnym charak-terem uchronił nas przed większą eskalacją siły i głępszymi pomysłami polityków niż te, które widzieliśmy na ulicach. Jeśli tak, to dla swojego dobra powinien o tym jak najszybciej opowiedzieć. Bo w Komendzie Głównej pano-wała filozofia: jesteśmy wysoką trawą, w któ-rej ten polityczny czołg trochę wytraci pęd.

Jak z takim miękkim sercem został pan specem od mafii?

– W Szczytnie napisałem chyba pierwszą w historii policji pracę na temat przestęp-czości zorganizowanej, niejawną – o „Dzia-dzie”, o początkach jego kariery, handlu zło-mem, potem srebrem z kradzionych urzą-dzeń elektrycznych i powstaniu mafii woło-mińskiej. Dzięki temu w 1995, tuż po ślubie z Anetą, w wakacje, parę dni po krótkim wy-

jeździe nad morze, trafiłem na staż do no-wo utworzonego, elitarnego Biura do Wal-ki z Przestępczością Zorganizowaną, a tam miałem świetnych mentorów.

Wtedy codziennie coś się działo, napa-dy na tiry, strzelaniny, bomby i zabójstwa. Skoczyłem w to i przepadłem. Uwierzyłem w siebie i robiłem coraz to inne rzeczy, pro-wadziłem tajne sprawy operacyjne, siedem lat rozpracowywałem je jako przykrywko-wiec. Mam stalkera na Twitterze, ciągle py-ta, że skoro tak krytykuję nepotyzm i kumo-terstwo, to jak trafiłem prosto ze Szczyt-na do CBS – no właśnie tak. Później biuro PZ połączono z biurem narkotyków w CBS i byłem uczestnikiem tych zmian, pięknej, pozytywnej historii. Bo to wciąga tak, jak FBI wciąga niektórych agentów w Stanach, żyje się potem wspomnieniami.

Zabił pan kiedyś kogoś?

– Bezpośrednio fizycznie nie, ale... nasze dzia-lania mogły mieć taki efekt, nie bezpośredni, odwleczony w czasie. Są sprawy, nad który-mi się zastanawiam do dzisiaj. Walka z gru-pami przestępczymi to nie jest przedszkole i nieraz człowiek dowiaduje się o skutkach tej walki po czasie. Nie chodzi nawet o błędy, dobre intencje też mogą mieć takie efekty, że ktoś ucierpi, zdarzają się choćby porachunki.

Był pan blisko śmierci?

– Nieraz pewnie tak, ale tego się nigdy do koń-ca nie wie. Policjant ruchu drogowego, który podchodzi do auta z ciemnymi szybami, nie widzi, że tam są lysi goście z pistoletami. My staraliśmy się wiedzieć, kto jest w aucie. Z re-guły przygotowanie, logistyka i rozpoznanie są najważniejsze. Udało nam się stworzyć taki system pracy pod przykryciem i bezpieczeń-stwa, dzięki któremu nikt nigdy na służbie nie stracił życia, co jest ewenementem w skali światowej. Czarnym snem każdego przykryw-kowca i agenta służb jest sytuacja, kiedy ktoś mówi: wiem, kim jesteś, jesteś psem. Miałem taką sytuację podczas dużej, trudnej operacji. Przygotowaliśmy zasadzkę, żeby wyłowić naj-bardziej groźnych członków gangu, ich lide-rów i konstruktora urządzeń wybuchowych. Podeszedł do mnie jeden z szefów grupy, dru-gi zabezpieczał go z bronią, i pyta, czy jestem psem. A ja się tego nie spodziewałem. Okaza-ło się, że zauważyli antyterrorystów w lesie w samochodzie, ale nie byli dość sprytni. Po paru godzinach udało nam się z kolegą prze-kuć to w sukces, wszyscy zostali zatrzymani, skazani za handel bronią, materiałami wybu-chowymi i morderstwa.

Walka z korupcją, z przestępczością zor-ganizowaną to neverending story. Nigdy się tego nie da zwalczyć, obserwujemy tylko kolejne odsłony, cykle patologii. Sinusoida. Niektórzy odchodzą, niektórzy się bogacą, zdradzają albo giną i zjawiają się nowi. Zło nie znosi próżni.

Zawsze znajdzie się jakiś „Dziad”?

– Zawsze. Jakiś „Dziad”, jakiś Dyzma. Ważne, żeby państwo działało tak, żeby bardzo trudno było zostać takim „Dziadem”. I żeby mafie trze-pakowe były eliminowane zawczasu i nigdy nie rządziły ani nie miały wpływu na państwo. ●

wyborcza | magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iodi@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski
ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielirski
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastęp-ca), Ewa Wieczorek, Marcin Kącki, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski
GRAFICY: Dariusz Filippek (prowadzący), Tomasz Lebioda, Jacek Konarowski
FOTOEDYCJA: Sylwia Tukendorf

WYDAWCA: Agora SA, ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 526-030-56-44
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@agora.pl; 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
DYREKTOR WYDAWNICZY: Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA



Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

SPRAWDŹ, KTO TLUMACZY CI ŚWIAT

Wybory prezydenckie w USA, przesilenie wojny w Ukrainie, pierwsze miesiące rządu Tuska – 2024 to będzie rok fejków.

Jak je rozpoznać, jak się im nie dać?

Z ANALITYCZKĄ **GOSIĄ FRASER***
ROZMAWIA **AGNIESZKA JUCEWICZ**

Kto i po co tworzy fałszywe informacje?

– Dezinformacja to element tak zwanej operacji wpływu. Inne to manipulacja prawdziwymi informacjami, na przykład przez osadzenie ich w niewłaściwym kontekście, propaganda. Po taką „bron” sięgają rządy państw, wywiad, ale też firmy, na przykład w walce z konkurencją. Upowszechnienie się mediów społecznościowych jakieś dziesięć lat temu niezwykle to ułatwiło. Francja uważa, że rozsiewanie fałszywych informacji jest de facto wojną przeciwko Zachodowi. I ja się z tą opinią zgadzam.

Chodzi o to, że to Rosja wyspecjalizowała się w tego rodzaju walce?

– Rosja, Chiny, Iran. Mają już swoje playbooki, czyli podręczniki, jak tworzyć dezinformację tak, żeby była jak najbardziej skuteczna.

Jednym z pierwszych przykładów jest opowieść o „zielonych ludzikach” w Ukrainie.

Kreml twierdził, że ci nieoznakowani, uzbrojeni po zęby żołnierze, którzy pojawili się znikąd na Krymie w 2014 roku i przejęli najważniejsze urzędy, to ukraińscy separatyści, którzy postanowili zerwać z Kijowem.

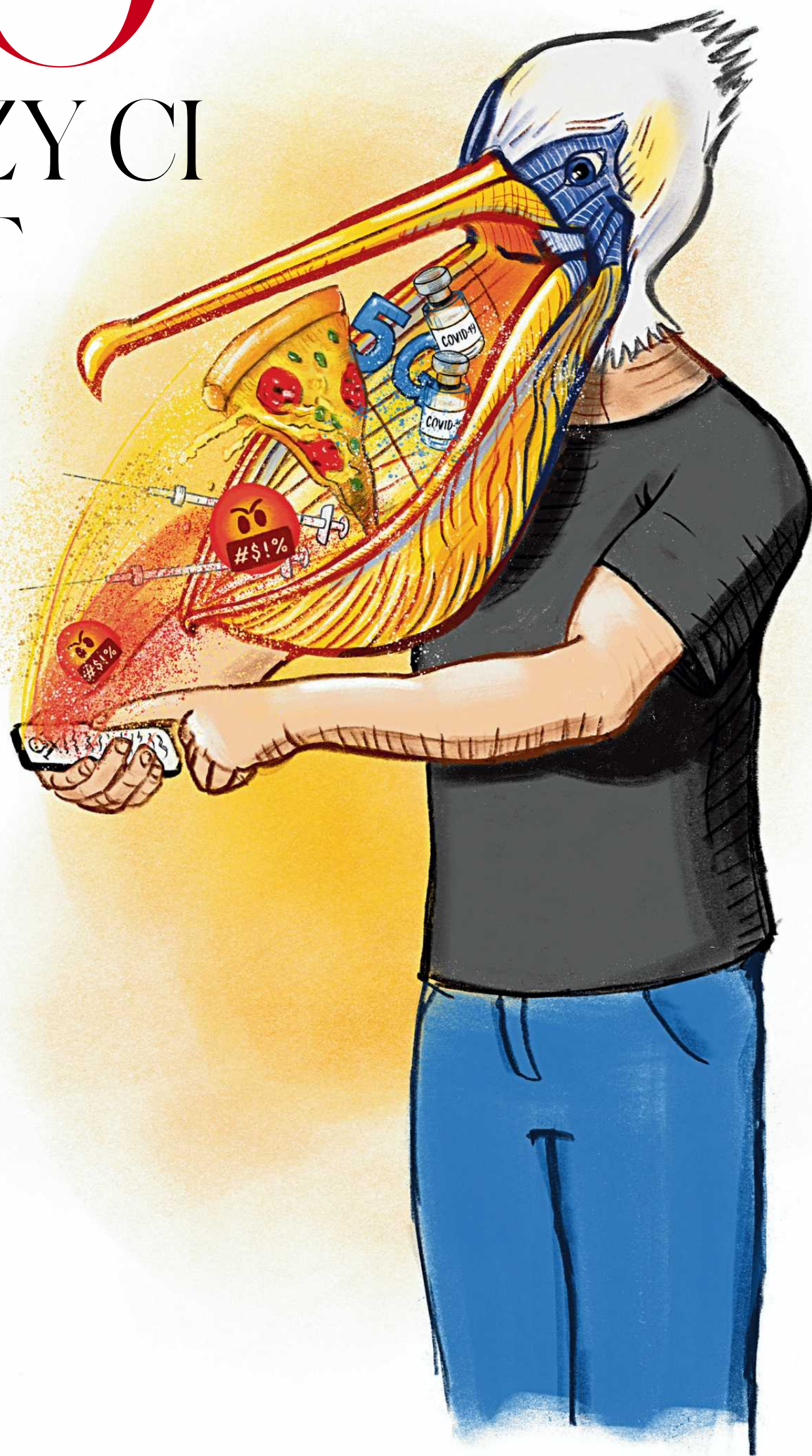
– Uwolnić ludzi spod ukraińskiego, nazistowskiego jarzma – bo tak to dokładnie było przedstawiane.

Na marginesie, narracja, że Ukrainą rządzą naziści, jest przez Rosjan uprawiana do dziś i wybrzmiewa coraz mocniej. Bo ta wojna, przypominę, zaczęła się nie w zeszłym roku, tylko właśnie prawie dziesięć lat temu.

Jaki cel miała ta dezinformacja?

– Przekonać zachodnie społeczeństwa, że sprawa ukraińska wcale nie jest taka oczywista, jak się nam wydaje. Zmanipulować opinię publiczną, która nie jest zbyt dobrze zorientowana w sytuacji politycznej Ukrainy, i zasiać wątpliwości, uderzając prosto w emocje. Bo o to tu chodzi – o grę na emocjach.

Kolejnym przykładem są słynne wybory prezydenckie z 2016 roku, które wygrał Donald Trump. W tamtym momencie świat uświadomił sobie, jaka może być waga dezinformacji. Kreml zrozumiał, że najlepszą metodą na rozbicie jedności społeczeństwa demokratycznego, jakim są Stany Zjednoczone, chociaż co do jakości tej demokracji można mieć różne wątpliwości, jest polaryzacja. A polaryzację najłatwiej osiągnąć



ILUSTRACJA ŁUKASZ RUDNIKOWSKI

przez promowanie opowieści o wysoce emocjonalnym charakterze.

Tu rolę takiej opowieści odgrywała „Pizzagate”, czyli teoria, że Hillary Clinton wraz ze swoim sztabem jest umoczona w gargantuiczną aferę pedofilską.

Zgodnie z tą opowieścią w jednej z warszyngońskich pizzerii przetrzymywano dzieci i wykorzystywano je tam seksualnie. Na marginesie, krzywdą dzieci to jest coś, co natychmiast budzi olbrzymie emocje. Ten fejk rozszedł się oczywiście po całych mediach społecznościowych, a chodziło w nim o to, żeby zdyskredytować Clinton i odwieść jej potencjalnych wyborców od głosowania na nią.

Wydaje się to nieprawdopodobne, ale 9 proc. Amerykanów uwierzyło w „Pizzagate”, a prawie 20 proc. dopuszczało, że jest to możliwe. 28-letni mężczyzna wszedł któregoś dnia do tej pizzerii i zaczął strzelać do klientów „w obronie dzieci”. Dlaczego ludzie kupują takie bzdury?

– Przy odpowiednim zmanipulowaniu emocjonalnym człowiek jest w stanie uwierzyć we wszystko. Pamiętajmy, że dezinformacja to operacja psychologiczna, która trafia w nasze słabe punkty, żeruje na tym, że nie jesteśmy ekspertami w wielu dziedzinach, bo trudno być ekspertem od wszystkiego, chociaż internet zna wielu takich ekspertów. Trudno mieć superzaawansowaną wiedzę medyczną. Trudno jest wiedzieć, kto jest kim w polityce. Jakie ma koneksje.

„Pizzagate” odniosła sukces przede wszystkim dlatego, że ludzie nie ufają klasie politycznej. Dlatego łatwo się wzbudza złe emocje w stosunku do polityków, a potem sprzedaje opowieści o dowolnych nieprawościach, jakich się dopuszczają.

Powiedziałaś, że za szerzeniem dezinformacji stoją duzi, wpływowi gracze. Ale czy nie jest tak, że dziś tworzą je również użytkownicy i użytkowniczkii internetu? Wydaje mi się, że tu już nie ma niewinnych.

– Nie rozpatrywałabym tego w kategoriach winy. Zobaczmy to dobrze na przykładzie dezinformacji w pandemii koronawirusa. Kiedy wybuchła, jedną z najważniejszych kwestii do ustalenia było to, skąd ten wirus pochodzi. Od razu zaznaczę, że to jest coś, czego oficjalnie nigdy nie wyjaśnimy. Nie powstanie raport, który z całą pewnością powie nam: tak, to tu, bo to jest kwestia polityczna. Nieoficjalne informacje wskazują natomiast na Wuhan. I kiedy oczy świata zwróciły się w tamtym kierunku, Chiny uznały, że trzeba z tym jak najszybciej zrobić porządek.

Jedna z pierwszych narracji, jakie pojawiły się w internecie, mówiła, że koronawirus został wyhodowany w amerykańskich laboratoriach w Ukrainie.

Druga, pokrewna jej, że powstał w wojskowych laboratoriach w Stanach Zjednoczonych jako tajna broń biologiczna. Najpierw takie informacje pojawiły się w chińskich mediach.

Wydawaloby się, że w Europie ta opowieść się nie przyjmie.

– A jednak. Europa nie jest jednorodna politycznie. Polska należy do społeczeństw, które są mocno podzielone. Mamy frakcje, które są silnie antyzachodnie, antyeuropejskie i niechętnie patrzą na sojusz z USA, więc ta chińska dezinformacja padła u nas na podatny grunt. I tu nie chodzi o to, że taka dezinformacja zostaje skopiowana jeden do jednego na użytek polskiego społeczeństwa. To jest pewien topos. Rdzeń, który zaczyna być przerabiany i kolportowany w różnych wersjach, w zależności do tego, kto jest adresatem. W Rosji tę dezinformację sprzedano w oryginale, czyli że to Amerykanie w ukraińskich laboratoriach wyhodowali wirusa. U nas by to nie przeszło, bo mamy inny stosunek do Ukrainy i nieco inny poziom wiedzy niż społeczeństwo rosyjskie, więc nam to sprzedawano w formie ciągłego siania zamętu: „A co, jeżeli Stany Zjednoczone nas oszukują?”, „Bo wiecie, Stany Zjednoczone mają swoje tajne interesy, a my

tu, mała pchelka, możemy być tylko rozgrywani przez tę potęgę”.

Na to nałożyła się kolejna fałszywa opowieść, że koronawirus jest spowodowany przez technologię mobilną piątej generacji, czyli 5G. I tu, znów, wchodzimy w straszny absurd poznawczy, bo wydaje się, że nawet gdy ma się średni poziom wiedzy, trudno uwierzyć, że jakieś anteny mogą powodować koronawirusa.

Tymczasem prawie 20 proc. Polaków w to uwierzyło.

– I teraz, o co chodzi? Te kręgi w Polsce, które były zainteresowane powtarzaniem, że USA nie mówią nam całej prawdy, zajęły się też mocno tematem emisji pola elektromagnetycznego przez infrastrukturę 5G. Pandemia po prostu zbiegła się w czasie z rozwojem tej infrastruktury, kiedy zaczęto montować anteny i stacje bazowe dla tej technologii. Zwłaszcza anteny na dachach budziły grozę. Po pierwsze, samym wyglądem. Po drugie, bo kręgi, o których wspomniałam, w pewnym momencie stwierdziły, że pole elektromagnetyczne emitowane przez te anteny zagraża życiu i zdrowiu. A to szybko połączyło się z informacją, że wywołuje również COVID-19.

Owszem, zbyt duże pole elektromagnetyczne może dawać objawy przypominające COVID-19, ale objawy podobne do COVID-u nie oznaczają od razu COVID-u, a poza tym żadne dopuszczalne normy nie zostały przekroczone.

Skąd to wiesz?

– Bo pracowałam wówczas w jednej z agencji fact-checkingowych i pisałam raporty na ten temat, kontaktując się z instytucjami, które dopuszczają taki sprzęt do użytku. W każdym przypadku do poziomu, który uznajemy za normę, pozostawało jeszcze mnóstwo zapasu.

Ta konkretna manipulacja wykorzystwała to, że przeciętny człowiek miał do czynienia aż z dwoma zjawiskami, których nie ogarniał: pandemią i nową generacją łączności, czyli 5G.

Błędem było to, że ani władze, ani środowiska eksperckie, ani media nie wytłumaczyły ludziom, jak to działa. Kiedy zaczęto instalować infrastrukturę 5G, nikt nie objaśnił polskiemu społeczeństwu, co to jest, jakie są normy emisji, i nie uspokoił, że jest to bezpieczne. Oczywiście, można się tego samodzielnie doszukać, ale trzeba wiedzieć gdzie, jak, mieć na to czas. Przeciętny człowiek tego nie robi. Widzi taką antenę na kamienicy u sąsiada i się jej po prostu boi.

Spytałaś mnie, czy nie jest tak, że dziś każdy jest winny rozpowszechniania dezinformacji. Otóż brak edukacji nie jest naszą winą.

Nie?

– Winni zaniechania są ci, którzy odpowiadają za tę edukację, czyli w tym przypadku – Ministerstwo Zdrowia, urzędy zajmujące się komunikacją elektroniczną, firmy telekomunikacyjne, również media. Jeżeli będziemy żyli w polityce pod tytułem „Obywatelu, dowiedz się sam”, to będziemy mieć społeczeństwo coraz bardziej podatne na dezinformację, a o naszą edukację zadbają Rosjanie i Chińczycy. I wtedy wszyscy będziemy mieli problem. Taki, jaki mieliśmy ze szczepionkami.

Należymy do krajów o najmniejszej akceptacji dla szczepień przeciwko COVID-19.

– Właśnie dlatego, że nie zadbano o edukację, bo billboardy z Cezarym Pazurą namawiającym do szczepień to nie jest edukacja. A narracje antyszczepionkowe były silne. System nawalił. A kiedy system nawala, otwiera się droga dla dezinformacji. To jest też przypadek Czech. W ogóle wielu państw bloku wschodniego, które są bardziej na nią podatne ze względu na naleciałości z dawnego, słusznie minionego systemu, w którym raczej przywoływało się obywatela do porządku, niż nawiązywało z nim partnerską relację. Także taką edukacyjną.

Ta podatność zwiększa się szczególnie w momentach dużej niepewności, kry-

zysu. Sander van der Linden, psycholog z Uniwersytetu w Cambridge, twierdzi, że to dlatego, że dezinformacja daje nam jakieś wyjaśnienie tego, co się dzieje.

– Bo dezinformacja jest trochę jak mit, przedstawia nam kompletny obraz świata. Zauważ, że fałszywe opowieści na pierwszy rzut oka wydają się spójne.

Dopiero jak się je weźmie na warsztat ekspercki, zacznie rozkładać na części pierwsze, okazuje się, że tu się coś logicznie nie trzyma, tam coś nie ma sensu itd. Dezinformacja daje ci gotowca – kto co zrobił i dlaczego.

A my chcemy mieć takie gotowe objaśnienie świata. Przede wszystkim dlatego, że nie mamy czasu się nad tym zastanawiać. I już nawet nie chodzi o to, że jesteśmy zapracowani i zabiegami. Chodzi o brak czasu na analizę informacji generowanej przez... nieustanny zalew informacji. Oduczyliśmy się też podejmować refleksję, po prostu scrollujemy. A kiedy napotkamy treści kompleksowo wyjaśniające nam, dlaczego Putin wjechał do Ukrainy czołgiem, jakkolwiek się to kupy nie trzyma, mówimy: „Aha, rozumiem”. Dlaczego Hamas napadł na Izrael: „Aha, rozumiem”. I jedziemy dalej. Nie zadajemy pytań.

Dezinformacja tak łatwo do nas trafia również dlatego, że bardzo często jest kolportowana przez osoby nieświadome tego, że to robią.

Na przykład?

– Wróćmy do lutego ubiegłego roku, kiedy na polskiej granicy z Ukrainą stanęli uchodźcy.

Przy odpowiednim zmanipulowaniu emocjonalnym człowiek jest w stanie uwierzyć we wszystko

Pojawiła się wówczas dezinformacja, że czyjaś ciotka pracująca w Straży Granicznej powiedziała, że od jutra nastąpi blokada wszystkich polskich granic.

Pamiętam to.

– Wiele osób to kupiło, bo brzmi to familiarnie. W pandemii mieliśmy mnóstwo tak skonstruowanych opowieści. Na przykład że czyjaś kuzynka, matka, koleżanka „się zaszczepiła i miała tak niepożądany odczyn poszczepienny, że prawie umarła”. Wierzyły w nie, bo jesteśmy społeczeństwem, które w pierwszej kolejności ufa rodzinie i znajomym. Przykładowy szwagier będzie dla nas bardziej wiarygodnym źródłem niż „Gazeta Wyborcza” czy jakiegokolwiek radio, wobec czego ten kolportaż dezinformacji jest praktycznie podprogowy.

Od czego to się zaczyna?

– Najczęściej od jakiegoś wpisu w mediach społecznych.

I teraz dochodzimy do tematu legendarnych już kont botów. Takie konta zakładane są chmarami po to, żeby nagłasniać różne narracje, najczęściej fałszywe. Jak to działa? Jedno z takich nieautentycznych kont, bo tak to się ładnie nazywa, zamieszcza jakąś informację, powiedzmy na serwisie X (dawniej Twitter). A następnie taki tweet jest udostępniany przez 50 czy 100 kolejnych fałszywych kont po to, żeby go uwiarygodnić. Bo mamy skłonność do dawania wiary temu, co jest popularne, więc jeżeli widzimy, że jakaś bardzo drastyczna historia o niepożądanym odczynie poszczepiennym została podana dalej 500 razy, to zaczynamy się zastanawiać: kurczę, coś w tym chyba musi być? I dezinformacja zaczyna cyrkulować.

Te boty przez kogo mogą być uruchomione?

– Przez jakąś władzę albo innego, jak to mówi się z angielska, „złego aktora” działającego na czyjaś rzecz.

W końcu taka dezinformacja wygenerowana przez boty dociera do realnych osób, które mają wpływ, cieszą się szacunkiem.

Na przykład do znanych pisarzy, dziennikarzy...

– ...influencerów. I na nich też oddziałuje emocjonalnie. Dlatego takie osoby powinny szczególnie uważać na to, co publikują, bo to ma znacznie poważniejsze konsekwencje, niż się im może wydawać. Im więcej osób o dużym poziomie wpływu poda fałszywą informację dalej, tym więcej osób w nią uwierzy. No bo jeśli „znany pisarz napisał, że...”, to przecież nie może być nieprawda.

W tym momencie podłączamy się pod to my.

– I tu wraca kwestia winy. Często kolportujemy dezinformacje, mając jak najlepsze intencje. Bo nie chcemy, żeby ktoś trafił do szpitala po szczepieniu. Albo chcemy, żeby jak najwięcej osób się dowiedziało, że jakaś firma celowo sprzedaje zepsute mięso obrobione chemicznie, żeby wyglądało jak świeże. I nie przychodzi nam do głowy, że taką dezinformację mogła wypuścić konkurencja. W takim przypadku należałoby najpierw zanieść próbkę podejrzaney kielbasy do sanepidu, poprosić go o wydanie opinii, ale na to się czeka tygodniami, a zatruć się można już dziś, więc wiadomo, co się wybierze.

Poza botami mamy jeszcze inny mechanizm rozprzestrzeniania dezinformacji – wykorzystywanie wątpliwej jakości autorytetów, na przykład ze świata nauki. Tak było w pandemii, kiedy to wiralem stał się film dokumentalny pt. „Plandemie” przekonujący, że pandemia koronawirusa jest spiskiem. Wypowiadała się w nim między innymi Judy Mikovits, skompromitowana amerykańska badaczka.

– Mamy jeszcze wiele innych mechanizmów, moim zdaniem bardziej niebezpiecznych. Dziś każdy może założyć własny serwis, zostać jego redaktorem czy redaktorką naczelną i twierdzić, że „robi dziennikarstwo”. Podmioty dezinformujące tworzą strony, które szatą graficzną, układem do złudzenia przypominają media głównego nurtu czy znane agencje informacyjne, co sprawia, że im po prostu wierzymy. Takich stron jest mnóstwo, mniejszych, większych, ale podam przykład, z którym pewnie każdy się zetknął: Sputnik – strona prowadzona przez rosyjską rządową agencję informacyjną, która produkuje dezinformacje w 30 różnych językach i która miała też polską odsłonę. Sputnik zajmuje się przepychaniem prokremlowskiej propagandy zaplanowanej między innymi w GRU (rosyjskim wywiadzie wojskowym), a w oczach przeciętnego Polaka wygląda jak zwykły serwis informacyjny. To machina, która ma olbrzymie możliwości, również finansowe, zatrudnia dziennikarzy na całym świecie itd. Ale oprócz takich dużych podmiotów mamy liczne pomniejsze strony, kanały na YouTubie i inne paramedia, które są finansowane obywatelsko albo przez różne fundacje. Wchodząc na te serwisy, nie jesteśmy w stanie dojść, kto za tym stoi, jaka jest sieć powiązań. Nawet dla dziennikarzy jest to

trudne do wyśledzenia, a co dopiero dla przeciętnego odbiorcy.

Inny model rozsiewania fałszywych informacji, który lubią zwłaszcza Chiny, to tworzenie fałszywych prac naukowych.

Jak to wygląda w praktyce?

– Zakłada się stronę, na której publikuje się takie „artykuły” napisane przez nieistniejących naukowców, a w rzeczywistości fabrykowane przez ludzi siedzących w oddziale wywiadu odpowiedzialnego za operacje informacyjne. Albo wrzuca się je na serwisy przeznaczone do publikacji takich prac. Wystarczy, że spełni się wymogi formalne, a one je spełniają. I nie ma znaczenia, że ci naukowcy nie istnieją, a taka praca to humbug.

No i jest jeszcze YouTube, który jest gigantycznym problemem ze względu na swoje algorytmy rekomendacji. W pandemii był wylęgarnią treści, które dzisiaj nazywamy „foliarskimi” – o wpływie 5G, o szpiegkach powodujących autyzm i zawały serca itd. I chociaż platforma wielokrotnie deklarowała, że z tym walczy, to filmy, w których popularni influencerzy głoszą te teorie, są tam nadal. I zdobywają milionową widownię. Walka z tym nie jest prosta chociażby z tego względu, że nawet jak się usunie konto takiego dezinformatora, to w serwisie może być jeszcze 50, 100, a nawet 1000 kopii najbardziej kontrowersyjnych nagrań jego wystąpień, które są udostępniane przez inne konta, a dodatkowo zyskują nimb „ocenzurowano”. To jest hydra, której nieustannie odrastają głowy, i przy obecnych mechanizmach moderacji, które są bardzo wybrakowane, nie jesteśmy w stanie tego pokonać.

Jeszcze inny mechanizm to publikowanie zdjęć, raportów, wideo na przykład z logo BBC albo Bellingcata, brytyjskiej firmy specjalizującej się w weryfikacji

w pewnym momencie zaczynały się poruszać – dowód, że wojna jest udawana, a cywilnych ofiar nie ma. Z tym że te filmy były wzięte z innych kontekstów – na przykład z protestów klimatycznych, na których aktywiści kładli się na ziemi i udawali martwych. Inaczej je podpisano albo modyfikowano głos lektora. Jest jakiś sposób, żeby zorientować się w tej manipulacji?

– Jest ich kilka. Jednak pierwszą, najważniejszą rzeczą, jaką musimy zrobić, to zdystansować się od treści, które czytamy albo oglądamy. Żeby nie polegać wyłącznie na emocjach i wrażeniach, jakie one w nas wywołują. A więc pierwsze pytanie, które powinniśmy sobie zadać, brzmi: czy nie jest przypadkiem tak, że ktoś wzbudza we mnie te emocje celowo? Czy na pewno jest tak, jak mi pokazuje?

Co dalej?

– Jeśli zechcemy to sprawdzić, może się okazać, że o danym fejku napisały już organizacje fact-checkingowe. Wystarczy opisać skróto, co budzi nasze wątpliwości, w wyszukiwarce i istnieje spora szansa na to, że wyśledzimy nam, że rozprawił się z tym polski Demagog albo fact-checkingowy dział AFP (francuskiej agencji informacyjnej), które starają się na bieżąco zamieszczać artykuły demaskujące najbardziej popularne fejki. Jeśli jednak informacja jest tak świeża, że fact-checkerzy jeszcze na nią nie zareagowali, możemy sprawdzić, czy podały ją również inne media, jak o niej piszą. Bo być może trafiliśmy na informację podaną jako wiarygodną wyłącznie przez jeden serwis, który dał się złapać na fejka, a inni już ją prostują. Zdjęcie albo filmik, które wydają się nam podejrzane, możemy też wrzucić do wyszukiwarki „po obrazie” i sprawdzić, kiedy naprawdę zostały zrobione. To są podstawy, które możemy wykonać, mając do dyspozycji wyłącznie telefon komórkowy.

Klasyczna manipulacja polega na tym, że bierze się zdjęcie, np. z konfliktu w Strefie Gazy z 2009 roku, i osadza je w kontekście obecnej eskalacji

treści. I w ten sposób uwiarygadnia się materiał. Tak było z informacją, jakoby Ukraina sprzedawała broń Hamasowi, wypuszczoną rzekomo przez BBC. Oczywiście był to fejk.

– To z kolei pochodzi z rosyjskiego playbooka, gdzie często wykorzystuje się zdjęcia obradowane znakiem Reutersa czy innych rozpoznawalnych mediów.

Klasyczna manipulacja polega na tym, że bierze się zdjęcie, na przykład z konfliktu w Strefie Gazy z 2009 roku, i osadza je w kontekście obecnej eskalacji.

Przeciętny odbiorca się nie orientuje – przecież ma logo Reutersa, nie może być zmanipulowane. Tymczasem, owszem, jest to zdjęcie Reutersa, ale sprzed kilku lat. Jest to jedna z typowych metod dezinformowania o wydarzeniach takich jak konflikty zbrojne, różne akty przemocy czy działania wojskowe. Bo my sobie nie zadamy pytania, czy na tym zdjęciu aby na pewno się wszystko zgadza. Dlaczego jest na nim na przykład sprzęt wojskowy używany dwadzieścia czy dziesięć lat temu? Większość z nas się na tym nie zna.

Zarówno przy okazji wojny w Ukrainie, jak i Izrael – Hamas pojawiały się takie fejki. Na przykład filmiki pokazujące ciała leżące na ziemi w workach, które

– I media społecznościowe doskonale na to odpowiadają. Tyle że właśnie tam najłatwiej jest wkręcić odbiorców w podawanie dalej fejków.

Nie czarujmy się, bycie źródłem informacji dla innych niesamowicie lechce ego i każdy, kto świadomie buduje swoją obecność w mediach społecznościowych, tego właśnie pragnie.

Być autorytetem?

– Być tym źródłem informacji. Wielu z nich nie zależy na weryfikowaniu treści, którymi się dzielą. Zależy im na tym, żeby wywierać wpływ, bo wpływ równa się interakcje, a interakcje równa się pieniądze. Gdyby influencerzy bardziej niż swój wpływ na rzeczywistość cenili odpowiedzialny wpływ na rzeczywistość, to mielibyśmy mniej kłopotów.

Czasami osoby wpływowe są zmuszane przez swoich odbiorców do wyrażenia opinii w jakiejś sprawie. Widać to dobrze na przykładzie wojennej interwencji Izraela w Gazie. Nieraz trafiałam na zarzuty, że nie określając się, po której stronie stoją, ponoszą moralną porażkę. Ludzie publikują potem coś, co do czego nie mają przekonania. Albo gorzej – właśnie dezinformują.

– Mnie stawiano podobne zarzuty. Pierwszy raz po inwazji Putina na Ukrainę w ubiegłym roku. Zarzucano mi, że nie opowiadałam się po żadnej ze stron, a co ważniejsze – nie przejawiam emocji, pisząc o tym konflikcie. A moim zadaniem nie jest wzbudzanie emocji ani mówienie, co jest moralne, a co nie, jest nim informowanie. Kiedy niedawno napisałam o doniesieniach na temat cenzury treści propalestyńskich w internecie, część moich odbiorców zinterpretowała to tak, że opowiadałam się po tej stronie. Tymczasem napisałam też duży artykuł o wybuchu antysemityzmu w chińskich mediach. Moją rolą jako dziennikarki i analityczki zajmującej się dezinformacją jest pokazanie, jak infosfera jest na różne sposoby dozbrajana przez obie strony tego konfliktu.

To jest rzeczywistość, w której funkcjonujemy.

W której rządzą emocje?

– Raczej algorytmy. Dobrze to opisał w książce „W trybach chaosu. Jak media społecznościowe przeprogramowały nasze umysły i nasz świat” Max Fisher. Pokazał w niej, jak różną wartość przypisują naszym emocjom na przykład algorytmy Facebooka. „Uśmiechnięta buźka” waży dużo więcej niż zwykły lajk. Ale dużo więcej niż „uśmiechnięta buźka” czy „serduszko” waży „buźka rozgniewana”. Gniew jest emocją, która budzi największe zaangażowanie, najbardziej zagrzewa ludzi do dyskusji, a to oznacza, że przekłada się również na największy zarobek dla Facebooka. Wobec czego algorytmy rekomendacji będą nam podpowiadały takie treści, które wzbudzają złość, polaryzują. I tak to się kręci.

Wspomniałaś o obcinaniu zasięgów propalestyńskich treści przez platformy społecznościowe. Dziennikarze pracujący w Strefie Gazy, profesjonalni i obywatele, też to zgłaszali. Sprawdziłaś, czy rzeczywiście tak jest?

– To jest pytanie badawcze. Żeby na nie rzetelnie odpowiedzieć, musiałabym mieć minimum dwa tygodnie na stały monitoring takich treści, zebranie danych, a potem – na analizę. Nie mam na to w tej chwili czasu. Ale założmy, że tak jest, bo wątpię, żeby tyle osób wyglądało takie twierdzenia, nie mając na to żadnego dowodu. Ostatecznie sama, w ramach dowodu anegdotycznego, mogę powiedzieć, że post, który napisałam o cenzurowaniu treści propalestyńskich, miał znacznie mniejszy zasięg niż pozostałe treści na moim serwisie. Powiem tak: platformy społecznościowe nie działają w próżni.

Co masz na myśli?

– To są wielkie koncerny, które mają swoje interesy biznesowe, umocowania polityczne, sojusze, a także ogromny wpływ na prawo. Nie można oczekiwać od amerykańskiej firmy kluczowej dla opinii publicznej w Stanach Zjednoczonych, że nie będzie realizo-

wała wytycznych politycznych swojego kraju, prawda? I że będzie realną cyfrową agorą.

Musimy pamiętać, że przestrzeń, której udzielają nam Facebook, X, Instagram czy YouTube, nie jest żadną przestrzenią publiczną. To jest przestrzeń prywatna.

Podobnie można powiedzieć o mediach tradycyjnych. Każde ma jakieś umocowanie.

– I dlatego, między innymi, konflikt palestyńsko-izraelski w polskich mediach nie jest moim zdaniem rzetelnie relacjonowany. Powodami są: zależności biznesowe, polityczne oraz kwestie finansowe. Każde medium prywatne, które nie jest dotowane z pieniędzy budżetowych, musi działać na zasadach rynkowych. Taką mamy rzeczywistość. Musi na siebie zarobić, dziennikarze muszą dostać wypłatę i tak dalej. Dużym problemem jest to, że polskie media z racji swojej słabej sytuacji finansowej nie mają pieniędzy, żeby wysyłać do Izraela czy do Strefy Gazy korespondentów.

Poza tym, że jest to ryzykowne, jest to też niezwykle kosztowne. Placi się za pobyt, za ubezpieczenie i za kompetencje takiego dziennikarza czy dziennikarki, bo musi to być ktoś, kto zna się na regionie. Niestety, media robi się teraz po tanioci. A jak ma być po tanioci, to znaczy, że dziennikarze tak zwanych działów zagranicznych będą przepisywać informacje z Reutersa, z Bloombergu albo z innych zachodnich mediów.

Z kolei media publiczne mają swoje umocowania polityczne, a co z tego wynika, mogliśmy obserwować przez ostatnie osiem lat.

– Nie mieliśmy żadnych mediów publicznych. To były media państwowe. Media publiczne są dla wszystkich.

Gdzie indziej nie jest dużo lepiej. „New York Times” ciągle obrywa za stronnictwo. Dostało się też brytyjskiemu BBC, któremu zarzuciły ją i środowiska propalestyńskie, i te proizraelskie.

– Takie oskarżenia będą się pojawiały zawsze. Natomiast jeśli pojawiają się z obydwu stron, to zastanawiałabym się, czy nie pojawiają się one czasem tylko po to, żeby oskarżać. Co nie zmienia faktu, że BBC od dawna jest przedmiotem gry politycznej w Wielkiej Brytanii między frakcją rządzącą a opozycją.

Ale powiem o jednym medium, które moim zdaniem robi to, jak należy. Jak wiesz, mieszkam w Czechach. I codziennie rano słucham publicznego czeskiego radia Rozhlas. W ubiegłym tygodniu cały poranek, godzinną audycję, poświęcono temu, co się dzieje w Strefie Gazy. Przed blokiem informacyjnym jedna gościni opowiadała o tym z perspektywy izraelskiej, a po – inny gość opowiadał o perspektywie palestyńskiej. Słuchając tej audycji, miałam możliwość zrozumienia, co się tam dzieje, i wyrobienia sobie opinii. Zauważ jednak, że taki serwis trwa godzinę, a nie 15 minut. Wśród gości są eksperci. Tymczasem w Polsce w poranku dowolnej rozgłośni radiowej mamy skróty informacji ze świata, gdzie najczęściej czyta się nagłówki depesz PAP-u, oraz gości, którzy przez 20 minut opowiadają o tym, że pan Kosiniak był sfotografowany w towarzystwie pana Czarzastego, a pan Czarzasty patrzył na niego bykiem.

Ha, ha, ha.

– Dlaczego tak jest? Czyżby dlatego, że Polska jest krajem zainteresowanym przede wszystkim sobą?

A ty jak myślisz?

– Moim zdaniem jest tak głównie dlatego, że tak jak powiedziałam, dziennikarstwo jakościowe kosztuje. A redakcje nie mają pieniędzy. Poza tym nikt nie chce wkładać zasobów w edukację czytelnika, bo potem ten poziom będzie trzeba jeszcze utrzymać. A kto mający fantastyczne wykształcenie, znający języki, kto potencjalnie może zostać ekspertem w swojej dziedzinie, przyjdzie pracować do redakcji za 3200 złotych, kiedy tyle kosztuje wynajęcie mieszkania?

Problem w tym, że nawet jeśli redakcje stać byłoby na wysłanie korespondenta na przykład do Strefy Gazy, to odbywało się to wyłącznie za przyzwoleniem izraelskich sił zbrojnych (IDF), a wszelkie materiały trzeba było pokazać na wyjściu. I wszyscy temu podlegają – BBC, Reuters też. Czy to też nie jest rodzaj dezinformacji?

– Jeżeli wojsko dyktuje dziennikarzom warunki do uprawiania dziennikarstwa, to o jakiej niezależności czy rzetelności my w ogóle mówimy? To po pierwsze. Po drugie, siły obronne Izraela już dawno temu powiedziały, że dziennikarze światowych agencji informacyjnych przebywający w Strefie Gazy nie będą mieć tam zagwarantowanego bezpieczeństwa, więc my się możemy nigdy nie dowiedzieć, co tak naprawdę się tam wydarzyło.

Wiele osób czerpie tę wiedzę z kont w mediach społecznościowych prowadzonych przez obywatelskich dziennikarzy albo influencerów, którzy z konieczności zmienili tematykę. Strona izraelska z kolei oskarżyła niektórych z nich, że są tubą propagandową Hamasu. Jak się ma w tym odnaleźć zwykły odbiorca?

– Zjawisko influencerów, którzy stają się dziennikarzami, nie jest nowe. Po pełnoskalowej inwazji na Ukrainę ludzie, którzy wcześniej zajmowali się lifestyle’em i na przykład chodzili po restauracjach, próbując różnych potraw, nagle zaczęli relacjonować wojnę. Dzięki temu w ogóle się czegoś dowiedzieliśmy, bo w pierwszych dniach inwazji oficjalny obieg informacji był bardzo utrudniony. Relacje influencerów mogą być dowodami na zbrodnie wojenne, ponieważ mając telefony komórkowe, a jednocześnie pozostając osobami niewyróżniającymi się z tłumu, bo nie każdy lata w kamizelce z napisem „PRESS”, mają czasem większe możliwości uchwylenia niektórych rzeczy niż profesjonalści. Mogą mieć lepszy dostęp do zwykłych ludzi, nie tylko oficjeli. I nie zostają objęci cenzurą taką, jaką narzuciły mediom na przykład izraelskie siły obronne.

Przy tym wszystkim warto pamiętać, że na wojnie jako pierwsza ginie prawda.

Co chcesz przez to powiedzieć?

– Do dzisiaj wiele tajemnic z okresu II wojny światowej pozostaje nierozwiązanych. I nie mam na myśli takich tajemnic, o jakich mówi w swoim programie pan Wołoszański. Chodzi o kwestie związane z dyplomacją, z wydawaniem poszczególnych rozkazów. Miną lata, zanim się dowiemy, co tak naprawdę działo się na Kremlu w przededniu inwazji na Ukrainę. Lata, zanim się dowiemy, co się dokładnie wydarzyło pomiędzy Kijowem a Waszyngtonem. A także co się stało tuż przed 7 października w Izraelu.

Teraz musimy się pogodzić z tym, że nie mamy pełnego obrazu. I to jest myśl, z którą powinniśmy podchodzić do konsumpcji informacji w ogóle.

Tę całą niepewność co do tego, co jest prawdą, a co nie, podsycą dodatkowo wykorzystanie sztucznej inteligencji. Przyznam, że efekty tego czasem mnie przerażają.

– O czym teraz myślisz?

Na przykład o pewnym filmiku z Gretą Thunberg. To fragment jej prawdziwego wywiadu w jednej z telewizji śniadaniowych, tyle że na jej głos nałożono głos wygenerowany komputerowo, który brzmi identycznie. I tym głosem Thunberg mówi, że świat potrzebuje dziś ekologicznych, wegańskich bomb. Jestem pewna, że mnóstwo ludzi dało się na to złapać.

– Tak jak na papieża Franciszka w stroju ludzika Michelin.

Nie pamiętam tego.

– Miliony osób na świecie dały się złapać na zdjęcie stworzone za pomocą sztucznej inteligencji, na którym papież jest ubrany w białą puchową kurtkę Balenciagi. W Polsce mnóstwo osób je udostępniło, aż w końcu ktoś w jakimś zachodnim medium napi-

sał, że to fejk, i wszystkim się zrobiło wstyd. Tyle że to było relatywnie nieszkodliwe. Tak jak zdjęcie wygenerowane przez AI, na którym Angela Merkel bawi się na plaży z Barackiem Obamą. Ostatnio sama próbowałam przerobić Jarosława Kaczyńskiego na Czarodziejkę z Księżyca, jedną z bohaterek anime, ale mi się nie udało. Okazało się, że program ma wbudowane ograniczenie, które sprawia, że wrażliwe wyrażenia, a do takich ewidentnie należy zbitka wyrazowa „Jarosław Kaczyński”, nie mogą być używane do generowania obrazków. To bardzo dobrze, bo chciałam wysłać taki obrazek dla żartu znajomej, ale ktoś inny mógłby chcieć zrobić coś znacznie gorszego temu albo innemu liderowi. Postawić go w jakiejś kompromitującej sytuacji.

„Uśmiechnięta buźka” waży dużo więcej niż zwykły lajk.

Ale dużo więcej niż „uśmiechnięta buźka” waży „buźka rozgniewana”

Tak było z prezydentem Zelenskim, bohaterem co najmniej kilku deepfake’ów (technologia deepfake wykorzystuje sztuczną inteligencję do stworzenia filmu lub nagrania, w którym zastępuje się prawdziwy wizerunek danej osoby fałszywym obrazem). Na jednym z tak zmanipulowanych wideo Zelenski ogłosił kapitulację Ukrainy.

– Na szczęście było to tak nieudolnie zrobione, że każdy mógł się zorientować, że to przeróbka. Ale to było rok temu. Przez ten czas narzędzia do generowania obrazu i głosu stały się doskonalsze. Raptem wczoraj koleżanka, która zajmuje się fact-checkingiem w dużej organizacji, poprosiła mnie o pomoc w identyfikacji pewnego nagrania. Chciała się upewnić, czy nagrany głos jest głosem człowieka, czy też jest wygenerowany przez algorytm. Na „ucho” nie byłam w stanie tego stwierdzić. Na szczęście są specjalne narzędzia do analizy spektrum dźwiękowego, które pozwalają to ustalić. Tyle że trzeba wiedzieć, gdzie ich szukać, wiele z nich wymaga wiedzy technicznej. W ogóle osoby słabiej zorientowane w rzeczywistości cyfrowej będą miały tu najgorzej. Myślę teraz zwłaszcza o osobach starszych, które są bardziej podatne na manipulacje tego rodzaju.

Problem w tym, że ta sfera jest zupełnie nieuregulowana. Chociaż coś powoli zaczyna się zmieniać.

Na przykład co?

– Już teraz mamy akt o usługach cyfrowych (DSA), który wszedł niedawno i zobowiązuje firmy do aktywnego przeciwdziałania dezinformacji, wychwytywania i moderowania treści, które zagrażają bezpieczeństwu. Zobaczymy, jak to się będzie sprawdzać w praktyce. W drodze jest też akt o sztucznej inteligencji, który ma wejść do przepisów Unii Europejskiej około 2025 roku. I nie można mieć pretensji do Unii, że działa tak wolno, bo obudziliśmy się w rzeczywistości, do której nasze systemy prawne po prostu nie przystają. Rozwój nowych technologii postępuje znacznie szybciej niż legislacja.

I co nam ten akt ma dać?

– Na przykład to, że jeśli zetkniemy się z treściami, które zostały wygenerowane przez sztuczną inteligencję, jak wspomniany papież Franciszek w kurtce Balenciagi, to taki obrazek będzie musiał być oznaczony jako generowany algorytmicznie. W przeciwnym razie naruszy prawo.

Podobne zapisy wprowadziły już Chiny. Tam odpowiedzialność karna leży po obydwu stronach. Zarówno po stronie osoby prywatnej, która wygenerowała taki obraz czy nagranie i go nie oznaczyła, jak i po stronie firmy, która go wystawiła. To jest podstawa. Niestety, w ostatniej polskiej kampanii wyborczej zdarzyło się coś brzydkiego – jeden z komitetów wykorzystał generowany komputerowo materiał bez oznaczenia go. Zrobił to dopiero pod presją opinii publicznej.

O czym mówisz?

– O spocie Koalicji Obywatelskiej, na którym Mateusz Morawiecki rzekomo czytał napisanego przez siebie maila pochodzącego ze skrzynki Michała Dworczyka. To nie był jego

głos, choć brzmiał praktycznie nie do odróżnienia. Był to głos wygenerowany komputerowo. Wiadomo, że kampania wyborcza to czas, kiedy wiele chwytów na co dzień niedozwolonych jest dozwolonych. Jednak dla mnie sięgnięcie po technologię, przed którą człowiek w zasadzie nie ma się jak obronić, jest przekroczeniem pewnej granicy.

Podobno na stronie „AI or not” można wrzucić zdjęcie i sprawdzić, czy zostało ono wygenerowane komputerowo.

– Jest wiele takich narzędzi. Pojawiają się też algorytmy do rozpoznawania innych algorytmów. Niestety, zwłaszcza jeśli chodzi o tekst, coraz trudniej jest im rozpoznać, czy napisał go człowiek, czy na przykład ChatGPT.

Na czym polega ta trudność?

– Na przykład na tym, że im bardziej poprawnym językiem napisany jest tekst, im lepsza jego składania, im bogatsze słownictwo, tym większe prawdopodobieństwo, że algorytm przeznaczony do rozpoznawania sztucznej inteligencji powie, że napisała go... sztuczna inteligencja. A im bardziej kolokwialnie i źle napisany tekst, im uboższe słownictwo, tym większa szansa, że zostanie on przypisany człowiekowi. Tymczasem to właśnie teksty dezinformujące są często pisane językiem potocznym łamiącym reguły pisowni, gramatyki. Między innymi dlatego, że ich autorzy pochodzący z pewnego kraju ze wschodu mają problem z polską składnią.

Coraz trudnej odróżnić fałszywą informację od prawdziwej, bo są one coraz lepiej przyrządzane. Jak to zatrzymać?

– Przede wszystkim dobrą regulacją. Nie rozwiążemy tego sami.

Poza tym zarówno państwo, jak i podmioty umożliwiające korzystanie z platform społecznościowych powinny mieć obowiązek edukacji użytkowników. To nie jest tak, że one tylko udostępniają nam miejsce. Są też odpowiedzialne za treści, które u siebie zamieszczają, i muszą uczyć użytkowników na ryzyko związane z kontaktem z tymi treściami.

Już teraz Meta, czyli właściciel Facebooka i Instagrama, zabronił używania reklam generowanych przez sztuczną inteligencję w przyszłorocznej kampanii prezydenckiej. I to jest bardzo ważny krok, przekroczenie pewnego Rubikonu.

Musimy sobie zdawać sprawę, że to, w jaki sposób wchodzimy w interakcje z in-

formacjami, jest kwestią odpowiedzialności za naszą wspólną przyszłość. Wiele osób się śmieje – no jak ktoś wierzy w takie bzdury, to jego sprawa, że jest głupi i niedoinformowany. Ale prawa wyborcze mają wszyscy. Zarówno ci, którzy wierzą w naukę, jak i ci, którzy wierzą w fejki.

Nie mówiąc o tym, że jak pisze w książce „Foolproof” Sander van der Linden, to, że jesteśmy dobrze wykształceni, niekoniecznie chroni nas przed dezinformacją. Czy uważasz, że edukacja medialna, taka z prawdziwego zdarzenia, a nie że raz w roku poprowadzi się warsztaty z dezinformacji, powinna się znaleźć w programie nauczania?

– To trudne pytanie, bo to jest też pytanie o kompetencje nauczycieli. Ktoś musi ich najpierw nauczyć poruszania się po tej sferze, prawda? A tu się pojawia niebezpieczeństwo, że edukacją o dezinformacji zajmą się głównie wielkie firmy technologiczne. I polski rząd, przynajmniej ten z ostatnich ośmiu lat, dokładnie to robił. Zamiast zwrócić się do sektora nauki z prośbą o pomoc w realizacji programów edukacyjnych, wołał zwrócić się do Big Techu, czyli m.in. do Google’a, do Mety itd. Oczywiście, Big Tech też ma ekspertów, jednak to jest edukacja, która jest formą promowania własnych usług i oddziaływania na odbiorców.

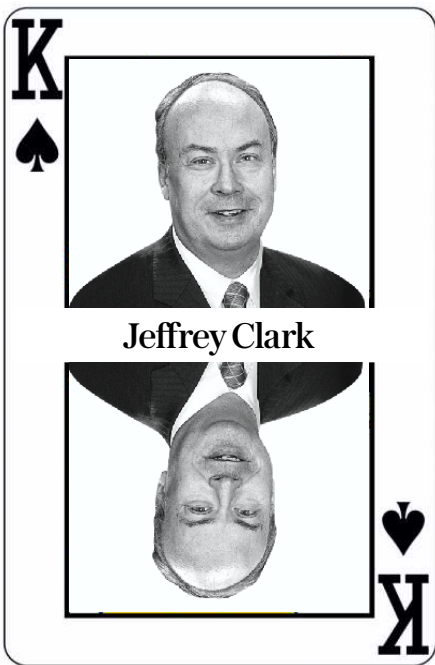
Koncern Meta, na przykład, w ramach unowocześniania lekcji historii we współpracy z rządem zaoferował szkołom film o powstaniu warszawskim zrealizowany w technologii wirtualnej rzeczywistości. Uczniowie mogli obejrzeć, jak to powstanie wyglądało „od środka”. Abstrahując od tego, że dla mnie jest to pomysł mrozący krew w żyłach, to się zastanawiam, czy przedstawiciele Mety przy okazji szkolenia nauczycieli z obsługi tego projektu zająknęli się o prywatności? Bo sprzęt do obsługi wirtualnej rzeczywistości mapuje na przykład reakcję naszej gałki ocznej na różne emocje, co jest bardzo istotną daną biometryczną.

Stawiam dolary przeciwko orzechom, że ten temat się nie pojawił, więc pytanie o to, jak się do tej edukacji zabierzemy, jest naprawdę poważne. Możemy powiedzieć: słuchajcie, tu są narzędzia, które pozwolą nam sprawdzić, czy dany obrazek jest fejkem. Albo: firma Google poprowadzi nam program o oznaczaniu nieprawdziwych linków. Albo możemy zacząć uczyć uczniów krytycznego myślenia, uświadamiać ich, że różne podmioty mają swoje interesy i że ważne jest, aby za każdym razem zadać sobie te pytania, o jakich już mówiłam: Kto stoi za przekazem do mnie kierowanym? Jaki jest jego cel? Dlaczego mam mu uwierzyć? Taka edukacja na pewno nie wychowa żadnych wiernych konsumentów. A to oznacza, że w dzisiejszym świecie jej prowadzenie się nie oplaca. ●

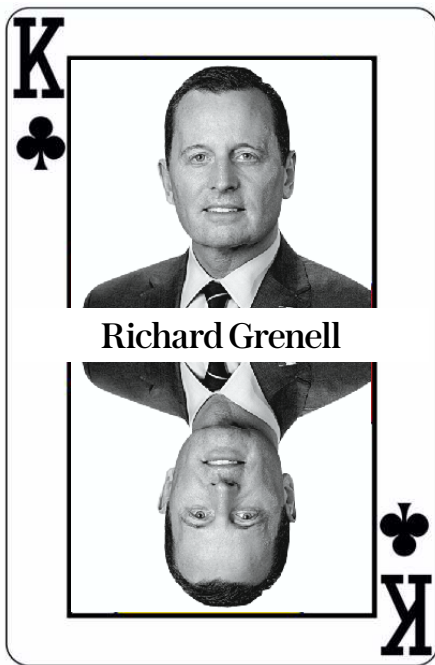


* Gosia Fraser

• dziennikarka, analityczka, z wykształcenia filozofka, autorka pierwszego podcastu o filozofii technologii TECHSPRESSO.CAFE. Zajmuje się m.in. prywatnością w sieci i cyberbezpieczeństwem



Mocny kandydat do najwyższych stanowisk prokuratorskich, którego atrakcyjność w oczach Trumpa musiała wzrosnąć, gdy upichcił zgrabną analizę konstytucyjną pod tytułem „Amerykański Departament Stanu nie jest niezależny”. Kiedy po przegranej z Bidenem Trump desperacko szukał prawników, którzy zszargaliby swoją reputację, poświęcając wierność literze prawa i oczywistym faktom na ołtarzu lojalności, Clark nieomal został p.o. prokuratora generalnego. Swoimi działaniami w Departamencie Sprawiedliwości zasłużył sobie na wdzięczność protektora, zaproszenia do Mar-a-Lago – i zarzuty od prokuratorów w Georgii za udział w próbach odkręcenia wyniku wyborów. Jego dalsza kariera będzie mocno uzależniona od wyniku procesu, bo – co za pech – prezydenckie prawo łaski nie rozciąga się na skazania w systemie stanowym.



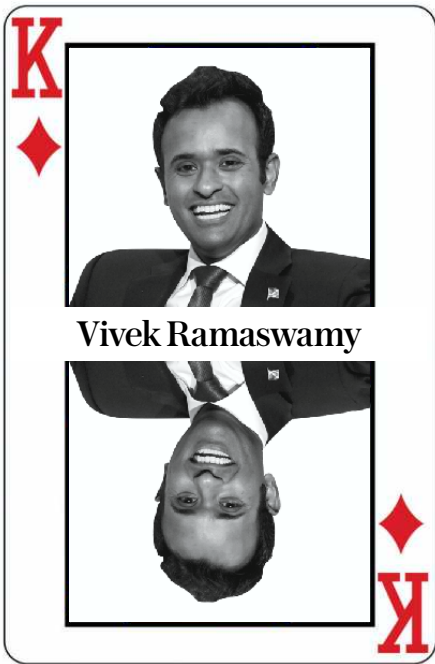
Typowany przez niektórych na sekretarza stanu. Podczas pierwszej kadencji Trumpa został ambasadorem USA w Niemczech, gdzie już po kilku godzinach wywołał konsternację, radząc miejscowym firmom, by natychmiast zwinęły interesy w Iranie. Odebrano to jako groźbę i próbę ingerencji w wewnętrzne sprawy kraju. Potem często wychodził z roli dyplomaty: kibicował alt-prawicowym politykom, krytykował rząd w Berlinie w programie Carlsona, a do tego wykazywał się dość powierzchowną wiedzą o Europie. Przez kilka miesięcy był też p.o. dyrektora amerykańskiego wywiadu narodowego, notabene przechodząc do historii jako pierwszy otwarcie homoseksualny urzędnik na tak wysokim stanowisku w rządzie. Ostatnio udziela się w prawicowej telewizji Newsmax. Jego poważnym rywalem do kierowania dyplomacją USA ma być zięć Trumpa Jared Kushner.



Nazwana przez CNN „żeńską wersją Trumpa” gubernatorka Dakoty Południowej zasłynęła tym, że podczas pandemii nie wprowadziła w swoim stanie lockdownów. Trochę przyćmił ją rządzący Florydą Ron DeSantis, ale odkąd rzucił rękawicę Trumpowi w prawyborach, trwoni swój polityczny kapitał. A Noem spokojnie buduje pozycję z tylnego siedzenia. To według bukmacherów najpoważniejsza kandydatka na wiceprezydenta obok Ramaswamy’ego. A skromnym zdaniem niżej podpisanego – wręcz najważniejsza. Utrudnia to fakt, że jej mały, rolniczy stan nikogo w USA nie obchodzi. By nadrobić, regularnie bywa w Fox News, łowi darczyńców w Mar-a-Lago, a Trumpowi sprezentowała wartą tysiąc dolarów replikę położonej w Dakocie Południowej Mt. Rushmore, na której obok podobizn Washingtona, Jeffersona, Roosevelta i Lincolna wykuto podobiznę... no, wiecie kogo.



Jedna z najważniejszych republikanek spod znaku MAGA (Make America Great Again) w Izbie Reprezentantów. W kierownictwie partii zajęła fotel Liz Cheney, bezkompromisowej krytyczki Trumpa, która miała czelność zasiąść z Demokratami w komisji ds. ataku na Kapitol. Jeszcze parę lat wcześniej była jej przyjaciółką. Ach, jak zmieniła się Stefanik! Gdy w 2014 roku dostała się do Kongresu w wieku ledwie 30 lat, zapowiadała się na wschodzącą gwiazdę umiarkowanego skrzydła partii. W zaprzysięgłą trumpistkę przedzierzgnęła się pod koniec 2019 roku, broniąc prezydenta przed impeachmentem. Od tego czasu umiejętnie lobbuje w sprawie jego interesów. Absolutka Harvardu przejęła trumpizm z całym dobrodziejstwem inwentarza, w tym podważaniem zwycięstwa Bidena i innymi teoriami spiskowymi. Nie zmieniło się tylko jej polskie pochodzenie.



Bukmacherzy to w nim upatrują jednego z faworytów do nominacji na wiceprezydenta. Na razie 38-letni przedsiębiorca, syn imigrantów z Indii, który sam siebie nazwał „niebiałym nacjonalistą”, kontynuuje kampanię w prawyborach. Szerzy rozmaite teorie spiskowe, od denializmu klimatycznego po teorię, że Demokraci celowo zastępują białych Amerykanów kolorowymi, i bezpardonowo atakuje rywali, ale za wszelką cenę stara się nie nadepnąć na odcisk Trumpowi. Co tylko potwierdza, że tak naprawdę walczy o stanowisko u jego boku. Butny, wygadany, momentami beczelny i mędrkowały Ramaswamy to jakby Trump 2.0 – bez bagażu licznych zarzutów, ale i chyba bez jego magii. Podobno Melania radzi mężowi, by postawił raczej na byłego gwiazdora Fox News Tuckera Carlsona, ale on nie da się tak łatwo kontrolować. A Ramaswamy ma za datki na idealnego giermka.



Kongresmen z Luizjany, pupil darczyńców z przemysłu naftowego, który zupełnie przypadkowo kwestionuje wpływ spalania paliw kopalnych na klimat, byłby tylko jednym z wielu trumpistów w Izbie Reprezentantów, gdyby splot okoliczności niespodziewanie nie wyniósł go na stanowisko spikera. Jeśli Republikanie utrzymają większość, będzie najważniejszym sojusznikiem Trumpa w Kapitolu. Po wyborze bezceremonialnie poparł już jego kandydaturę, choć zwykle spikerzy nie angażują się w prawyborzy. Podobno spotkali się w Mar-a-Lago. Jedną z pierwszych decyzji Johnsona było okrojenie pakietu prezydenta ze wsparcia dla Ukrainy. W 2020 roku to on przewodził grupie kongresmenów, która apelowała do Sądu Najwyższego o wyrzucenie do kosza wyniku wyborów w kluczowych stanach z powodu rzekomych oszustw.

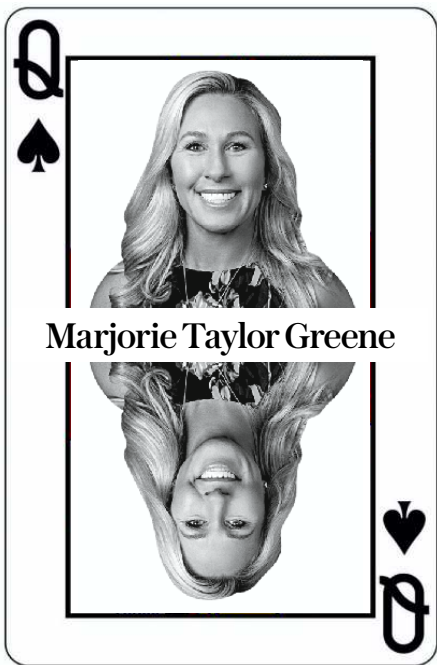
POKER

Kim są typowani na dwór Trumpa politycy: spiskowe te

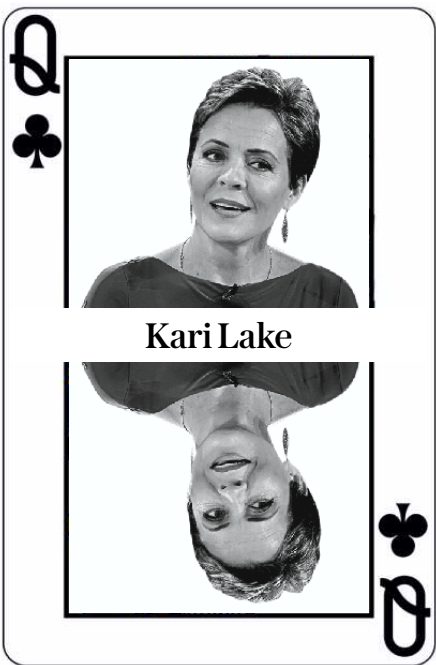
Maciej Czarnecki

5 grudnia 2023 roku, Davenport w stanie Iowa. Prowadzący spotkanie z Donaldem Trumpem gwiazdor Fox News Sean Hannity, zaprzyjaźniony z bohaterem wieczoru, pyta: – Czy obiecuje pan dziś Ameryce, że nigdy nie nadużyje władzy w akcie zemsty przeciwko komukolwiek? Trump – z wpiętą w kłapę flagą USA, czerwonym krawatem i poważnym spojrzeniem – siedzi na wysokim, barowym stolku z wystudiowaną nonszalancją. – Z wyjątkiem pierwszego dnia – wypala, po czym robi krótką, teatralną pauzę. Jak zwykle jest showmanem. Na widowni słychać pojedyncze „Yeah!”, ale ludzie mogą być skonfundowani. – Patrzcie go, jak wariuje – rzuca do nich lekko, mając na myśli Hannity’ego. – Ten facet pyta: „Nie będziesz dyktatorem, co?”. Ja mówię: nie, nie, nie – z wyjątkiem pierwszego dnia. Zamykamy granicę – i wiercimy, wiercimy, wiercimy! Potem nie będę dyktatorem. Cały Trump. Nie wiesz, czy mówi na serio, czy się zgrywa. Sztab Joego Bidena reaguje błyskawicznie: „Powiedział, że pierwszego dnia będzie dyktatorem!”. Ale wielkiej burzy jakoś z tego nie

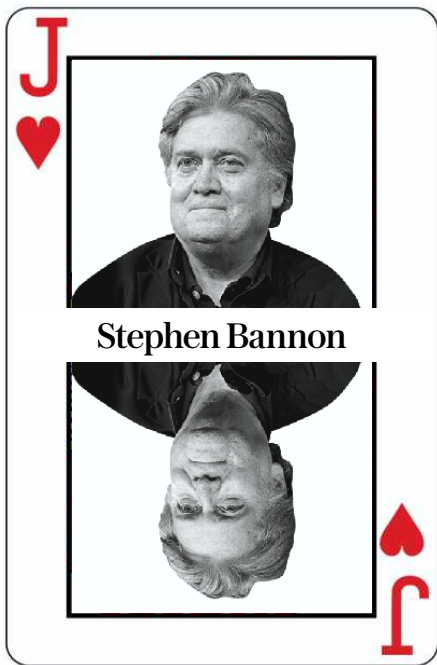
ma. Jednocześnie miliony wyznawców Trumpa odbierają podprogowy przekaz: po dojściu do władzy zrobi porządek, a z badań wynika, że coraz więcej Amerykanów o tym marzy. W niedawnym esej w „The Washington Post” Robert Kagan porównał obecne USA do Republiki Weimarskiej, gdzie „Hitler i inni propagandyści korzystali ze sporów partii demokratycznych na prawicy i lewicy, niekończących się walk o budżet, impasów w legislaturze, delikatnych i rozczłonkowanych koalicji”, zaś „niemieccy wyborcy coraz mocniej tęsknili za kimś, kto by to wszystko zakończył i coś – cokolwiek – zrobił”. Trump nawet niespecjalnie kryje, że w drugiej kadencji zdecydowanie umocniłby swoją władzę. W pierwszej nie był przygotowany, nie miał kadr, testował, na ile może sobie pozwolić. Popelił błąd: obok zaufanych ludzi powołał na wysokie stanowiska państwowców, albo przynajmniej takich, którzy nie wyzyli się troski o państwo, standardy prawa, demokrację. Jak prokurator generalny William Barr, który w decydującym momencie odmówił wprzęgnięcia podległych mu służb w hucpę z podważaniem wyniku wyborów. W 2025 roku ma być inaczej. Trump obiecuje „wykorzenie komunistów, marksistów, faszystów, radykalnie le-



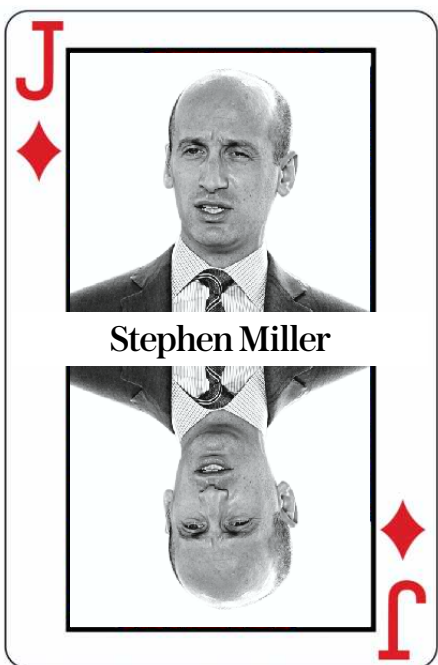
Butna kongresmenka z Georgii rozprawiła w mediach społecznościowych o egzekucjach za zdradę czołowych demokratów, próbowała zmusić muzułmańskie kongresmenki do złożenia przysięgi na Biblię, broniła się przed maseczkami i szczepieniami jak diabeł przed krucyfiksem, puszczała oko do wyznawców szalonego ruchu QAnon. Od dawna stoi murem za Trumpem. Z wdzięczności nazwał ją „jedną z najzacieklejszych wojowniczek w Kongresie na rzecz America First”. Wróble ćwierkają, że M.T.G. też marzy o tym, by zostać wiceprezydentką. Jednak według „Vanity Fair” nawet Trump nie jest „aż tak głupi”, by powierzyć jej ten fotel. Inne stanowisko w rządzie – już tak. Byle tylko nie zwinęła jej policja gazpacho! W zeszłym roku internet nie miał litości, gdy pomyliła tajną służbę Trzeciej Rzeszy z tradycyjnym hiszpańskim chłodnikiem.



Postać z podobnej półki co M.T.G. Podobno bardzo się nie lubią, a Greene miała obgadywać ją za plecami, że to „żadna konserwatystka, tylko zwykła oszustka”. Powód: Lake też marzyła o stolku wiceprezydentki. Jednak niedawno chyba spasowała, bo zapowiedziała, że będzie walczyć o mandat senatora w Arizonie. W 2022 roku przegrała w tym stanie wybory na gubernatora, a następnie ogłosiła, że zostały sfalszowane. Brzmi znajomo? Nic dziwnego, bo to kolejna „z najtwardszych bojowniczek naszego ruchu”, jak powiedział w oświadczeniu wideo Trump. Po jego przegranej z Bidenem solidarnie również grzmiała o oszustwach, postulując wtrącenie do więzienia lokalnych oficjeli. Jeśli do stanie się do Senatu, będzie tam reprezentować interesy swojego mentora. Jeśli nie – cóż, w administracji jest wiele stanowisk dla tak utalentowanej polityczki.



Dawniej zasługiwałby na kartę króla. To on pomógł Trumpowi w dojściu do władzy w 2016 roku, promując go w swoim portalu Breitbart oraz wykonując genialny ruch, gdy został szefem jego sztabu: pozwalając mu być sobą. Bezkompromisowy trybun alt-prawicy podążył za nim do Białego Domu, gdzie został doradcą strategicznym. Jednak szybko się poprztykali. Pod koniec rządów Trumpa Bannona oskarżono o defraudację funduszy od darczyńców na budowę muru z Meksykiem – jednak Trump go ulaskawił. Na to, by wybronić go od grzywny i czterech miesięcy więzienia za zignorowanie wezwań komisji ds. ataku na Kapitol, zabrakło mu czasu. Od 2019 roku prowadzi cieszący się ogromną popularnością wśród wyznawców Trumpa podcast „War Room”, dzięki któremu znów liczy się w grze. Według źródeł portalu Axios może zostać szefem personelu Białego Domu.



Architekt reform imigracyjnych z pierwszej kadencji Trumpa, w tym bezdusznej polityki rozdzielania rodzin, mógłby dostać tekę sekretarza bezpieczeństwa krajowego. A może jednak prokuratora generalnego, jeśli Clarcka zatopi proces w Georgii? Jest pewne, że będzie miał duży wpływ na rząd – pytanie, czy na eksponowanym stanowisku, czy z tylnego siedzenia. Na razie realizuje się w swojej fundacji America First Legal, prawicowej odpowiedzi na słynny ACLU (Amerykański Związek Swobód Obywatelskich). Pozywa ona rząd Bidena, gdzie się da, i walczy w sądach z liberalnymi organizacjami w różnych sprawach światopoglądowych. Poza tym Miller urządził castingi na prawników, którzy zasilą kadry trumpowej administracji. Choć pochodzi z rodziny demokratów, konserwatywne poglądy ma od dawna – już jako 16-latek załaził się lokalnej gazecie, że Osama bin Laden świetnie czułby się w jego kalifornijskiej szkole.

TRUMP

teorie, cynicy, fundamentaliści i zwolennik wojny domowej

wicowych bandytów, którzy rozplenili się po kraju jak robactwo, kłamią, kradną i oszukują w wyborach”. By „osuszyć waszyngtońskie bagno”, „zniszczyć głębokie państwo”, dokona czystki w administracji, zastąpi wysokich urzędników swoimi zausznikami, mianuje na najwyższe stanowiska wiernych żołnierzy, zinstrumentalizuje Departament Sprawiedliwości. Wszystko w imię oswobodzenia Ameryki. Historyczka Ruth Ben-Ghiat przypomina, że wielu autokratów ustawia się w roli niosącego wolność.

Heritage Foundation – założony za Nixona konserwatywny think tank, który zyskał duże wpływy za Ronalda Reagana i początkowo wręcz wyśmiewał Trumpa, a jednak z czasem znalazł się w forpoczcie trumpizmu – już połączył siły z innymi protrumpowymi organizacjami, by przygotować listy 20 tys. potencjalnych nominatów do nowej administracji (to tzw. Project 2025).

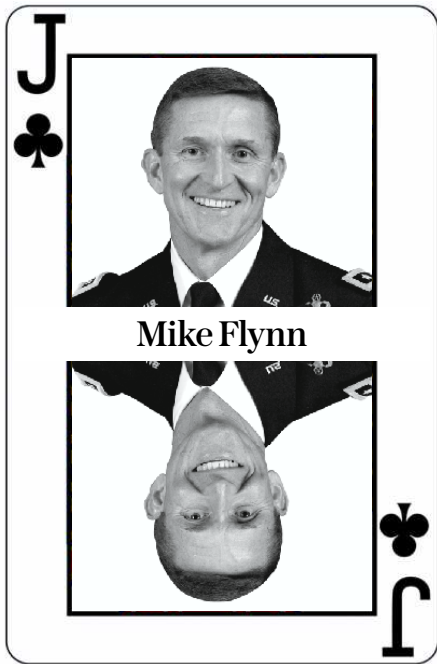
Że prezydent aż tylu nie powołuje? Żaden problem, to się załatwi. Trump już pod koniec pierwszej kadencji wprowadził tzw. rozporządzenie Schedule F, tylko wtedy jeszcze z niego nie skorzystał. Zmieniało ono status tysięcy urzędników z funkcjonariuszy publicznych na politycznych nominatów. Zostało zniesione przez Bidena, ale czemu go nie przywrócić?

Zostają jeszcze prawnicy. Zatrudniani przez rząd w różnych departamentach mogą blokować niekonstytucyjne posunięcia. W cenie będą tacy, którzy uznają oczywistą prawdę, że to Donald Trump wie najlepiej, co jest legalne, a co nie, i nie będą obstawać przy zbędnych pryncypiach. Na przykład trzymanie się przez prezydenta z dala od działań niezależnej prokuratury.

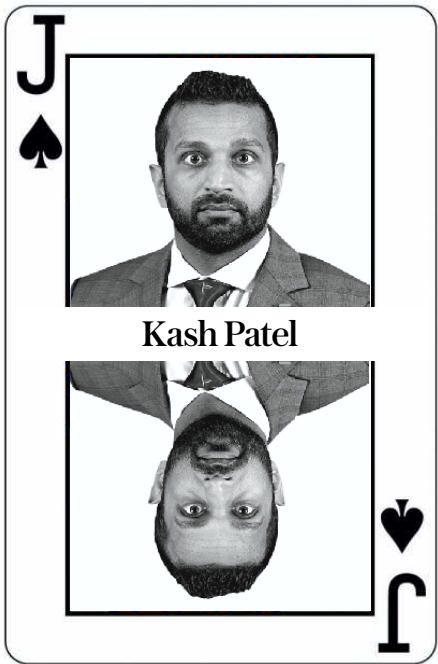
Większość szwależerów owej rewolucji jest i pozostanie anonimowa dla szerszego grona odbiorców, ale pokusiliśmy się o przedstawienie rodziny królewskiej, która będzie zawiadywać ich poczynaniami.

Samego Trumpa obsadźmy w roli koka. Ach, czy nie pasuje idealnie? Najdziwniejsza z kart w talii, odróżniająca się od dostojnych królów i dam błazeńsko-karnawałowym rodowodem, bombastycznością, absurdem, a zarazem groźną nieprzewidywalnością. Trejniś z szerokim uśmiechem, za którym czają się mroczne motywy. Filmowe wcielenie wzbierających od lat frustracji, które trawia białych amerykańskich mężczyzn – trzon jego elektoratu.

Konkurs na najlepsze podsumowanie sytuacji wygrywa czasopismo „The Atlantic”: „W drugiej kadencji Trumpa w pokoju nie byłoby już dorosłych”. ●



Emerytowany generał został za Trumpa pierwszym doradcą ds. bezpieczeństwa narodowego, lecz po niespełna miesiącu zrezygnował, bo okazało się, że kłamał o swoich rozmowach z rosyjskim ambasadorem. Przyznał się do składania fałszywych zeznań w tej sprawie agentom FBI, ale Trump go ulaskawił. Z wdzięczności Flynn poszedł w ekstremę: by nie dopuścić do zaprzysiężenia Bidena, radził wprowadzić stan wojenny, uciszyć prasę i przeprowadzić nowe wybory pod okiem wojska. Potem do spółki z przedsiębiorcą z Oklahomy Clayem Clarkiem zajął się rozkręcaniem skrajnie prawicowego, chrześcijańsko-nacjonalistycznego ruchu ReAwaken America Tour, który serwuje ludziom na wiecach teorie spiskowe o wyborach, QAnonie, pandemii i końcu świata. Na jednym z nich Trump obiecał Flynnowi: „Przywrócimy cię do rządu”.



Podczas pierwszej kadencji Trumpa awansował z pozycji niezbyt znanego doradcy na jednego z najbardziej zaufanych ludzi od bezpieczeństwa narodowego. Z pasją bronił prezydenta przed dochodzeniem w sprawie Russiagate. W nowej administracji mógłby stanąć na czele CIA albo Rady Bezpieczeństwa Narodowego (NSC). O jego kompetencjach niechaj zaświadczy anegdota ze schyłkowych dni Trumpa: otóż gdy rozważał on, czy nie uczynić Patela wicedyrektorem FBI, ówczesny prokurator generalny William Barr miał oświadczyć: „Po moim trupie”. W 2021 roku Patel wydał ilustrowaną książeczkę dla dzieci, w której król Donald jest prześladowany przez złą Hillary. Bohaterem okazuje się czarodziej zwany... tak, zgadliście: Kash, który udaremnia spisek, by obalić króla. Trump powiedział, że chciałby „umieścić tę wspianą książkę w każdej szkole w Ameryce”.

GORZKIE POMARAŃCZE

...i pomidory z wyzysku
kupujemy też my,
w naszych supermarketach

Anna Mikulska



Ody sam wyjeżdżałem, dawno temu, nie było żadnych wiz, braliśmy paszporty i w drogę. Nigdy nie musiałem sprzedawać narkotyków ani kraść w Hiszpanii, żeby przeżyć. Miałem wtedy 19 lat – opowiadał mi 60-letni Marokańczyk, właściciel sklepu mięsnego w madryckiej dzielnicy Lavapiés. Interes kręcił się dobrze i odpowiadał na potrzeby lokalnej społeczności imigrantów – muzułmanie mogli dostać tam produkty halal, co oznacza „wszystko, co zgodne z prawem islamskim”.

– Wielu się tu dorobiło, mają po kilka domów, wyjechali dalej. Ale dziś migrować jest znacznie ciężiej. Ludzie płacą 10-11 tys. euro za to, żeby ktoś ich tu przemycił. Gdy przyjeżdżają, mają problemy z legalizacją pobytu, zero pomocy od państwa – ciągnął dalej sprzedawca.

Od czasu tamtej rozmowy ludziom próbującym dotrzeć do Europy szlakami migracyjnymi jest jeszcze trudniej.

To był pierwszy rok pandemii. Mieszkając wtedy w Madrycie i przyglądałam się, jak kiedyś wykluczona dzielnica imigrancka zamieniła się w modne miejsce spotkań – z restauracjami indyjskimi, banglijskimi, senegalskimi, ze sklepami z marokańskim rękodziełem, z butikami, gdzie kupić można torby i sukienki w ludowe wzory krajów Afryki Zachodniej. Zdecydowaną większość tych biznesów prowadzili migranci.

Jednak nie wszystkie historie drogi do Hiszpanii kończyły się tak szczęśliwie, a problemy ekonomiczne migrantów – rzecz jasna nie tylko ich – jeszcze pogłębił COVID-19. Oddolne, małe organizacje tworzone m.in. przez Banglijczyków czy hiszpańskie grupy aktywistyczne dystrybuowały żywność osobom i rodzinom w trudnej sytuacji.

Lavapiés jak w soczewce skupia różne strategie przetrwania migrantów na eu-

ropejskim rynku, a także marginalizację i przemoc ze strony służb.

Raz na jakiś czas ludzie mówią „dość” i wychodzą na ulice. Jedne z największych protestów migrantów w Madrycie wybuchły w 2018 roku, po śmierci Mame Mbaye, 35-letniego Senegalczyka. Mbaye był mantero, czyli ulicznym sprzedawcą. Nazwa ta pochodzi od hiszpańskiego słowa „manta”, oznaczającego koc, na którym cudzoziemcy wystawiają swoje towary. To popularny sposób zarobku przez osoby bez dokumentów ani pozwolenia na pracę.

Sprzedaz często kończy się ucieczką przed policją. Podczas jednego z takich pościgów Mame Mbaye dostał ataku serca i przewrócił się na ulicy w centrum Lavapiés. Z relacji części mediów i naocznych świadków wynika, że policja, ścigając Mbaye, miała doprowadzić go do ataku serca i nie zapobiegła jego śmierci. Policja stwierdziła z kolei, że żadnego pościgu nie było, a atak serca nie miał nic wspólnego z działaniami funkcjonariuszy. Tę drugą wersję przyjął sąd.

Obie historie zgadzają się w jednym punkcie – mężczyzna zmarł na miejscu. Tamto zdarzenie sprowadziło na ulice tysiące ludzi, w tym Hiszpanów i członków związku zawodowego manteros, oskarżających policjantów o rasizm i przemoc. Do dziś jedną z kamienic w dzielnicy zdołał mural z podobizną Mbaye i podpisem: „Walcząc o wizę, walcząc o życie. Pamięci Mame Mbaye i ofiar naszych braci migrantów i sióstr migrantek”.

EUROPA POTRZEBUJE MIGRANTÓW. KOMPETENTNYCH

Jeśli przez moment spojrzeć na migrujące osoby tylko w kategoriach „europejskiego pragmatyzmu”, należy uznać, że są nam potrzebne. Tak wynika między innymi z raportu Center for Global Development z 2021 roku, zgodnie z którym w 2050 roku liczba

osób w wieku produkcyjnym w Europie zmniejszy się o 95 mln w porównaniu z rokiem 2015.

Starzejące się społeczeństwo Europy doprowadzi do spowolnienia wzrostu gospodarczego. Odpowiedzią na to wyzwanie mogą być zwiększenie aktywności zawodowej kobiet czy automatyzacja, jednak autorzy raportu przekonują, że żadna z nich nie będzie wystarczająca.

Nadziei należy więc upatrywać w imigracji, zwłaszcza z krajów afrykańskich, których społeczeństwa często są młode, a perspektywy na pracę – odległe. Do tego w znacznej części z nich francuski czy angielski jest językiem oficjalnym, co ułatwia odnalezienie się na nowym rynku pracy.

Zatem Europa potrzebuje migrantów. Odważna teza? Niekoniecznie. Sam Josep Borrell, wysoki komisarz UE ds. polityki międzynarodowej, przyznał, że „Trendy demograficzne w Europie są takie, że potrzebujemy migrantów na rynku pracy – i tak samo będzie w przyszłości”.

Komisarz oddziela jednak grubą kreską migrację „legalną” od tych „nielegalnych” (choćby zdecydowanie bardziej pasuje tu określenie „uregulowane” i „nieuregulowane”). Proponuje wzmocnienie współpracy z krajami takimi jak Maroko, Libia czy Bangladesz, by powstrzymać ludzi idących szlakami migracyjnymi. Jednocześnie zachęca, by rozwijać ścieżki migracji uregulowanej, jak program „Talent”, który pozwoli ściągać do Europy cudzoziemców z kompetencjami odpowiadającymi zapotrzebowaniu na europejskim rynku.

Borrell jest świadomy, że takie podejście może doprowadzić do drenażu mózgów w krajach partnerskich Europy. Nadal jednak przekonuje, że można dogadać się i w tym zakresie, a dbanie o wzajemne potrzeby rozwiąże wszelkie problemy i sprzeczne interesy państw.

Co w takim razie z tymi, którzy potrzebnych nam kompetencji nie mają? Odpowiedź brzmi: to zależy. Poszczególne pań-

stwa przyjmują własne strategie pozyskiwania pracowników.

– Przykłady? Choćby Portugalia, która przeszła na niezwykle liberalny reżim migracyjny dla Krajów Wspólnoty Języka Portugalskiego, który w praktyce jest bardzo bliski swobodnemu przepływowi. Włochy robią loterię migracyjną ze 136 tys. rocznych wiz dostępnych dla wnioskodawców spoza UE. Niemcy zaś wprowadzają różnorodne rozwiązania mające przyciągnąć kolejne setki tysięcy imigrantów spoza UE – wymienia Aliaksei Bashko z Ośrodka Badań nad Migracjami (OBM).

Dlaczego więc ludzie decydują się na szlak migracyjny, zamiast dotrzeć do Europy legalnie? Istnieje coś takiego jak ranking paszportów, który pokazuje, do jak wielu krajów możemy pojechać w zależności od tego, jaki dokument posiadamy. W czołówce znajdują się obywatele Singapuru, Japonii, Francji czy Niemiec, którzy aż do ponad 190 państw wjadą bez wizy. Na drugim końcu rankingu widnieją posiadacze paszportów: syryjskiego, irackiego czy somalijskiego, wizy wymaga od nich ok. 180 państw – i większość z nich nigdy jej nie dostanie.

Takim osobom często więc pozostaje tylko zaryzykowanie zdrowia i życia – na łodzi przez Morze Śródziemne, przez góry i lasy Bałkanów albo polską puszcę. Raz otwarty szlak migracyjny nigdy już do końca się nie zamknie (z czego znów Borrell doskonale zdaje sobie sprawę), a Unia Europejska robi wiele, by ludzi na tej drodze zatrzymać.

I właśnie tutaj pojawia się wspomniana przez komisarza współpraca z Marokiem albo Libią – obu tym krajom wspólnota zapłaciła wiele milionów euro za powstrzymanie migrantów na ostatnim odcinku trasy. To outsourcing kontroli granic, wcześniej podpisany też z Turcją, a niedawno – z Tunezją.

W każdym z tych państw prawa ludzi w drodze są systemowo i brutalnie łamane przez władze – na przykład w Libii migran-



Najlepsze paszporty mają obywatele Singapuru, Japonii, Francji czy Niemiec – do ponad 190 państw wjadą bez wizy. Najgorsze – Syrii, Iraku czy Somalii, wizy wymaga od nich ok. 180 państw – i większość z nich jej nie dostanie

ci są wtrącani do więzień, a ich rodziny muszą zapłacić okup, by ich uwolnić. Wiemy o tym z raportów Human Rights Watch i wielu innych organizacji. Przemoc po drugiej stronie morza czy muru europejskich przywódców najczęściej nie interesuje – nawet jeśli sami tę przemoc sponsorują.

MIESZANE MAŁŻEŃSTWA

Mamy więc dwie równoległe realizowane polityki migracyjne – z jednej strony członkowie UE pilnie strzegą Fortu Europa, a kolejne kraje, w tym Niemcy czy Austria, wprowadzają dodatkowe kontrole na swoich granicach. Z drugiej strony w tym samym czasie otwierają kolejne programy zachęcające do pracy w danym kraju, takie jak te, które wymienił Bashko. O tej pierwszej polityce słyszemy w mediach – służy władzom w zarządzaniu strachem przed „obcymi”. Tę drugą realizuje się często w ciszy, służąc głównie lokalnej gospodarce.

Warto w tym miejscu przyjrzeć się liczbom – w 2020 roku w Europie żyło 40 mln imigrantów z innych rejonów świata (wraz z migrantami wewnątrz europejskimi – ponad 80 mln). W samym 2021 roku Eurostat odnotował 2,3 mln imigrantów, wśród których znacznie mniej, bo 151 tys., dotarło na Stary Kontynent w sposób nieuregulowany, trasami migracyjnymi (w 2023 roku było ich 270 tys.). Przy tym każdego roku tysięcy osób ginie, zanim dotrze do celu.

Nawet dla tych, którzy do Europy przyjeżdżają w sposób uregulowany lub od dawna mają przyznany status uchodźcy bądź inną formę ochrony, istnieją liczne bariery wejścia na rynek pracy. Są to choćby skomplikowane kwestie prawne i dokumentacyjne, bariery kulturowe i językowe, dyskryminacja i uprzedzenia.

– Dlatego tak ważna jest skuteczna integracja na rynku pracy – mówi Bashko. I choć nie ma kraju, który modelowo rozdziłby sobie z tym, to niemiecka polityka herzlichen willkommen względem uchodź-

ców w 2015 i 2016 roku stopniowo zaczyna przynosić pozytywne skutki dla krajowej gospodarki. Jednocześnie nie brakuje głosów, że przyjęcie wtedy 1,2 mln osób, głównie z Syrii, było katastrofalnym błędem byłej kanclerz Angeli Merkel.

Faktem jest, że Niemcy musiały dużo zainvestować w rozpatrywanie wniosków i programy integracyjne, w tym naukę języka, jednak w dłuższej perspektywie te inwestycje zaczęły się zwracać.

– Uchodźcy, którzy wtedy dotarli do Niemiec, znaleźli pracę znacznie szybciej i w większej liczbie niż cudzoziemcy, którzy przyjechali do Niemiec w latach 90., między innymi z byłej Jugosławii – tłumaczy Bashko. – Musimy pamiętać, że kolejne pokolenia migrantów i uchodźców będą miały znacznie większe możliwości zawodowe niż ich rodzice i dziadkowie. Znamy przypadki, w których potomkowie nisko wykwalifikowanych imigrantów są właścicielami dobrze prosperujących firm – dodaje badacz OBM.

Też innowacyjnych – na przykład korporacja BioNTech, która z firmą Pfizer wynalazła słynną szczepionkę mRNA przeciw COVID-19, została założona przez dzieci tureckich imigrantów.

Osoby ze statusem uchodźcy, mówi dalej Bashko, często są chętne do integracji z lokalną społecznością oraz rozwijania swoich kompetencji zawodowych i językowych, bo wiedzą, że najpewniej nigdy nie wrócą do swojego kraju. Odzwierciedlają to badania IAB, z których wynika, że coraz więcej uchodźców podejmuje wykwalifikowaną pracę.

„Sześć lat po przybyciu do Niemiec osiągnięto znaczny postęp we wszystkich wymiarach integracji rynku pracy” – pisze Yuliya Kosyakova, kierowniczka zespołu badawczego IAB. Sytuacja jest jednak daleka od idealnej, choćby dlatego, że uchodźcy zatrudnieni na pełny etat zarabiają 60 proc. średniej miesięcznej pensji pracowników w Niemczech. Do tego aktywizacja zawodowa uchodźczyń jest na niskim

poziomie, co wynika między innymi z opieki nad dziećmi i niewielkiego doświadczenia zawodowego w kraju pochodzenia.

– Problemy są, oczywiście. Integracja odbywa się w różnym tempie na polu społecznym i ekonomicznym. Media często budują negatywny obraz imigracji, jeśli jednak przyjrzymy się statystykom, na przykład we Francji, okaże się, że integracja przebiega tam bardzo sprawnie – tłumaczy Bashko.

Potwierdzają to liczby. Jednym z dowodów na integrację społeczną są mieszane etnicznie małżeństwa – we Francji 27 proc. migrantów pozostaje w związku małżeńskim z osobą, która nie ma doświadczenia migracji. W drugim pokoleniu jest to aż 66 proc. (dane za 2020 rok Państwowego Instytutu Statystyki i Badań Ekonomicznych Francji, INSEE).

Ale są też statystyki, które pokazują, że migranci, zwłaszcza nieeuropejscy, w przeważającej części są w gorszej sytuacji ekonomicznej niż Francuzi. Z danych INSEE wynika, że bezrobocie wśród nich sięgało 13 proc. w 2021 roku w porównaniu z 8 proc. wśród obywateli Francji. „Imigranci są dwukrotnie bardziej narażeni na ubóstwo finansowe” – czytamy na stronie instytutu, chociaż badacze podkreślają, podobnie jak Bashko, że w drugim pokoleniu migrantów sytuacja wygląda znacznie lepiej.

DILER MAMADOU MARZY O WŁASNYM SKLEPIE Z ELEKTRONIKĄ

Skupmy się teraz na migrantach o nieuregulowanym statusie. Istnieje kilka scenariuszy, co się z nimi stanie, gdy już do Europy dotrą.

Część złoży wniosek o ochronę międzynarodową w pierwszym kraju, do którego trafi, i z dużym prawdopodobieństwem będzie latami czekać na jego rozpatrzenie. Inni zdecydują się wyruszyć w głąb Europy, często do Niemiec, ryzykując, że – zgodnie z rozporządzeniem dublińskim – zosta-

ną zawróceni do pierwszego kraju europejskiego, w którym się pojawili, na przykład do Grecji. Mimo że Grecja czy Włochy to kraje bezpieczne, ludzie często chcą dotrzeć tam, gdzie są już ich bliscy lub gdzie mają największe szanse godnie zarobić – a przynajmniej wielu tak to sobie wyobraża.

Jeszcze inni nigdy nie złożą wniosku o ochronę. Niektóre państwa, jak Hiszpania czy Portugalia, dają możliwość zalegalizowania pobytu po kilku latach przebywania na terenie państwa albo znalezieniu zatrudnienia. Nie jest to jednak europejska reguła.

Dlatego wielu utknie w szarej strefie, ryzykując deportację. Tutaj opcje dalej się rozgałęziają – praca na czarno, bez ubezpieczenia ani praw, za marne grosze bądź zatrudnienie u rodziny, znajomych, często z tego samego kraju, którzy lata temu otworzyli własne biznesy, na przykład restauracje albo sklepy. Wreszcie – przestępczość.

Pamiętam dzień, gdy odpoczywając w niewielkim parku w Lavapiés, poznałam Mamadou, Gwinejczyka, który w Madrycie handlował narkotykami. Do Hiszpanii trafił jak wielu innych – płynąc przez morze na lichej łódce, zwanej paterą. Spędził na niej siedem dni.

– W Afryce pracowałem w Kon-go i w Senegal, ale było bardzo ciężko – i z zarobkami, i ogólnie z życiem. Chciałem zmiany – opowiadał. – Ludzie widzą na zdjęciach piękne budynki i chcą spróbować szczęścia. Wyobrażają sobie raj i nie myślą, że później mogą wylądować na ulicy.

Na początku Mamadou żył z pracy na hiszpańskich plantacjach na południu kraju za 800 euro miesięcznie. Z czasem postanowił przenieść się do stolicy – liczył na lepszy zawód i większe zarobki, na pieniądze czekali jego żona i dziecko, których zostawił w kraju.

Zapytałam go, dlaczego zdecydował się na handel narkotykami. Usłyszałam: „Chodzi o to, żeby przetrwać”.

– Próbowałem pracować w inny sposób, ale przez pandemię jest ciężiej, a poza tym wszystkie biznesy tutaj są obstawione przez rodziny od pokoleń, Banglijczycy kręcą całą dzielnicą. Dla nowych nie ma w zasadzie możliwości znalezienia innej pracy niż dilowanie. Największy problem to brak papierów, na przykład ważnego paszportu – tłumaczył.

Mamadou wierzy, że w końcu uda mu się rzucić tę pracę. Jego największym marzeniem jest założenie własnego sklepu z elektroniką.

Marzenie o lepszej przyszłości i godnej pracy przyciąga młodych Afrykańczyków do Europy. Wielu z nich, jak pokazuje raport OECD (Organizacja Współpracy Gospodarczej i Rozwoju), ma aspiracje, by pracować w sektorze publicznym w swoim kraju. Jednocześnie połowa z nich (w 10 zbadanych krajach) angażuje się w nieodpłatną pracę na rzecz rodziny – tego się od nich wymaga.

Mamadou ma piątkę rodzeństwa i za nic nie chciałby, by jego bracia ryzykowali przeprawę do Europy, tak jak on. – Ale wiem, że też chcą spróbować – kwituje.

Niewielkie możliwości rozwoju zawodowego to jedno. Innym problemem jest kurczący się rynek pracy, co dobrze obrazuje film dokumentalny Małgorzaty Juszcak „Stolen Fish. Kiedy zabraknie ryb”. Głównym bohaterem filmu jest Abou, Gambijczyk, dziś mieszkający w Hiszpanii. Śledząc jego losy, poznajemy mechanizm działania chińskich przetwórci mączki rybnej, które wtargnęły do niewielkiej Gambii w zachodniej Afryce.

W ten sposób rybołówstwo, główne źródło utrzymania mieszkańców, niemal z dnia na dzień przestało wystarczać do przeżycia. Mączkę rybną, czyli mielone ryby, które stają się paszą dla bydła, skupują też europejskie kraje. Pośrednio więc także Zachód przyczynia się do migracji Gambijczyków, zmuszonych do poszukiwania pracy w krajach sąsiednich albo po drugiej stronie morza.

– Na kwestię ruchów migracyjnych musimy patrzeć holistycznie. Są wypadkową wielu czynników, w tym, a może przede wszystkim, polityki eksploatacji zasobów krajów globalnego Południa przez kraje globalnej Północy: zasobów naturalnych oraz ludzkich – mówi „Wyborczej” Małgorzata Juszcak.

POMIDORY I POMARAŃCZE Z WYZYSKU

We wrześniu tego roku szefowa włoskiego rządu Giorgia Meloni podniosła alarm z powodu tysięcy osób, które w ciągu kilku dni przypłynęły na niewielką Lampedusę. Ta wyspa to pierwszy skrawek europejskiego lądu na tzw. środkowóśródziemnomorskiej trasie migracyjnej, na którą wypływają pontony z Libii albo Tunezji.

Ludzie widzą na zdjęciach piękne budynki i chcą spróbować szczęścia. Wyobrażają sobie raj i nie myślą, że później mogą wylądować na ulicy

To nie pierwszy raz, gdy Włochy domagają się relokacji cudzoziemców i wsparcia ze strony Unii Europejskiej. Poleciałam na Lampedusę trzy lata temu, gdy media również straszyły „niepohamowaną falą uchodźców”.

Na miejscu okazało się, że sytuacja wcale nie była tak dramatyczna. Afrykańscy i niewielka część Azjatów szybko zostali przetransportowani na pobliską Sycylię, gdzie mieli trafić do ośrodka dla cudzoziemców, by urzędnicy mogli rozpatrzyć ich wnioski o ochronę międzynarodową.

Część rzeczywiście do ośrodka trafiła, wchodząc w długą i żmudną procedurę. Wielu zaś, korzystając z usług prawników lub agencji, trafiło do pracy na plantacjach rolniczych. Pośrednicy i pracodawcy często wykorzystują ich sytuację, oferując niskie wynagrodzenie, ciężkie warunki pracy i brak ubezpieczenia.

Tak było w przypadku Imo, Senegalczyka, którego poznałam w nieformalnym obozowisku w zachodniej Sycylii. Jego historię opisywałam na łamach „Tygodnika Powszechnego”. Imo był – być może nadal jest – sezonowym pracownikiem rolnym, podobnie jak tysiące innych migrantów. Zdarza się, że nigdy nie otrzymują zarobionych pieniędzy, splacając w nieskończoność dług zaciągnięty u pośredników i „agentów” pracy.

– Policja nie robi nam problemów – usłyszałam z kolei od Ibrahima, Gwinejczyka, również pracującego na sycylijskich plantacjach warzyw i owoców. Przekonywał, że istnieje ciche przyzwolenie na nielegalną pracę migrantów. Tania siła robocza opłaca się europejskim hipermarketom.

We Włoszech istnieje system nazywany caporalato. Polega na zatrudnianiu pośrednika przez właścicieli plantacji – czasem są nimi lokalni mafiosi – którego zadaniem jest znalezienie ludzi do pracy, za co otrzymują część ich wynagrodzenia. Praca nie jest stała – jednego dnia właściciel plantacji może potrzebować dziesięciu pracowników, drugiego dnia nie zatrudni nikogo. Zdarza się więc, że niektórzy są bez pracy tygodniami, a nawet miesiącami.

W podobnej sytuacji znajdują się pracownicy tak zwanego Sea of Plastic, Morza Plastik, czyli gigantycznego terenu po brzegi wypełnionego szklarniami na południu Hiszpanii. Pracują tam dziesiątki tysięcy osób – nie tylko migranci.

Pomidory czy pomarańcze z wyzysku znajdziemy nie tylko tam, gdzie są zbiera-

ne. Gdy idziemy do jakiejkolwiek sieci sklepów spożywczych w Polsce, istnieje duże prawdopodobieństwo, że kupimy produkty, które dotarły do nas dzięki pracy osób takich jak Imo.

Wyzysk migrantów w sektorze rolniczym ma miejsce nie tylko w Europie Południowej, ale też między innymi w Niemczech czy Holandii. Tylko że tam wyzyskiwani są głównie pracownicy z Polski – wynika z raportu Open Society European Policy Institute z 2018 roku. Wyzysk jest więc również w krajach, które są wzorem integracji cudzoziemców na rynku pracy.

AFGANKA NILOFAR DAJE PRACĘ POLAKOM

Jeszcze zanim na jaw wyszły informacje w sprawie afery wizowej, Polska przodowała w unijnych statystykach pod względem liczby wydanych zezwoleń na pracę dla cudzoziemców. Jak wynika z danych GUS, na koniec maja 2023 roku liczba cudzoziemców pracujących w naszym kraju wynosiła niemal milion, co stanowi 6,4 proc. z ogólnej liczby pracujących osób. To obywatel ponad 150 państw, chociaż zdecydowana większość to obywatele Ukrainy. Nawet przed rosyjską agresją stanowili największy odsetek migrantów na polskim rynku.

– W Polsce cały czas brakuje polityki wobec migrantów zarobkowych, chyba że uznać za nią powinniśmy priorytetyzowanie pracowników z tzw. bliskich krajów – komentuje Witold Klaus z Konsorcjum Migracyjnego. Te kraje to Białoruś, Ukraina, Mołdawia, Gruzja i Armenia – ich obywatele mają ułatwiony, bo szybszy dostęp do rynku pracy.

Politykę kreują polscy pracodawcy ściągający do kraju pracowników cudzoziemskich, często za pośrednictwem agencji pracy. Wśród nich zdarzają się agencje nieuczciwe, które wykorzystują sytuację migrantów (jeden z takich procederów wyszedł na jaw dzięki śledztwu „Dużego Formatu”).

Pracownicy stają się jednak coraz bardziej świadomi swoich praw i decydują się o nie walczyć. Do takich inicjatyw należy założona przez kobiety z Ukrainy Komisja Pracownic i Pracowników Domowych Ogólnopolskiego Związku Zawodowego „Inicjatywa Pracownicza”.

„Wiele z nas pracuje dla agencji pracy tymczasowej, które zarabiają na naszej pracy, nie oferując nam nic w zamian.

Odmawia się nam legalnego zatrudnienia” – czytamy na stronie komisji, na której widnieje też dziesięć postulatów. Opiekunki żądają między innymi jasnego określenia warunków pracy i obowiązków oraz dostosowania legalnych form zatrudnienia do specyfiki pracy domowej.

Witold Klaus: – Wielu pracodawców deklaruje, że chciałoby zatrudniać pracowników „bliskich kulturowo”, cokolwiek to znaczy, ale to myślenie życzeniowe – liczba chętnych do pracy z Ukrainy nie będzie rosnąć, bo tak nam się podoba. Jeśli potrzeby polskiej gospodarki mają być zaspokojone, musimy otworzyć się na zatrudnianie osób z odleglejszych państw.

Trwa kampania „Bezgranicznie”, zorganizowana przez warszawską fundację Kuchnia Konfliktu i organizację pozarządową Podróżnych Ugościć. Jej bohaterami są uchodźcy i uchodźczynie w Polsce. Umówiłam się na rozmowę z jedną z nich, Nilofar Ayoubi z Afganistanu, by spróbować zrozumieć, jak wyglądała jej droga na polskim rynku.

Opowieść zaczęła się od wspomnień z rodzinnego Kunduzu. Tam prowadziła swój pierwszy biznes – eksportowała ręcznie szyte dywany, designerskie meble i odzież. Z czasem otworzyła swój showroom w Kabulu. Cały czas aktywnie działała na rzecz praw kobiet.

Po przejściu władzy przez talibów razem z mężem i trójką dzieci uciekła do Polski. Trafiła do ośrodka dla cudzoziemców. Tu wszystko musiała zacząć od nowa.

– Nigdy nie zaakceptowałam przegranej – mówi, ale bariera językowa uniemożliwiła szybkie znalezienie pracy. Zaangażowała się więc w działania polskich NGO-sów, pomagając innym uchodźcom, jednocześnie pracując jako dziennikarka arabskojęzycznych mediów. Z czasem postanowiła raz jeszcze otworzyć własny biznes.

– Straciłam większość pieniędzy, a jako afgańska uchodźczyni nie mogłam dostać pożyczki w banku. Nie miałam żadnej pomocy ze strony państwa. Nie wiedziałam, od czego zacząć – wspomina.

Nilofar nie dała za wygraną. Dzięki wsparciu polskich przyjaciół dziś prowadzi persko-afgańską restaurację Rumi w Warszawie. Daje zatrudnienie cudzoziemcom i Polakom.

– Nie wiem, skąd bierze się to przekonanie, że migranci, którzy docierają do Europy, liczą tylko na zasiłki – zastanawia się. – Jeśli ktoś ucieka, ryzykując swoje życie, to robi to po to, by znaleźć bezpieczeństwo, pracować i móc finansowo wspierać swoją rodzinę. Inaczej nikt nie porzuciłby swojego domu. ●

OGŁOSZENIE

34294726



WSPRZEDAŻY

TEMAT NUMERU: Przyjaciele to nowa rodzina
KATARZYNA SMUTNIAK: Nie mam ochoty być grzeczna
ANNA DYMNA: Umieć wszystko przeżyć

wysokieobcasy
extra

DUŻO
DOBREGO
CZYTANIA

Bez kawioru da się żyć, bez uranu nie

W czasie wojny Rosatom na kontraktach z USA i Unią zarobił 1,7 mld dolarów.

Sankcje przeciw Rosji objęły niezliczone branże – Zachód przestał kupować od Putina ropę, gaz, kawior czy wódkę. Po cichu pominięty został jednak jeden kluczowy surowiec – uran.

Od lutego 2022 państwowy Rosatom i powiązane z nim podmioty na kontraktach z USA i państwami Unii zarobiły 1,7 miliarda dolarów. Co najmniej, bo liczne transakcje w branży energetyki jądrowej są objęte tajemnicą. W pierwszym roku wojny wręcz rosły: w 2021 r. Francuzi kupili od Rosjan 110 ton wzbogaconego uranu, w 2022 – 312 ton. W tym samym roku amerykańskie zakupy w Rosatomie odpowiadały za 42 proc. przychodów koncernu z eksportu.

Tymczasem Rosatom jest aktywnym uczestnikiem napaści na

Ukrainę. W marcu 2022 r. Rosjanie zajęli największą elektrownię jądrową świata w Zaporozżu, która dawała 20 proc. energii w Ukrainie. Do zakładu wkroczyli technicy Rosatomu, a Kreml ogłosił, że firma jest teraz właścicielem elektrowni. Wiadomo też, że choć oficjalnie koncern działa w energetyce cywilnej, jest dostarczycielem komponentów dla przemysłu zbrojeniowego – produkuje m.in. surowce paliwa raketowego, materiały do akumulatorów w czołgach i systemach obrony przeciwrakietowej. Firma służy też do omijania sankcji – legalnie zamawia komponenty u sojuszników Zachodu, takich jak Korea Południowa, by później przekazywać je rosyjskim koncernom. W zeszłym roku Putin dziękował jej szefom za „ogromny udział w rozwoju oraz zastosowaniu na froncie zaawansowanej broni i zbrojeniowego hardware’u”.

Mimo to Rosatom i żaden z członków zarządu obsadzonego przez obecnych bądź byłych wysokich funkcjonariuszy służb nie został objęty sankcjami. W Europie Paryż i Budapeszt sprzeciwiają się zablokowaniu firmy, bo są od niej najbardziej uzależnione. W USA Kongres rozpoczął proces odejścia od kontraktów z koncernem, ale będzie on rozłożony na co najmniej kilka lat.

Żeby wykorzystać uran w elektrowni jądrowej, trzeba go wykopać z ziemi, przekonwertować w gaz, a następnie wzbogacić, tak aby uzyskać wysokie stężenie izotopu 235. Dopie-

ro tak wzbogacony uran nadaje się do produkcji prętów paliwowych. To skomplikowany proces i Amerykanie – najwięksi wytwórcy energii jądrowej na świecie – na każdym etapie są uzależnieni od zewnętrznych podmiotów.

Zdecydowało o tym kilka historycznych czynników. Po pierwsze, w Stanach nie ma kopalni uranu. W latach 50. było ich 750. Działały bez jakichkolwiek norm bezpieczeństwa przede wszystkim na terenie rezerwatu Navajo Nation, gdzie w latach 1944-86 wydobyto cztery miliony ton uranu. Na ziemiach Nawahów pozostało ponad 500 opuszczonych odkrywek i setki wysypisk oraz stawów, dokąd zwożono odpady. Co trzecie gospodarstwo domowe w 250-tysięcznym Navajo Nation żyje dziś bez dostępu do nieskażonej wody. Te doświadczenia sprawiają, że mimo boomu na energię atomową w Stanach nie powstają dziś kopalnie uranu. USA importują rudę z Kanady, Kazachstanu i Rosji.

Po drugie, Amerykanie mają jeden zakład konwersji uranu i jeden zakład wzbogacania. Pokrywają ułamek zapotrzebowania. W czasie zimnej wojny zakładów było o wiele więcej. W latach 90., gdy wedle słów Fukuyamy skończyła się historia, zaczęto je wygaszać. Rosjanie dysponowali tańszą technologią i Ameryce bardziej opłacało się sprowadzać od nich wzbogacony uran. W 1993 r. Waszyngton i Moskwa zawarły wieloletnią umowę, w ramach której wzbogacony uran z zredukowanych poradzieckich arsenałów

broni jądrowej trafiał za bezcen do amerykańskich elektrowni.

Dziś okazuje się, że umowa pomogła Rosjanom utrzymać na chodzie uranową infrastrukturę. W 2007 Putin połączył dziesiątki firm z branży uranowej w konglomerat Rosatom. Szybko wyrósł on na najpotężniejszą jądrową firmę świata. Dziś kontroluje ponad 30 proc. światowej konwersji uranu i ponad 40 proc. wzbogacania.

Typowy kontrakt z Rosatomem poza zaprojektowaniem i zbudowaniem elektrowni jądrowej zapewnia też dostarczanie paliwa, szkolenie załogi, wsparcie serwisowe i technologiczne po uruchomieniu, składowanie odpadów. Co więcej, rząd Federacji Rosyjskiej daje finansowanie z wykorzystaniem preferencyjnych kredytów. Rosatom nie wymaga też podpisywania skomplikowanych umów bezpieczeństwa, jakimi obwarowane są kontrakty z firmami amerykańskimi. Wszystko to sprawia, że Rosatom przegania konkurencję. Jest najtańszy, najszybszy, najbardziej niezawodny, daje zintegrowaną usługę. Prawie połowa wszystkich niedawno ukończonych bądź powstających nowych elektrowni jądrowych budowana jest przez Rosatom. Rosjanie właśnie postawili je lub kończą stawiać w Bangladeszu, na Białorusi, w Iranie, Indiach, Chinach, Egipcie. Również w należącej do NATO Turcji. A także na Słowacji i Węgrzech. Łącznie w UE działa 18 elektrowni jądrowych zbudowanych przez rosyjskie firmy, nadal częściowo lub w całości uzależnionych od ich obsługi.

Najsukuteczniej ze współpracy wycofują się Finowie. Zerwali kontrakt na budowę nowej elektrowni i pozyskują coraz więcej paliwa z innych krajów. Czesi zapowiedzieli, że w najbliższych miesiącach zaprzestaną importu rosyjskiego paliwa do elektrowni w Temelinie, zastępując je podzespołami od Westinghouse i francuskiego Framatome. Podobnie działa Bułgaria. Jednak Słowacja ma być uzależniona co najmniej do 2026 r. Węgry współpracują z Rosatomem przy rozbudowie elektrowni jądrowej Paks II. Za plecami sprzeciwiającego się sankcjom Budapesztu chowają się państwowe firmy francuskie, które od lat łączy z Rosatomem wiele strategicznych projektów.

W Stanach nawet jedna czwarta wzbogaconego uranu używanego w elektrowniach pochodzi z Rosatomu. Biden zapowiada wielomiliardowe inwestycje w konwersję i wzbogacanie uranu, ale działania administracji się ślimaczą. Kilkanaście dni temu Izba Reprezentantów przegłosowała ustawę o zakazie importu uranu z Rosji.

Z pozorów wygląda obiecująco – zakaz ma zacząć obowiązywać trzy miesiące po uchwaleniu przepisów. Ale to fikcja. Amerykańskiej energetyki jądrowej nie stać na zrezygnowanie z usług Rosatomu. Do ustawy wpisano furtkę: sekretarz energetyki może uchylać przepis, jeśli uzna, że zapotrzebowanie w elektrowniach wymaga dostaw z Rosji. Rosatom nadal będzie pomagał Putinowi budować militarną przewagę w Ukrainie. ●



Maciej Jarkowiec

„**Rewolwer obok Biblii. W co wierzy Ameryka**” – książka reportersko-eseistyczna, w której Maciej Jarkowiec płynie statkiem angielskiej ekspedycji kolonialnej z XVI wieku, podróżuje przez Kolorado, odwiedza kosmopolityczny Nowy Jork i Dolinę Krzemową, gdzie już dziś można kupić wieczne życie – dostępna na Kulturalnysklep.pl oraz w formie e-booka na Publio.pl. A już w przyszłym roku ukazuje się książka Macieja Jarkowca o Hollywood.



Ameryka znowu daje przykład

Teksas wysłał światu pocztówkę z przyszłości.

Z perspektywy felietonisty piszącego o Ameryce to nie był dobry rok. USA są zaangażowane w dwie wojny – w Ukrainie i Strefie Gazy – w których giną dziesiątki tysięcy ludzi, a nawet odległy horyzont nie pozwala dostrzec sensownych rozstrzygnięć.

W polityce wewnętrznej pogłębia się polaryzacja, która po raz kolejny winduje w sondażach zdemoralizowanego narcyza o autokratycznych zapędach. Jego przeciwnik, urzędujący prezydent, skończy 82 lata i coraz częściej prezentuje się jako człowiek niezdolny rządzić najpotężniejszym państwem świata przez kolejnych pięć lat. Nad wigilijnym stołem mój szwagier, Amerykanin głoszący na Demokratów, wzdychał:

– Jak pięknie byłoby, gdyby w wyborach zamiast Bidena z Trumpem starli się inni kandydaci.

Wprawdzie do listopada daleko, ale niewiele wskazuje na to, że życzenie szwagra się spełni.

Nie widać też szansy na realne ograniczenia w obrocie bronią i powstrzymanie następnych szaleńców, którzy seriami z karabinów zabijają w szkołach, w sklepach, na ulicach. W 2023 r. w przemocy z użyciem broni palnej zginęło w Stanach ponad 40 tys. ludzi (dane Gun Violence Archive), czyli tyle, ile Rosjan na ukraińskim froncie (dane brytyjskiego ministerstwa obrony).

Lista bolączek i tragedii jest długa, ale w ostatnich godzinach roku nie będziemy się nią dalej torturować. Zerknijmy lepiej na coś, co udaje się zmieniać na lepsze i pozwala patrzeć z nadzieją w przyszłość.

W czerwcu Teksas nawiedziła najbardziej dotkliwa fala upałów w historii. Służby pogodowe wydawały komunikaty o temperaturach zagrażających życiu, naukowcy donosili, że podobna pogoda zdarza się tylko na Saharze i w Zatoce Perskiej, a Teksasńczycy żartowali, że można smażyć bekon na chodniku. Klimatyzatory chodziły pełną parą, doprowadzając 27 czerwca do rekordu poboru prądu. Dzień później padł inny rekord: nigdy wcześniej w historii stanu tak dużo energii (31,5 tys. megawatów) nie zostało wyprodukowane przez słońce i wiatr.

Odnawialne źródła uratowały Teksas, bo elektrownie napędzane gazem i węglem padały z przeciążenia. Gdyby nie niezawodność elektrowni wiatrowych i słonecznych, tysiące mieszkańców zostałyby bez klimatyzacji. W najbardziej krytycznych godzinach popołudniowego skwaru to samo słońce, które paliło miasta i wsie, dostarczało aż 15 proc. prądu, żeby je ochłodzić.

Dawno temu pierwsi teksascy milionerzy dorobili się na trawie. W szczycie ranczerskiej ery pod koniec XIX w. na najbardziej rozległych pastwiskach świata karmiła ona od 4 do 6 mln sztuk bydła. Gdy pod trawą odkryto ropę, wzleciały fortuny naftowe. Teraz Teksas przeżywa trzecią wielką prosperity – kasę zbija się dziś na odnawialnej energii.

Niewiele jest na planecie tak szerokiej przestrzeni o tak dobrym nasłonecznieniu i jednocześnie tak mocnych wiatrach, jaką są teksaskie prerie. Dzięki temu stan do tej pory znany z tego, że jest domem potężnych korporacji naftowych – ExxonMobil, Chevron, Conoco-Phillips czy Marathon Oil – wyrósł na lidera zielonej transformacji. Spośród wszystkich stanów USA produkuje najwięcej energii wiatrowej, a w wytwarzaniu energii słonecznej prześciga go tylko Kalifornia. W Teksasie powstaje dziś najwięcej nowych instalacji odna-

wialnych, wkrótce Kalifornia zostanie w tyle. Teksas prowadzi też w produkcji najnowocześniejszych baterii i najsprawniej dostosowuje sieć energetyczną do odnawialnych źródeł.

Dobra zmiana zachodzi na całym świecie. Maj był pierwszym miesiącem w historii Unii Europejskiej, kiedy więcej energii wyprodukowano z wiatru i ze słońca niż ze wszystkich paliw kopalnych razem wziętych.

Przez lata mówiło się, że największą przeszkodą w rozwoju odnawialnej energetyki są wysokie ceny wytworzonego przez nią prądu. Dziś to melodia przeszłości. Odnawialne technologie rozwijają się w zawrotnym tempie, ich ceny spadają równie szybko. Energetyka węglowa w wielu miejscach wyłączana jest szybciej, niż prognozowano. W Stanach 2023 był pierwszym rokiem, kiedy z wykorzystaniem węgla powstało mniej prądu niż z wiatru i słońca.

Decyduje o tym biznes. Harowa społeczeństwa obywatelskiego domagającego się czystego powietrza przyniosła wreszcie decyzje korporacyjne – firmy węglowe zmagają się z coraz trudniejszym dostępem do kredytów i ubezpieczeń. W świecie międzynarodowych korporacji finansowych węgiel stał się interesem non grata.

Względny sukces Teksasu. Robienie

kasy na wietrze i słońcu stało się po prostu łatwiejsze niż na ropie i węglu. Technologia jest mniej skomplikowana i tańsza. Nie trzeba wiercić, przesyłać surowca, oczyszczać go, niwelować coraz większych szkód wizerunkowych, jakie powodują paliwa kopalne. Biznes ułatwiają deregulacje wprowadzane od lat przez stanowych polityków. Wprawdzie na potrzeby naftowego elektrotatu wygłaszają zwyczajowe modły o niezastąpionej roli ropy w gospodarce, ale potrafią dobrze liczyć. Wiedzą, jaki rodzaj energetyki będzie w najbliższych latach najbardziej dochodowy. Przesądzą o tym również ulgi podatkowe i liczne ułatwienia federalne w ramach zielonej rewolucji Bidena. Wprowadzany przez administrację pakiet ustaw skutecznie przestawiający gospodarkę na zasilaną energią odnawialną wygenerował już pół miliona nowych miejsc pracy i jest największym sukcesem prezydenta.

Jeden z ekspertów powiedział, że minionego lata Teksas wysłał światu pocztówkę z przyszłości. Jest w niej nadzieja. Będzie gorąco, owszem. Ale coraz mądrzej i sprawniej będziemy sobie z tym radzić. ●

N A S Z A E U R O P A

Zakazany owoc czy nostalgia

ROSYJSKI SERIAL
ROBI FURORE W UKRAINIE

Odcinkowa opowieść o przestępczym półświatku w ostatnich latach istnienia ZSRR jest najchętniej oglądaną produkcją w internecie, zwłaszcza wśród młodych Ukraińców, mimo że jego emisja w kraju jest oficjalnie zakazana.

Cristian Segura

EL PAÍS

Rosyjski serial, który jest dziś hitem nr 1 w ukraińskim internecie, nazywa się „Słowo pacana. Krew na asfalcie”. Został wyprodukowany za pieniądze rosyjskiego rządu, który prowadzi wojnę przeciwko Ukrainie. Inwazja zarządzona przez Władimira Putina wzmocniła tożsamość narodową Ukraińców cieszącą się niepodległością dopiero od trzech dekad. Ale powodzenie serialu sugeruje, że historycznie umocowane kulturowe powinowactwa z obecnym wrogiem nadal istnieją.

Rosyjskie strony internetowe są zablokowane w Ukrainie, a ministerstwo kultury przypomina, że zabronione jest nadawanie produktów audiowizualnych z kraju, który codziennie bombarduje ukraińską ludność cywilną. Co więcej, język rosyjski został prawnie zakazany w administracji publicznej i szkolnictwie, a także został zmarginalizowany w mediach. „Słowo pacana” można oglądać tylko po pobraniu pirackich plików, a mimo to jego sukces jest przytłaczający. Jest to najczęściej oglądany serial w internecie, a główna piosenka z jego ścieżki dźwiękowej jest najczęściej słuchanym utworem na ukraińskim Spotify oraz czwartym na liście najczęściej słuchanych na YouTube.

Nawet w Rosji były apele przeciwko temu serialowi

„Słowo pacana” opowiada o nastolatkach, którzy dołączają do gangów przestępczych w mieście Kazań w latach 80. Serial jest produkowany przez Rosyjski Instytut Rozwoju Internetu. Przedstawia ponury obraz społeczeństwa schyłkowego ZSRR, do tego stopnia okrutny i brutalny, że w samej Rosji pojawiły się nawet apele o zaprzestanie jego produkcji.

Sukcesem serialu w Ukrainie jest zaniepokojony rząd, który 7 grudnia wydał w tej sprawie oświadczenie: „Rosyjski serial, który promuje przemoc i przestępczość w estetyce kraju agresora, dociera do wielu ty-



sięcy nastolatków. Tymczasem zawiera wrogą propagandę, która jest niedopuszczalna w Ukrainie w czasie wojny” – dodało. Ministerstwo kultury ostrzegło, że oglądanie tego serialu – na pirackich witrynach internetowych, rosyjskich platformach lub na kanałach Telegramu – jest nielegalne.

Resort tłumaczy: „Dla bezpieczeństwa informacyjnego naszego kraju ważne jest, aby powstrzymać rozpowszechnianie rosyjskich treści i zapobiec wpływowi rosyjskich operacji dezinformacyjnych i psychologicznych w Ukrainie”.

Hejt i zafascynowanie

Pomimo ostrzeżeń władz ukraińskie media społecznościowe i fora są pełne komentarzy – zarówno za, jak i przeciw – od ludzi, którzy widzieli serial.

**Wyrazy tęsknoty
za czasami ZSRR
są tak samo niebezpieczne jak
sama wojna – uważają jedni.
Ten serial daje właściwy
obraz Rosji jako miejsca
smuty, brutalnych relacji
społecznych i chaosu
– mówią inni**

Anna Alchim jest ukraińską influencerką lifestyle’ową i modową z setkami tysięcy obserwujących na Instagramie i TikToku. Rozpętała burzę, przyznając w jednym ze swoich postów, że jest „zafascynowana” rosyjskim serialem. Wielu publicystów

i setki użytkowników mediów społecznościowych oskarżyło ją o szerzenie rosyjskiej propagandy i bandyckiego etosu (tytuł serialu używa slangowego określenia na bandytę właśnie – patrz niżej).

Kontrowersje narosły już do tego stopnia, że nawet były prezydent Petro Poroszenko na otwartym spotkaniu 9 grudnia poprosił swoją publiczność, aby nie oglądała serialu. Aktorka Irma Witowska zamieściła na Facebooku wideo, w którym wezwała Służbę Bezpieczeństwa Ukrainy do podjęcia działań: „Chcę ostrzec wszystkich obywateli Ukrainy, że mamy do czynienia z groźnym paradoksem: nasza młodzież utożsamia się z bohaterami serialu telewizyjnego z kraju, który zabija ich krewnych i znajomych, na froncie i w naszych miastach”.

SBU to jedna ze służb, których zadaniem jest m.in. identyfikacja potencjalnych rosyjskich kolaborantów, w tym osób rozpowszechniających wrogą propagandę. Jej działania nie zawsze spotykają się z aprobatą. Biuro Wysokiego Komisarza ONZ ds. Praw Człowieka (OHCHR) potępiło w październikowym raporcie „nieproporcjonalne wyroki” wydawane w Ukrainie na podstawie postów w mediach społecznościowych: „OHCHR udokumentowało przypadek 60-letniej kobiety, która została oskarżona o usprawiedliwianie zbrojnej agresji, bo udostępniła w mediach społecznościowych rosyjskie posty na temat wojny. Została skazana na pięć lat więzienia”.

Czy nostalgia za czasami ZSRR jest niebezpieczna

Irmę Witowską szczególnie martwią jednak te komentarze fanów serialu, które jej zdaniem są wyrazem tęsknoty za czasami ZSRR: „Jest to tak samo niebezpieczne jak sama wojna”, uważa.

Katerina Jakowlenko, badaczka zajmująca się radziecką kulturą wizualną, wyznała 8 grudnia w państwowej telewizji,

Co właściwie oznacza tytuł rosyjskiego serialu

„Pacan” to slangowe rosyjskie określenie oznaczające chłopca lub młodego chłopaka. Nie używa się go wobec dorosłych mężczyzn. Dzisiaj ma niemal neutralny charakter, ale na przełomie lat 80. i 90., kiedy słowo robiło karierę, używano go w odniesieniu do chuliganów lub członków zorganizowanych grup przestępczych. Wcześniej, w czasach ZSRR, w żargonie więziennym „pacanami” byli nazywani niedoświadczeni złodzieje i bandyci. W leningradzkim półświatku „pacan” był kojarzony z kryminalnym autorytetem, o czym wyraźnie pamięta Władimir Putin. Prezydent Rosji niejednokrotnie cytował znane w tamtych latach powiedzenie: „Pacan powiedział, pacan zrobił”, które oznacza, że skoro ktoś wiarygodny złożył obietnicę, to na pewno jej dotrzyma. (WIKTORIA BIELIASZYN)

że sukces „Słowa pacana” jest przykładem „ostalгии” w państwach byłego bloku komunistycznego. „Ostalgia” to pojęcie utworzone w Niemczech po zjednoczeniu kraju, ze słów „Ost” (wschód) i „nostalgia”. „Fascynacja rozkwitającym w latach 80. i 90. w ZSRR półświatkiem przestępczym i jego specyficznymi regułami opisywanymi w literaturze i kinie jest właśnie wzorcowym elementem ostalgii”.

Dla Jakowlenko samo w sobie to zjawisko „nie jest ani dobre, ani złe” i wcale nie wskazuje na tęsknotę za samą Rosją ani nie jest dowodem na jakieś nadzwyczajnie

NASZA EUROPA

żywe więzi z rosyjską kulturą. „Faktem jest za to, że to dotyczy głównie młodszych pokoleń, które nie mają zaczerpniętej z osobistego doświadczenia pamięci o tamtych czasach” – dodaje badaczka.

Jak zauważył scenarzysta Andrij Kottucha, skoro większość Ukrainy była przez stulecia częścią imperium rosyjskiego, w tym ZSRR, to pewna wspólnota kulturowa jest nieunikniona.

„Ukraińcowi trudno sobie wyobrazić dawne życie w, powiedzmy, Birmingham, ale w Kazaniu jak najbardziej, także dlatego, że urbanistycznie czy estetycznie ZSRR był bardzo jednolity. Język rosyjski został z nami jak piętno i do pewnego stopnia determinuje nas, czy nam się to podoba, czy nie”.

Używanie języka ukraińskiego gwałtownie wzrosło od początku inwazji. Miliony ludzi, dla których rosyjski był pierwszym językiem, zrezygnowało z jego używania na co dzień. Ale mimo to, zwłaszcza na wschodzie kraju, rosyjski nadal jest lingua franca.

W listopadzie Iryna Farion – polityk i wykładowczyni Politechniki Lwowskiej – oskarżyła ukraińskie siły zbrojne o tolerowanie sytuacji, w której tysiące żołnierzy walczących z Rosją komunikuje się w języku rosyjskim. Farion, która pochodzi z tradycyjnie bardziej nacjonalistycznej zachodniej części kraju, napisała, że żołnierze ci „nie mogą nazywać siebie Ukraińcami”. To wywołało skandal, protestowali studenci, w efekcie została usunięta ze stanowiska przez prorektor uczelni Lilię Żuk po skargach ze strony wyższych oficerów armii i samego rządu. Farion pozwala za to uczelnię do sądu, werdyktu jeszcze nie ma.

Młodzi Ukraińcy: Przecież to nie ma nic wspólnego z Rosją, to także o nas

Anatolij i Waleria mają 31 i 22 lata i tłumaczą nam, dlaczego są fanami „Słowa pacana”. „My w ogóle nie jesteśmy prorosyjscy, ale ten serial jakby zabiera mnie z powrotem do mego poły gangsterskiego dzieciństwa w przemysłowym Krzywym Rogu” – mówi Anatolij.

Waleria z kolei mówi, że serial daje właściwy obraz Rosji jako miejsca smuty, brutalnych relacji społecznych i chaosu.

„Oglądasz to i zaczynasz lepiej rozumieć, w jaki sposób przyzwolenie na przymoc na podstawowym, ludzkim poziomie doprowadza w końcu do tego, że ludzie zaczynają wspierać wojnę taką jak ta, której obecnie doświadczamy” – dodaje Anatolij.

Oboje przypominają, że piosenkarka wykonująca muzyczny lejtmotyw serialu opublikowała w swoich mediach społecznościowych antywojenne przesłanie.

Ukraiński rząd robi, co może, aby wyeliminować rosyjskie wpływy kulturowe w kraju. Ustawa o ochronie mniejszości narodowych, nowelizowana w grudniu, eliminuje język rosyjski z instytucji publicznych. Prezydent Wołodymyr Zełenski zaznaczył, że ustawa jest zgodna z zaleceniami Komisji Weneckiej w sprawie ochrony różnorodności tożsamości Ukrainy. Ze swojej strony Komisja wezwwała Ukrainę do przestrzegania konstytucji, która przewiduje „swobodny rozwój, używanie i ochronę języków mniejszości”, ale zarazem rozumie, że czas wojny jest „wyjątkowym okresem przejściowym”. Ochrona praw mniejszości pozostaje jednak istotna dla UE w negocjacjach akcesyjnych z Ukrainą.

Wiktor Tregubow, oficer ukraińskiej armii, który regularnie publikuje w zagranicznych mediach, uważa, że polityka zakazów nie jest skuteczna, a to, czego Ukraina potrzebuje, to tworzenie wysokiej jakości własnych produkcji popkulturowych.

„Jeśli chcemy, aby ukraińska kultura wygrała, produkujemy atrakcyjne treści w języku ukraińskim. Ale nie kasujemy niczego zakazami ani nie wychodzimy z założenia, że patriotyczna słuszność jakiegoś dzieła zrekompensuje jego artystyczne niedociągnięcia”, napisał Tregubow. ●

tłum. Łukasz Grzymisławski

Co poszło dobrze w 2023 roku

Ciemno wszędzie

Czy na świecie dzieje się samo zło? Dobrym wiadomościom ciężko się przebić przez mrok wyzierający z mediów.

Robert Stefanicki

Wprawdzie mijający rok był zły, ale pocieszmy się, że lepszy od następnego” – ten sarkastyczny toast noworoczny przypomina mi się, kiedy na koniec roku siadam do pisania pozytywnego podsumowania ostatnich dwunastu miesięcy. To nigdy nie było łatwe zadanie, a wydaje się coraz trudniejsze.

Akurat w Polsce tym razem wchodzimy w nowy rok w lepszych nastrojach, lecz na mapie świata jesteśmy jak wyspa na morzu beznadziei.

Wojna w Ukrainie nie zmierza do szczęśliwego końca, wszyscy są już nią zmęczeni i tracą wiarę. Putin trwa, sankcje nie zrujnowały rosyjskiej gospodarki, bunt Prigożyna był tragifarsą, a początkowe nadzieje niektórych publicystów, że Rosjanie staną przeciwko dyktatorowi, okazały się fantazjami.

Atak Hamasu na Izrael rozpętał kolejną wojnę w Strefie Gazy, bardziej krwawą niż wszystkie poprzednie, i również nie widać, by mogło z tego wynikać cokolwiek dobrego. Wojna domowa w Sudanie zniknęła, ale tylko z serwisów informacyjnych, skupionych na nieszczęściu Gazy i Ukrainy.

Narodowi populiści wygrywają kolejne wybory – w Holandii, Turcji, Serbii, na Słowacji – a gęsto zapisany kalendarz wyborczy na 2024 r. i wyniki sondaży sugerują, że na tym nie koniec. W Afryce kolejne kraje wpadają w ręce junt wojskowych, zrywają więzi z Europą i zacieśniają je z eurazjatyckimi satrapiami. Krążące nad Ameryką i światem widmo drugiej prezydentury Trumpa jest przerażające i coraz bardziej realne.

Tak to wygląda, jeśli spojrzeć na tematy dominujące w mediach. Nie wińcie za to dziennikarzy. Chociaż badania wskazują, że bombardowanie złymi wiadomościami źle wpływa na samopoczucie i na dłuższą metę jest destrukcyjne dla psychiki, to jakiś masochistyczny mechanizm każe ludziom po nie sięgać. Widać to po znacznie większej liczbie odsłon i komentarzy pod tekstami o zamachach, katastrofach i wojnach. W jakiejś mierze jest to kwestia wyeksponowania wiadomości, ale redaktorzy eksponują newsy, kierując się zainteresowaniem czytelników, a nie chęcią ich pogwałcenia. I mamy sprzężenie zwrotne.

Aby znaleźć dobre wieści, trzeba się trochę wysilić

Sprawdźmy, o czym pisał w 2023 r. jeden z agregujących je serwisów anglojęzycznych, Good News Network.

Dobro najłatwiej znaleźć w okolicy, czasem wystarczy wyjść z domu i się rozejrzeć. Albo wbić łopatę: „Portugalczyk przypadkowo znalazł na swoim podwórku szkielet dinozaura o długości 25 metrów”. A „w małym włoskim miasteczku próbowano zbudować supermarket, a odkopano rzymską świątynię”. Autorzy nie informują, czy właściciel podwórka i mieszkańcy miasteczka są zadowoleni z takiego obrotu rzeczy.

Cieszy, gdy zło zamienia się w dobro: australijski bank zwrócił choremu na demencję pół miliona dolarów, gdy ten nieświadomie podał oszustom dane swojego konta i stracił oszczędności życia.

Dwie dobre wiadomości w jednej dają efekt synergii: „Po odkryciu fosforyzującej na niebiesko tarantuli naukowcy wystawili prawo do nazwania jej na aukcji charytatywnej”.

Radować może szczęście w nieszczęściu braci mniejszych: słoń inwalida dostał pro-

tezę i znowu może chodzić, a pies z Ukrainy, weteran wojenny, znalazł nowy dom za granicą.

Nie ma co się oglądać na innych, sami możemy wykreować dobrego newsa: pewien Brytyjczyk „został lokalnym bohaterem po umyciu brudnego chodnika w swoim mieście”. Albo: „Sześciu nieznajomych rzuciło wszystko, aby pomóc mężczyźnie znaleźć obrączkę zagubioną podczas pracy w ogrodzie”.

Szklanka do połowy pełna

Ale wracając do wiadomości z pierwszych stron – również na nie da się spojrzeć pozytywnie.

Ukraina mężnie stawia opór rosyjskiej machinie wojennej. Moldawia też nie daje się zastraszyć Putinowi. Finlandia weszła do NATO, Szwecja jest tego blisko. Kraje Azji Południowo-Wschodniej bronią swoich granic morskich przed zakusami Chin. Japonia i Korea Południowa odłożyły na bok historyczne pretensje i pogłębiły współpracę. Australia zgodziła się udzielić azylu klimatycznego 11 tys. obywateli archipelagu Tuvalu, któremu grozi zalanie przed końcem stulecia. Do pokojowego przekazania władzy doszło m.in. w zniszczonej wojną Liberii i na Timorze Wschodnim, gdzie przez 20 lat od niepodległości udaje się utrzymać demokrację.

Tygodnik „The Economist” tytuł Kraju Roku przyznał Grecji. Dziesięć lat temu Grecja została sparaliżowana przez kryzys zadłużenia, dochody spadły, bezrobocie poszybowało, ekstremiści z lewej i prawej strony poczul krew, zdesperowany rząd zbliżył się do Chin. Ale dzisiaj jest to kraj wciąż demokratyczny, do tego prounijny i nieufny wobec Rosji. „Grecja pokazuje, że stojąc na krawędzi upadku, można przeprowadzić twarde, rozsądne reformy gospodarcze, odbudować umowę społeczną, wykazać się powszechnym patriotyzmem – a mimo to wygrać wybory”, pisze „The Economist”. I odnotowuje, że przyszłorocznym faworytem do tytułu Kraju Roku może być Polska.

Dobre wieści zawsze oferuje medycyna. Program Narodów Zjednoczonych ds. HIV/AIDS (UNAIDS) ogłosił, że jest szansa na wyeliminowanie tej choroby do 2030 r. Stwierdzono, że dostęp do leczenia HIV zapobiegł prawie 21 mln zgonów w ciągu ostatnich 30 lat, przy czym w poprzednim roku odnotowano najmniejszą liczbę nowych zakażeń tym wirusem (1,3 mln) od dziesięcioleci.

Bangladesz został pierwszym krajem, który wyeliminował leiszmaniozę trzewną – zagrażającą życiu chorobę wywołaną przez pasozytą. Irak stał się 17. krajem, który pozbył się jaglicy, głównej przyczyny ślepoty zakaźnej. Światowa Organizacja Zdrowia dopisała Belize do listy krajów wolnych od malarii. Problem z malarią będzie ustępował, bo kolejne kraje zatwierdzają użycie nowej szczepionki, która daje 80-proc. ochronę przed tą chorobą.

W 2023 r. odkryto dwa leki spowalniające chorobę Alzheimer'a. Duże nadzieje pojawiły się też na froncie walki z rakiem: w Kanadzie znaleziono sposób na sprawne wytworzenie w laboratorium komórek odpornościowych skierowanych przeciw nowotworom, co może być przełomem w immunoterapii. Inni badacze ogłosili, że zastosowanie dwóch niedrogich leków przed radioterapią raka szyjki macicy zmniejsza ryzyko śmierci lub nawrotu choroby u kobiet o 35 proc.

Zdaniem ekspertów sztuczna inteligencja przyspieszy tempo odkryć nowych leków oraz będzie analizować i identyfikować nowotwory na skanach skuteczniej, niż potrafią to ludzie.

Na froncie klimatycznym: nastroje minorowe, ale...

Rok 2023 był najcieplejszym w historii pomiarów, a emisje z paliw kopalnych osiągnęły rekordowy poziom. Podpisane na szczycie klimatycznym w Dubaju przez prawie 200 krajów porozumienie w sprawie odchodzenia od paliw kopalnych zostało skrytykowane jako listek figowy. Choć jest ono świadectwem uniwersalnej już świadomości problemu.

Świat szybko przestawia się na zieloną energię, nie czekając na porozumienia – ten proces jest jak kula śnieżna, której nie da się zatrzymać. Jak wynika z październikowego raportu Międzynarodowej Agencji Energetycznej (IEA), do 2030 r. odnawialne źródła będą dostarczać połowę światowej energii elektrycznej. Imponujące zmiany są widoczne nie tylko na Zachodzie, ale też w Indiach i Chinach.

Tempo wylesiania Amazonii spadło o 56 proc. w porównaniu z rokiem ubiegłym. Jest to skutek przede wszystkim zmiany władzy w Brazylii – prawicowca Jaira Bolsonaro na stanowisku prezydenta zastąpił lewicowy Inácio Lula da Silva, który zaostrzył egzekwowanie prawa w zakresie ochrony środowiska oraz walkę z nielegalnym wydobyciem i wyrębem. Po sąsiedztwie Ekwadorczycy w historycznym referendum zagłosowali za zaprzestaniem wierceń w chronionym regionie Amazonii.

W marcu prawie 200 krajów przyjęło prawnie wiążący traktat o ochronie oceanów. Do 2030 r. chronionych ma być 30 proc. międzynarodowych obszarów morskich, obecnie jest to 1,2 proc.

Według badań holenderskich naukowców dramatyczne szacunki ilości plastiku przedostającego się do oceanów są mocno (kilkadziesiąt razy) przesadzone, a plastik z oceanów będzie można usunąć, korzystając z odpowiednich technologii.

W 36 krajach uchwalono prawa chroniące kobiety. Sąd najwyższy Meksyku zdelegalizował aborcję w całym kraju, Francja wpisała prawo do przerwania ciąży do konstytucji. Tajwan udostępnił produkty męstruacyjne we wszystkich szkołach, a Katalonia – w aptekach. Rząd indyjskiego stanu Karnataka uruchomił bezpłatne przejazdy autobusowe dla kobiet i osób transpłciowych, co pomaga wyzwolić się najbardziej szkodliwym hinduskom z systemu patriarchalnego.

Kolejne sukcesy odniosła społeczność LGBT+. Nepal jako jeden z pierwszych krajów azjatyckich zaczął uznawać małżeństwa homoseksualne. Łotwa przyjęła legalizację związków partnerskich osób tej samej płci. Sądy w Peru i Korei Południowej po raz pierwszy uznały status prawny takich par. Na deser, w Kolumbii udało się sfotografować unikalnego błękitniczka z upierzeniem w połowie męskim i w połowie żeńskim.

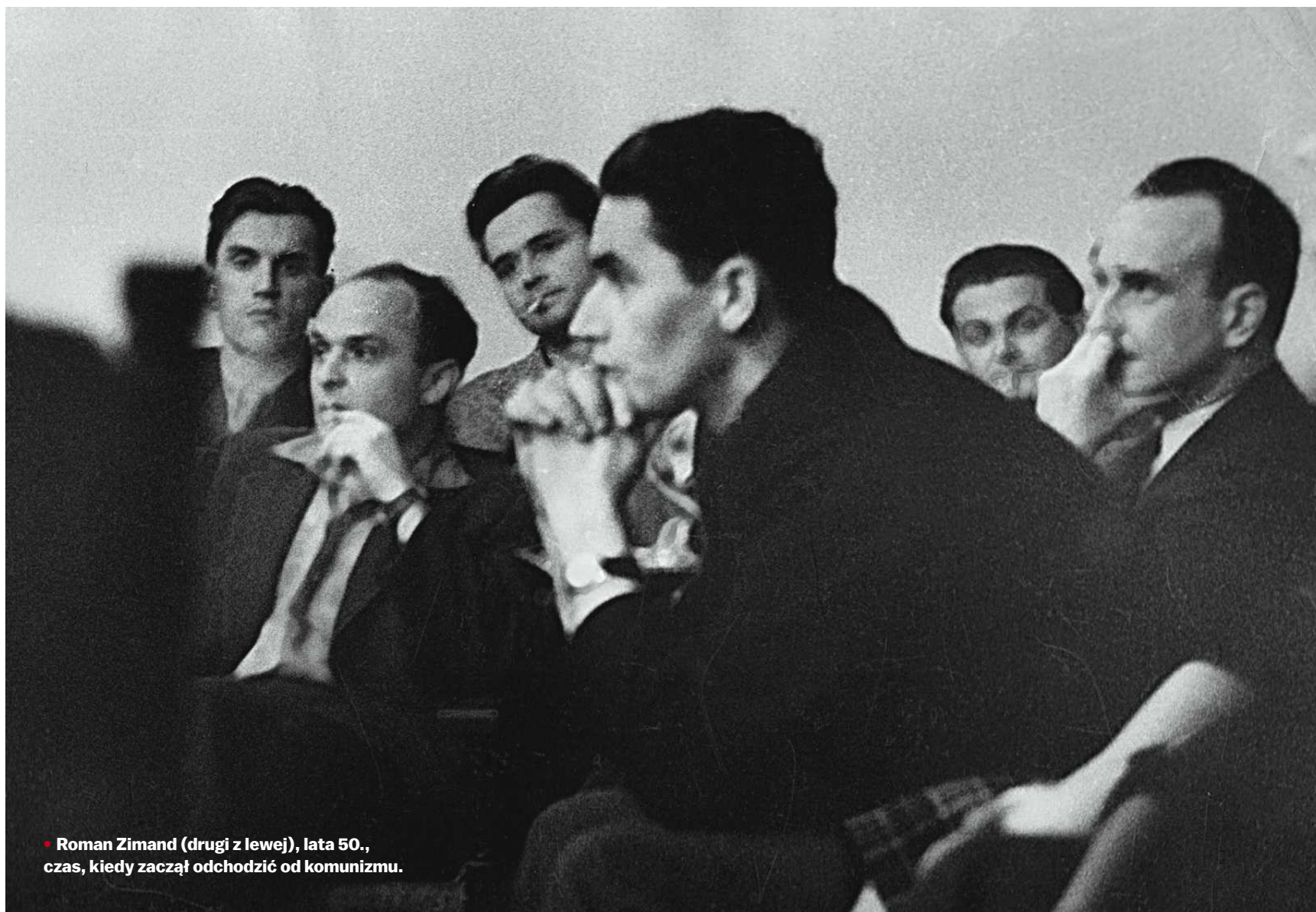
Tematem przewodnim roku 2023 były obawy przed sztuczną inteligencją. Unia Europejska zareagowała szybko i przyjęła w grudniu pierwsze na świecie kompleksowe przepisy regulujące ten problem, które będą zachętą i punktem odniesienia dla innych państw.

Chłonąc niewesołe wiadomości, warto pamiętać, że świat działa w cyklach. Da się do nich przyłożyć różną miarę czasową. W naukach sanskryckich epoki w ramach cyklu stworzenia i zniszczenia trwają od kilkuset tysięcy do dwóch milionów lat – obecnie żyjemy w ponurej „erze występku” zwanej Kalijuga. W przyrodzie koło obraca się przez rok, cykle gospodarcze trwają kilka-kilkanaście lat. Najczęściej nie wiadomo, kiedy dokładnie po zmroku przyjdzie brzask, ale w końcu to nastąpi, czego świeżymi dowodami są pandemia COVID-19 czy wynik wyborów w Polsce. ●

Adam Michnik poleca **Portretu Romana Zimanda ciąg dalszy**

SIEDZIELIŚMY NA KARKU TEGO NARODU

FOT. ZDJĘCIE ZE ZBIORÓW PRYWATNYCH



• Roman Zimand (drugi z lewej), lata 50.,
czas, kiedy zaczął odchodzić od komunizmu.

Czuł się odpowiedzialny za wprowadzenie w Polsce komunizmu. Opuszczenie kraju, póki ten ustrój nadal w nim istniał, uważał za niemoralne. Mówił, że najpierw musi po sobie posprzątać.

Jan Olszek*

Ważną cezurą w biografii Romana Zimanda był maj 1956 r., kiedy trafił ponownie do zespołu „Po Prostu”. Tygodnik z niewyróżniającego się na tle reszty prasy organu ZMP jesienią 1955 r. zmienił się w pismo rewolucyjnie nastawionych młodych ludzi, którego teksty miały wielkie znaczenie dla odwilży w Polsce i otwierały dyskusje na różne tematy.

Część współpracowników postrzegała Zimanda jako kogoś nasłanego przez władzę. Przez pierwsze miesiące nie miał w ogóle do niego zaufania Jan Józef Lipski. Zmienił zdanie, widząc, że teksty Zimanda stają się coraz ostrzejsze. W pewnym momencie stwierdził, że ich poglądy są właści-

wie takie same. Kilka z tekstów w całości zakwestionowała cenzura.

Wydarzeniem, które było istotnym kontekstem późniejszej zmiany postawy Zimanda, był Czerwiec '56. Miał okazję z bliska przyrzeć się masowemu protestowi robotników i jego niezwykle brutalnej pacyfikacji – wszedł w skład kilkusobowej delegacji, która udała się do Poznania. Był przerażony. „Nagle przekonałem się, że czterdziestotysięczna organizacja partyjna Poznania nie istnieje. Czyli w ciągu jednego dnia przekonałem się, że nie ma Pana Boga. Jest bezpieczeństwo, jest wojsko, ale nie ma partii” – wspominał po latach.

Jako jedna z wersji artykułu opisującego to, co działo się w Poznaniu, z redakcji „Po Prostu” do cenzury trafił tekst „Poznań – pierwsze obserwacje”, który podpisał m.in. Zimand. Był dość wyważony, autorzy zwracali uwagę, że generalnie w mieście panował porządek, choć zdarzały się wybryki chuligańskie: „Incydenty te spoty-

kały się ze zdecydowanym odporem robotniczego trzonu manifestacji”.

Jednocześnie robotnicza demonstracja miała się zamienić w „zbrojny bunt przeciwko władzy ludowej”, który nie służył „sprawie klasy robotniczej”; autorzy wyrazili podejrzenie, że miał zorganizowany charakter. Mimo takich konkluzji tekst nie ukazał się w tej formie. Wydrukowany artykuł był niepodpisany, nosił tytuł „Pierwsze uwagi” i wbrew legendzie tworzonej przez redaktorów „Po Prostu” nie wyróżniał się tak bardzo na tle tekstów wydrukowanych przez inne gazety.

Świadectwem zaostrzenia się pióra Zimanda jest opublikowany kilka tygodni później tekst „Próba o ludowładztwie”, w którym podawał w wątpliwość istnienie w Polsce „dyktatury proletariatu”. Powoływał się na słowa Stalina definiujące stosunki produkcji jako stosunki „współpracy i wzajemnej pomocy”, po czym przechodził do wątpliwości, które z takiego założenia

wynikają. „Co to znaczy konkretnie współ-praca lub wzajemna pomoc między, dajmy na to, Ministerstwem Przemysłu Maszynowego a Zakładami im. Stalina w Poznaniu?” – pytał, z pewnością nieprzypadkowo odwołując się akurat do tego przykładu.

Wśród spraw, którymi Zimand jako dziennikarz „Po Prostu” się zajął, znalazło się łamanie przez sądownictwo zasad praworządności. Doszło do tego w związku z dyskusją o cyklu artykułów Jerzego Ambroziewicza, Walerego Namiotkiewicza i Jana Olszewskiego dotyczących patologii w wymiarze sprawiedliwości związanych z ręcznym sterowaniem nim przez przedstawicieli struktur partyjnych.

Władze w wyniku działań prasy były zmuszone powołać komisję mającą wyjaśnić sprawę opisywane w „Po Prostu” (i w „Prawie i Życiu”). Zimand został wysłany na posiedzenie egzekutywy KW PZPR w Kielcach poświęcone raportowi komisji.

W artykule podkreślał, że „jedną z najbardziej oczywistych, najtragiczniejszych i jawnie zbrodniczych cech stalinowskiej koncepcji socjalizmu było wykrzywienie roli aparatu wymiaru sprawiedliwości i aparatu śledczego”.

Według niego nie wystarczyło zlikwidowanie „wypaczeń”. Opowiadał się za niezawisłością sądów, która nie oznaczała całkowitego zanegowania roli PZPR w kierowaniu aparatem sprawiedliwości. W typowy dla siebie sposób polemizował ze zwolennikami przeciwstawnych poglądów: zarówno zakładającego, że w warunkach „dyktatury proletariatu” niezawisłe sądownictwo nie może istnieć, jak i takiego, według którego z samego założenia w takim ustroju sądownictwo zawsze jest niezawisłe, bo ma służyć interesom „proletariatu”.

„Wszystkie fakty z niedawnej przeszłości, które tak poważnie obciążały nasz aparat sprawiedliwości, nie są tu żadnym dowodem. Aresztowanie tow. Gomułki czy jakiegos zwykłego obywatela za to tylko, że był AK-owcem” – „te fakty nie tylko, że były niezgodne z klasowym interesem proletariatu polskiego, ale działały wręcz na jego szkodę. W tym sensie można mówić o antyrewolucyjnym charakterze wszystkich zjawisk określanych mianem błędów i wypaczeń.

Wydaje się jednak, że racji nie mają również i zwolennicy drugiej z referowanych tu koncepcji, tej, która głosi, że właściwie nie ma się nad czym zastanawiać, bo wszystko jest jasne. Państwo chce dobrze, partia chce dobrze, grzeczny proletariat też chce dobrze, a w ogóle nie sądownictwo, a kaszka manna z mlekiem. Jest to światopogląd z socjalistycznych imienin u socjalistycznej dobrej cioci”.

Zimand współtworzył to, co przybrało nazwę Października ’56, na różnych polach. Pisywał teksty, występował na rozmaitych forach, brał udział w wiecach, spotykał się z ludźmi z najróżniejszych kręgów, przekazywał informacje o tym, co się dzieje.

Ci, którzy stykali się z nim jesienią 1956 r., wspominali jego dużą aktywność i radykalizm. Należał już do grupy „wściekłych” – dziennikarzy najostrzej domagających się daleko idących zmian. Przekraczał granice tego, co było dopuszczalne dla władzy.

Postulował wyłączenie spod kontroli PZPR całych sfer życia publicznego, dążył do „ludowładztwa”. Wraz z Jerzym Kosakiem i Ryszardem Turским poddał krytyce politykę ZSRR i radzieckie relacje z Polską, ganiąc kopiowanie wzorców ze Wschodu i nierówność w relacjach między partiami komunistycznymi. W obliczu wydarzeń na Węgrzech zwłaszcza ta ostatnia kwestia była wymowna.

Sam Zimand w tekście „Sprawy robotników całego świata” wprost odniósł się do interwencji ZSRR, podkreślał, że wydarzenia na Węgrzech i to, co działo się w Polsce, postawiły wszystkich przywódców państw komunistycznych przed dylematem: opowiedzieć się za stalinizmem czy przeciw niemu.

Radykalizm takich ludzi jak Zimand szybko przestał odpowiadać Gomułce. Zdecydowaną reakcję wywołała wypowiedź Zimanda na krajowym zjeździe Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich (przełom listopada i grudnia 1956 r.), gdzie stwierdził, że kierownictwo partyjne nie może być traktowane jako nieomyłne, jak w stalinizmie.

Kilka dni później Gomułka na spotkaniu z prezydium SDP obszernie odniósł się do tej wypowiedzi jako przykładu „ujemnej strony działalności prasy”. Kilka miesięcy później, w czasie obrad IX Plenum KC PZPR, piętnując „rewizjonistów”, wymienił Leszka Kołakowskiego, Wiktora Woroszyłskiego i Zimanda.

Napiętnowanie to nie zmieniło nastawienia Zimanda, który tak jak inni dziennikarze „Po Prostu” miał coraz większe kłopoty z cenzurą. Ostatecznie skończyło się to likwidacją pisma jesienią 1957 r. Zimand, podobnie jak wiele osób z redakcji, został wyrzucony z PZPR. Mimo to przez pewien czas wierzył jeszcze w możliwość naprawy „ustroju socjalistycznego” od wewnątrz.

Formacja ludzi nazywanych „rewizjonistami” istniała wśród inteligencji przez ponad dekadę – za jej koniec uznaje się na ogół Marzec ’68. Ale Zimand porzucił te przekonania wcześniej, mniej więcej w latach 1959-60.

Po likwidacji „Po Prostu” Zimand był traktowany przez władze jako przeciwnik. W dziennikarstwie nie miał już czego szukać, chociaż w latach 60. publikował artykuły i recenzje w „Argumentach” i „Filmie”.

Funkcjonował w kolejnych dekadach w opozycyjnie nastawionej części inteligencji. Azyłem stał się dla niego Instytut Badań Literackich PAN, gdzie został zatrudniony na początku 1958 r. i pracował do końca życia. Interesowała go takie kwestie, jak okres Młodej Polski, diarystyka (jego określenie „literatura dokumentu osobistego” do dzisiaj jest ważną kategorią w polskim literaturoznawstwie) i literatura kryminalna, ale też teoria narodu, sowietologia czy stosunki polsko-żydowskie.

W Marcu ’68 nie brał udziału w protestach, jednak wziął udział w wiecu poparcia pracowników IBL dla studentów. Marzec był dla niego dużym przeżyciem. Jego dobry kolega z pracy Michał Głowiński wspominał: „W połowie marca 1968 roku, kiedy kampania antysemicka znalazła się w apogeum, rozmawiałem z Romanem Zimandem. Zapytałem go, czy dojdzie w Polsce do zakładania obozów koncentracyjnych dla Żydów. Oczekiwałem, że zaprzeczzy, że powie: nie wyglupiaj się. A on: tego nie można wykluczyć”.

Kilka tygodni później stał się obiektem ataku oficjalnej prasy. Było to związane z jego tekstem, który ukazał się w „Studiach Filozoficznych” pod koniec 1967 r. Była to analiza myśli ideologów wczesnej endecji. Zimand pokazywał, że z jednej strony naród jest najbardziej podstawową formą identyfikacji, a zarazem wskazywał na niebezpieczeństwa związane z nacjonalizmem.

W „Kulturze” w kwietniu 1968 r. Janusz Wilhelmi pisał o nim: „Był niszczyicielem polskiej kultury. Śledził, ścigał i tępił każdą myśl autentyczną, która ośmieliła się nie przeżuwać kolejnej porcji cytatów ze Stalina. Włożony po sezonie na naftaliny objawił się jednak (...) w nowej roli: roli, jakżeby inaczej, uczonego”.

Zimand pojawiał się w sądzie w roli obserwatora na procesach studentów represjonowanych po Marcu ’68. Na początku lat 70. odegrał ważną rolę w protestach w obronie braci Jerzego i Ryszarda Kowalczyków, skazanych za wysadzenie auli Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu, gdzie następnego dnia miała odbyć się uroczystość z okazji święta pracowników MO i SB.

W 1971 r. rozpoczął współpracę z Instytutem Literackim w Paryżu. Publikował u Jerzego Giedroycia pod różnymi pseudonimami, aż przybrał pseudonim „Leopolita”.

Stał się kimś w rodzaju wewnętrznego recenzenta opozycji demokratycznej. Z jednej strony był z nią środowiskowo mocno związany, znał dobrze wiele osób, z drugiej w latach 1976-78 przebywał we Francji na stypendium, co pozwalało mu na spojrzenie z dystansu. W tekstach poddawał bliską sobie opozycję krytyce za konkretne posunięcia.

Po powrocie do kraju współpracował z niejawnym Polskim Porozumieniem Niepodległościowym, z Towarzystwem Kursów Naukowych i z prasą drugiego obiegu. W opozycji zajmował stanowisko osobne. Choć biograficznie i towarzysko najbliższemu było do środowiska skupionego wokół Jacka Kuronia i Adama Michnika, to sporo go z nimi różniło – chyba najbardziej jego ostrość w ocenach stalinizmu i stosunek do zachodniej lewicy.

Podczas gdy np. Michnik i przebywający na emigracji przyjaciel Zimanda Krzysztof Pomian byli zwolennikami odwoływania się nawet do jej skrajnych odłamów, Zimand sugerował rezerwę. Miał też krytyczny stosunek do lekceważącego traktowania przez KOR środowiska Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela.

W latach 1980-81 był zaangażowany w działalność „Solidarności”, choć był sceptyczny w ocenie szans tego ruchu na sukces. Równocześnie, wykorzystując liberalizację systemu, współorganizował dwie głośne konferencje naukowe: o twórczości Czesława Miłosza oraz o „literaturze źle obecnej”, przede wszystkim emigracyjnej i podziemnej. Sporo energii poświęcił również Towarzystwu Popierania i Krzewienia Nauk.

W dniu wprowadzenia stanu wojennego został internowany. Najpierw przebywał w Warszawie-Białolece, później w Jaworzu, gdzie znalazł się wraz z czołowymi opozycyjnymi intelektualistami. Był uczestnikiem organizowanego tam przez internowanych życia towarzyskiego, artystycznego i naukowego. Wyszedł na wolność w kwietniu 1982 r. W kolejnych latach angażował się w akcje w obronie osób represjonowanych.

Stał się czołowym publicystą drugiego obiegu. Publikował w czasopismach podziemnych (m.in. „Krytyce”, „Myśli Niezależnej”, „Tygodniku Mazowsze”, „Arce” i „Przełądzie Wiadomości Agencyjnych”), współpracował z „KOS-em” i „Kulturą Niezależną”. I nadal z paryską „Kulturą”.

Był założycielem i współredaktorem własnego pisma, „Almanachu Humanistycznego”. W drugim obiegu i na emigracji ukazywały się również jego książki i broszury. Zajmował się też zdobywaniem pieniędzy i sprzętu drukarskiego oraz kolportażem.

Z czasem coraz bardziej ujawniało się krytyczne nastawienie Zimanda do głównego nurtu opozycji. W latach 1988-89 miał sceptyczny stosunek do Okrągłego Stołu. Propozycję rozmów z opozycją uważał za manewr PZPR służący nie tyle wprowadzeniu jakichkolwiek fundamentalnych zmian, ile zyskaniu na czasie.

Był krytyczny wobec rządu Mazowieckiego, jednocześnie nie stając się żołnierzem drugiej strony politycznego sporu, czego przejawem był choćby – niewydu-

kowany przez Giedroycia – artykuł krytykujący użycie przez stronę Lecha Wałęsy w kampanii argumentów antysemickich.

Będąc już od dawna zwolennikiem gospodarki rynkowej, popierał reformy Balcerowicza, choć miał obawy co do ich powodzenia.

Jesienią 1985 r. Jan Józef Lipski podczas rozmowy z Jackiem Trznadlem, opublikowanej potem w książce „Hańba domowa”, zastanawiał się, kto potrafiłby opisać własne doświadczenie uwikłania w stalinizm. Wskazał na Zimanda.

Wiele ich różniło. Lipski był w opozycji wobec komunizmu od zawsze, przez całe życie pozostając niepodległościowym socjalistą. Zimand po zerwaniu ze stalinowskim zaangażowaniem, a potem rewizjonizmem, czuł się liberałem, z czasem coraz bardziej krytycznym wobec jakiegokolwiek lewicy, a nawet przychylnym konserwatyzmowi. Jednocześnie od 1956 r. obaj darzyli się szacunkiem i sympatią. Obok opozycyjnej postawy łączyła ich niezgoda na banalizowanie tematu zaangażowania po stronie władz po wojnie części polskiej elity intelektualnej.

Długo duża część związanych z opozycją literatów i naukowców, którzy uczestniczyli w „budowie komunizmu” w Polsce, raczej nie chciała wracać do tamtych czasów. Niektórzy przypominali o swoim udziale w rozliczeniowych debatach w czasach odwilży, uznając temat za zamknięty. Ważnym kontekstem takiej postawy była wyminająca opozycjonistom stalinowską przeszłość propaganda reżimu, której nie chcieli dawać pożywki. Jeśli już zabierali głos, kładli nacisk na okoliczności tłumaczące ich zaangażowanie.

Zimand od takiego stawiania sprawy był daleki. I w przeciwieństwie do tych, którzy przypominali winy innych, uderzał się we własne piersi.

Wątek krytycznej oceny własnej roli za stalinizmu pojawił się w jego twórczości w czasie postalinowskiej odwilży. Na początku 1956 r., komentując postawę jednego z bohaterów opowiadania Kazimierza Brandysa „Obrona »Grenady«”, stwierdzał: „Nie jestem świętoszkiem. Nie mam zamiaru w tym wypadku oburzać się: jak członek partii mógł milczeć! (...). A jednak najczęściej milczeliśmy”.

W kwietniu, w tekście opublikowanym w „Po Prostu” podpisanym jako „Asmodeusz”, podnosząc kwestię wiedzy i odpowiedzialności ciążyącej za zbrodnie na ludziach władzy, podkreślał, że ponosi „swoją część odpowiedzialności wobec narodu”: nie musiał pisać rzeczy, do których nie miał przekonania, a jednak to robił.

We wrześniu podczas plenum zarządu głównego SDP Zimand odniósł się również do dyskusji o rozliczeniach, podkreślając, że rozliczyć trzeba się również z polityki prowadzonej po III Plenum KC, czyli po styczniu 1955 r.: „Trudno, [wcześniej] olbrzymia większość z nas szczerze wierzyła, że tamto jest słuszne. To jest przynajmniej jakiś element łagodzący, chociaż muszę powiedzieć, że w oczach narodu to niekoniecznie”.

Nie mam do nikogo pretensji.

Nikt mnie nie oszukał.

Każdy z nas oszukiwał sam

siebie i innych, którzy albo się

dawali, albo nie. **Każdy z nas**

sam sobie pierze ten mózg

W grudniu na zjeździe tej samej organizacji z ust Zimanda padły takie słowa: „My, staliści, siedzieliśmy na karku tego narodu i naród żąda od nas rachunku nie tylko w postaci dwóch, trzech ministrów, ale w postaci ludzi, którzy siedzieli na dole...”.

W kolejnych latach ocena własnego zaangażowania w komunizm stawała się coraz ostrzejsza. Co ciekawe, krytycznie patrzył zarówno na stalinowski, jak i rewizjonistyczny okres swojej biografii. W połowie lat 60. pisał:

„Byłem również przez wiele lat (1945-1957) działaczem społecznym, politycznym, agitatore, biczem bożym UW czy ściślej humanistyki, słowem przez 10 lat ciekłym stalinowcem i przez dwa lata ciekłym antystalinowcem”. I dalej: „Nie wstydę się owych 10 lat (...). Robiłem wtedy rzeczy bardzo złe, to znów śmieszne, ale z przekonania. (...) Natomiast wstyd mi swojego durnego zapалу i entuzjazmu z lat »rewizjonizmu«; wiary w »prawdziwy socjalizm« itp.”.

Podobną wymowę miał fragment załącznika do testamentu sporządzonego przez niego w połowie lat 70. Planował wówczas wydanie książki, która zawierałaby jego różne teksty. Chciał uwzględnić w nim stenogram swego wystąpienia z plenum zarządu głównego ZLP z 1955 r., kiedy ostro zaatakował Ludwika Flaszena. Określił go po latach jako „klasyczny stalinowski publicznie wygłoszony donos”.

O czasach rewizjonizmu w załączniku do testamentu pisał: „W okresie, gdy byłem rewizjonistą, pisywałem artykuły »ostrzejsze« i w owym czasie dość głośne. W ogóle jednak nie żywię sympatii do tego okresu mojej intelektualnej biografii”.

Wiktor Woroszyński w dziennikach odnotował wizytę Zimanda u niego w lutym 1980 r.: „Rozmowa o Październiku. Zimand kładzie nacisk na rolę rewizjonistów jako umacniających komunizm (»dobry«, »prawdziwy«, ale zawsze komunizm) i monopartię”.

Osile jednoznacznie krytycznego stosunku Zimanda do własnej przeszłości świadczy historia związana z jego życiem osobistym. W 1969 r., po przejściu przez Polskę antysemickiej kampanii, z kraju wyjechała jego dziesięcioletnia córka wraz z matką. Mimo to Zimand nie zdecydował się na emigrację. Czuł się odpowiedzialny za wprowadzenie w Polsce komunizmu. Opuszczenie kraju, póki ten ustrój nadal w nim istniał, uważał za niemoralne. Mówił, że najpierw musi po sobie posprzątać.

Rozpoczął wówczas pracę nad „Materiałem dowodowym” – dedykowanym córce esejem poświęconym komunizmowi. Tekstu nie skończył, napisany fragment ukazał się dopiero po jego śmierci (zmarł w 1992 r.).

O tym, jak silne było jego przekonanie, że jako były komunista nie powinien opuszczać kraju, świadczy list do Lipskiego z lutego 1976 r. Musiał wówczas wyjechać, żeby zaopiekować się córką, ale chciał wytłumaczyć przyjacielowi, że ten krok nie oznacza zmiany podjętej kilka lat wcześniej decyzji.

Stalinowską przeszłość uważał za obciążenie, którego po prostu nie można się pozbyć. Tłumaczyć w 1977 r. w liście do Ireny Lasoty, czemu środowisko KOR nie powinno zarzucać Leszkowi Moczulskiemu jego przeszłości (chodziło o podejrzenia udziału w kampanii antysemickiej w 1968 r.), zwracał uwagę na „przeszłość Jacka [Kuronia], nie mówiąc już o mojej czy Leszka [Kołąkowskiego]”.

Zimand, kiedy zabierał głos na temat okresu stalinowskiego, przypominał o swojej stalinowskiej przeszłości i poddawał ją krytycznej ocenie, zabierając głos np. na temat „Zniewolonego umysłu” Miłosza, „Dziennika '54” Tyrmanda i w ogóle zaangażowania intelektualistów w komunizm. Często godził się z sytuacjami, kiedy wspomniano mu, kim był w latach 50., uznając, że rozmówcy mają do tego prawo. W książce Wojciecha Karpińskiego o Henryku

Krzeczkowskim opisana została sytuacja z początku lat 70.:

„Poszliśmy do Melodii, restauracji na Nowym Świecie naprzeciw gmachu KC – Marcin [Król], ja oraz Henryk i Roman Zimand. Ci dwaj, starsi od nas o pokolenie, zdawali się toczyć tego wieczoru pojedynek o rząd naszych dusz. Henryk odnosił dość łatwe triumfy, robiąc aluzje do stalinowskiej przeszłości Zimanda, ale nie były to zwycięstwa zbyt eleganckie. Zimand nie zamazywał swojej przeszłości, głośno i otwarcie przyznawał się do własnych błędów”.

Zimand niewątpliwie uważał, że jego przeszłość zasługuje na jednoznacznie surową ocenę. Barbarze Łopieńskiej i Ewie Szymańskiej, autorkom książki o „Po Prostu”, mówił:

„Nie mam do nikogo pretensji. Nikt mnie nie oszukał. Każdy z nas oszukiwał sam siebie i innych, którzy albo się dawali, albo nie. Słowem każdy z nas sam sobie pierze ten mózg. (...) Mówi się, że byliśmy ideowi. Ale (...) z punktu widzenia skuteczności procesu sowietyzacji najlepsi są ci, którzy działają w przeświadczeniu, że działają w słusznej sprawie. Mówi się, że wierzyliśmy. Czy ktoś wierzył naprawdę, czy nie – jest absolutnie nie do zbadania. (...) Mówi się, że nie odnosiliśmy korzyści materialnych. Odnosiliśmy wszyscy. (...)

Zimand: – Naród żąda od nas rachunku nie tylko w postaci dwóch, trzech ministrów, ale w postaci ludzi, którzy siedzieli na dole

Jedni mówią – wierzyłem do końca, więc wszystko jest w porządku, drudzy – nie wierzyłem nigdy, więc wszystko jest w porządku. Ja uważam, że ze mną wszystko było nie w porządku (...). Oto moja samokrytyka. Obrzydliwa jak każda samokrytyka i jak każda niewystarczająca”.

Zimand uważał, że o stalinowskiej przeszłości trzeba mówić i ją oceniać, ale robił to przede wszystkim w odniesieniu do siebie, chociaż wskazać można na wyjątek, kiedy jako „Leopolita”, a więc nie ujawniając swojej przeszłości, zwracał uwagę na niestosowność przejścia dziennikarza Wojciecha Giełżyńskiego na stronę opozycji bez rozliczenia się z udziału w kampaniach propagandowych w 1968 i 1976 r.

Chyba nie do końca spełnił oczekiwania Lipskiego. Nie napisał obszerniejszego autobiograficznego tekstu, który byłby próbą rozliczenia się z własną przeszłością. Ani ekspicyjnej książki w rodzaju „Wiary i winy” Jacka Kuronia. O „Hańbie domowej” napisał tylko, że to „dokument bezradności ludzi wobec własnej biografii”.

Sam chyba też się czuł bezradny wobec własnej przeszłości, którą starał się traktować poważnie. Do końca życia niósł jej ciężar. ●

*Jan Olszek

• historyk, pracownik Instytutu Studiów Politycznych PAN i IPN. W ramach projektu IPN „Twórcy, dziennikarze i naukowcy wobec władz komunistycznych” przygotowuje biografię Romana Zimanda

Więcej: Wyborcza.pl/magazyn



WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Stanisław Wyspiański

Wyzwolenie, fragment

KONRAD

O Boże! pokutę przebyłem
i długie lata tułacze;
dziś jestem we własnym domu
i krzyż na progu znaczę.
Krzyż znaczę boży nie przeto,
bym na się krzyż przyjmował;
lecz byś mnie, Boże, od męki,
od męki krzyża zachował.
Byś mnie zachował od tego,
coś zasię za mnie przebył;
bym ja był z twoich wiernych,
a niewolnikiem nie był.
Bym ja miał z Ciebie siłę,
jak wierzę w Twoją wiarę
i żebym się doczekał,
jak miecze ślesz i karę.
Byś to, co zapowiedział,
dopelniał w moim życiu:
by zeszło światło w nocy
i trysnął źródł w ukryciu.
By trysło źródło świeże
za łaską Mojżeszową
i byś mi wskazał leże
i dach nad moją głową.
Byś zwiódł z wędrówki długiej
mój naród do Wszechmocy!
Byś dał, co mają inni,
GDY PRZYJDZIESZ JAKO DZIECIĘ TEJ NOCY.
Bożego narodzenia
ta noc jest dla nas święta.
Niech idą w zapomnienia
niewoli gnuśne pęta.
Daj nam poczucie siły
i Polskę daj nam żywą,
by słowa się spełniły
nad ziemią tą szczęśliwą.
Jest tyle sił w narodzie,
jest tyle mnogo ludzi;
niechże w nie duch twój wstąpi
i śpiące niech pobudzi.
Niech się królestwo stanie
nie krzyża, lecz zbawienia.
O daj nam, Jezu Panie,
twa Polskę objawienia.
O Boże, wielki Boże,
ty nie znasz nas Polaków;
ty nie wiesz, czym być może
straż polska u twych znaków!
Nie ścierpię już niedoli
ani niewolnej nędzy.
Sam sięgnę lepszej doli
I łeb przygniotę jędzy.
Zwycięzę na tej ziemi,
z tej ziemi PAŃSTWO wskrzeszę.
Synami my twojemi
błogosław czyn i rzeszę!

Tekst za: wolnelektury.pl

Najtrudniejsza 13 praca Heraklesa

Z konstytucyjnością nie jest jak z ciężą, nie jest zero-jedynkowa.

Marcin Matczak

Rozstrzyganie trudnych prawnych przypadków wymaga nadludzkich mocy – pisze filozof prawa Ronald Dworkin. Dlatego idealnemu sędziemu nadaje imię Herkulesa, który dokonywał rzeczy zwykłego śmiertelnikowi niedostępnych.

Do tej wizji pasuje twierdzenie, że na-prawa państwa po PiS to sprzątanie stajni Augiasza. Przez osiem lat Kaczyński przy wsparciu całej grupy zdradzających zawo-dowe ideały prawników doprowadził do gąszczu przypadków maksymalnie trud-nych. Teraz przyjdzie je rozwiązywać.

Państwo PiS zbudowano na specyficz-nym pojęciu konstytucyjności. Konstytu-cyjnienie miało być na papierze, nawet jeśli w rzeczywistości było bardzo niekonstytu-cyjnienie. To konstytucyjność fasadowa, sku-piona na tym, żeby sztuczkami prawniczej argumentacji znaleźć zgodność z marnym kawalkiem litery prawa: a to prymitywnym rozumieniem „domniemania konstytucyj-ności”, które posłużyło do sparaliżowania i przejęcia TK, a to głupim założeniem, że skoro konstytucja nie mówi wprost, kto ma wybierać sędziowskich członków KRS, to można o tym zdecydować dowolnie, gwał-cąc zasadę równowagi władz.

Konstytucyjność jest nic niewarta, jeśli nie realizuje się w świecie. Tak jest w Ro-sji: na papierze konstytucja wspaniała, a w rzeczywistości – wiadomo. Można za-tem mówić o dwóch rodzajach konsty-tucyjności: papierowej i faktycznej, oraz dwóch rodzajach niekonstytucyjności: nie-zgodności z literą prawa i z duchem kon-stytucji, z wizją świata, który konstitu-cja postuluje.

Skoro PiS psuł, promując konstytucyj-ność na papierze kosztem konstytucyjności w świecie, to może naprawiać trzeba od-wrotnie? Realizować konstytucyjność fak-tyczną, nawet kosztem litery prawa? Weź-my media publiczne. Czy lepiej żyć w świe-cie, w którym paskowy TVP szaleje, zionąc nienawiścią, ale prawnicy bronią legalno-sci Rady Mediów Narodowych, bo jej kon-strukcja wprost nie została zakwestiono-wana przez TK? Czy lepiej zlikwidować go-ebbelsowskie media, przyjmując, że wyrok TK z 2016 zakwestionował istotę PiS-ow-skiego modelu wraz z RMN, i oprzeć się na przepisach kodeksu spółek handlowych?

Między formalistami, którzy krzywią się na choćby cień niezgodności z literą, a re-wolucjonistami, którzy chcą wyzerować wszystko, nawet jeśli narusza to zasady na-szego ustroju, trzeba szukać drogi środka. Do tego potrzebna jest metoda – stajni Au-giasza nawet Herkules nie dalby rady po-sprzątać tradycyjnie.

Na początek założenie: z konstytucyjno-scią nie jest jak z ciężą, nie jest zero-jedyn-kowa, można ją stopniować. Spójrzcie na art. 190 ust. 3 konstytucji. Kiedy TK stwier-dzi niekonstytucyjność prawa, może je mi-mo to pozostawić w mocy nawet przez 1,5 roku, jeśli jego natychmiastowe usu-nięcie spowodowałoby większy stan nie-konstytucyjności. Gdy kiedyś TK stwierd-ził, że akt prawny regulujący maksymal-ne ceny leków refundowanych jest niekon-

stytucyjny, pozwolił mu jeszcze obowiązy-wać przez rok. Było jasne, że gdyby natych-miast wyrzucił go do kosza, spowodowa-łoby to zagrożenie dla zdrowia pacjentów i stabilności finansów państwa, które za te leki płaci.

Konstytucja pozwala zatem zgodzić się na trwanie rozwiązania nawet niekonsty-tucyjnego, jeśli alternatywą jest niekonsty-tucyjność większa. A kiedy niekonstytucyj-ność jest większa? Wtedy, gdy powoduje gorsze skutki w świecie.

PiS-owski model mediów publicznych jest niekonstytucyjny i ze względu na wy-rok TK, i ze względu na skutki faktyczne, które powoduje. Mamy dane empiryczne, że media PiS-owskie były dyskryminujące, że większość pasków była perswazyjna, nie informacyjna, że procent zapraszanych po-lytyków z PiS był o wiele większy niż z opo-zycji. To jest faktyczne naruszenie niezależ-ności mediów. Minister Sienkiewicz zlikwi-dował więc niekonstytucyjne skutki, opie-rając się na – jak wskazują niektórzy – wąt-pliwej literze. Czy lepiej jest opierać się na pewnej literze, powodując wątpliwe kon-stytucyjnie skutki?

Formaliści powiedzą: *fiat iustitia, et pe-reat mundi*. A tu chodzi właśnie o to, żeby sprawiedliwości stało się zadość, ale świat ocalał, a nawet był lepszy. Nie jest here-zją ocena konstytucyjności rozwiązań ze względu na skutki faktyczne, które przyno-szą. Tak było choćby w sprawie segregacji rasowej w USA. W trudnych przypadkach nie da się uratować wszystkiego – i pełnej zgodności z literą, i pełnej konstytucyjności faktycznej. A lepiej jest, gdy zmniejsza się niekonstytucyjność, nawet jeśli całkowicie się jej nie eliminuje.

PiS wielokrotnie obchodził prawo, a więc osiągał nielegalny efekt legalny-mi środkami. Czy jednak żeby się przed tym obronić, można ten schemat odwró-

cić: nielegalnymi środkami osiągnąć legal-ny efekt? Usunąć każdą faktyczną niekon-stytucyjność każdymi środkami? Nie jest to takie proste.

Po pierwsze, jakiś sąd musi stwierdzić niezgodność z prawem. Nie może tego za-stąpić zwyczajna ocena polityka. W przy-padku mediów publicznych mieliśmy i wy-rok z 2016, i skrajne upolitycznienie. Sa-mo upolitycznienie bez wyroku by nie wy-starczyło. W przypadku TK mamy wyroki o nielegalności dublerów i także skraj-ne upolitycznienie. Dublerów można więc usunąć. Ale nie da się usunąć innych wy-branych przez PiS sędziów, bo tu, choć jest upolitycznienie, wyroku nie ma. A polityk nie może sam stwierdzać nielegalności.

Po drugie, nie wolno naruszać oczy-wistej litery konstytucji. I tu znów różni-ca między naprawieniem mediów a na-prawianiem TK. Prezesi TVP usuwalni są, a sędziowie TK zgodnie z konstytucją – nie. Odwołanie sędziów stworzy więc groźny precedens. W tym sensie sprzątanie po PiS przypomina inną pracę Herkulesa – wal-kę z Hydrą lernejską. Jedyną metodą w jej przypadku było wypalanie miejsca po ko-lejnej odciętej głowie, żeby nie odrosła. Tworzenie złych precedensów spowoduje, że na pewno odrośnie.

Nowy rok szykuje prawnikom trud nad trudy. Jeśli mają być dworkinowskimi Her-kulesami, potrzebują dobrej metody. Naj-lepiej byłoby, gdyby zawsze dało się przy-wrócić konstytucyjność i formalną, i mate-rialną. Takiego komfortu pracy niestety nie mamy. Możemy jednak racjonalnie dysku-tować o tym, czy nasze działania są arbi-tralne, czy metodyczne. A na razie są me-todyczne. ●

OGŁOSZENIE

34291900

WE WTOREK I W ŚRODĘ W „WYBORCZEJ”

Co się zmieni w 2024 roku

- O ile podrożeje jedzenie, benzyna, prąd...
- Jak się zmieni prawo pracy
- O ile wzrosną emerytury

SPECJALNE
DODATKI



REKLAMA

PARTNER STRATEGICZNY:

POWERED BY
SEBASTIAN KULCZYK

JUTRONAUCI
SIĘGAJ ZA HORYZONT

ILUSTRACJA IGOR MORSKI



KSIĘŻYC NA ROZGRZEWKĘ

Dokąd, czym, z kim i po co – jeszcze nie wiadomo. Ale na pewno gdzieś polecimy

Kamil Fejfer

Mineło kilka tygodni od drugiego wystrzelenia Starshipa, największej stworzonej przez człowieka rakiety. Choć i pierwszy, i drugi stopień maszyny eksplodowały niedługo po starcie, media obwołały próbę sukcesem. Choć firma Elona Muska zdobyła sporo informacji niezbędnych do dalszych udoskonaleń konstrukcji, trudno nie odnieść wrażenia, że „sukces” nie jest najbardziej adekwatnym określeniem. Z drugiej strony, mimo przesadnego entuzjazmu medialnych opisów startu i niechęci (często zasłużonej) do samego Muska, to on jak nikt inny przyczynił się do renesansu podboju kosmosu. To nie będzie jednak kolejny tekst o Musku. To będzie tekst o nadchodzącej rewolucji technologicznej i gospodarczej.

O K..., PARDON, SATURN

Stojąc w hali Centrum Kosmicznego im. Johna F. Kennedy’ego i patrząc na makietę gąrantuicznej rakiety Saturn V, cisną się na usta te same słowa, które towarzyszyły Andrew Smithowi, autorowi książki „Księżycowy pył”, gdy patrzył na to monstrum. „O k...”.

Saturn V to cud inżynierii, który zabierał ludzi na Księżyc. Jest onieśmielający. Rakietą ma średnicę 10 metrów, to więcej niż dwa ustawione za sobą mercedesy vito. Każdy z pięciu widocznych silników F-1 (widocznych, ponieważ maszyna była trzyczłonowa; część silników ukryta została w korpusie i czekała na odpalenie po oddzieleniu się kolejnych stopni) jest wielkości małego miejskiego samochodu. No i wysokość – 110 metrów, o 3 metry więcej niż do dachu warszawskiego wieżowca Intrade.

Starship jest o 10 metrów wyższy, choć o metr „cieńszy”. Ma też większy „udźwig”. Saturn V mógł zabrać na niską orbitę (między 100 a 2000 km nad poziomem morza) od 120 do 140 ton ładunku. Na Księżyc mógł „dowieźć” nieco ponad 40 ton. Starship ma wynosić na niską orbitę około 150 ton ładunku. I dzięki możliwości tankowania w kosmosie – według słów przedstawicieli SpaceX – będzie mógł dostarczyć na srebrny glob około 100 ton ładunku za jednym razem.

Konstrukcja Muska nad starym, do brym Saturnem V ma kilka innych przewag. Pierwszą i najważniejszą jest to, że nie jest rakieta jednorazową, co dramatycznie obniża koszty. Do wątku kosztów jeszcze wrócimy, bo jest kluczowy, kiedy mówimy o gospodarce kosmicznej. Starship ma również być rakieta wielozadaniową, która może służyć zarówno do transportu ludzi (ma zabierać na pokład nawet 100 osób), jak i ładunków i paliwa w różne miejsca. Mają nimi być orbita Ziemi, Księżyc i – według Muska – finalnie Mars.

Z drugiej strony Saturn V ma jedną istotną przewagę – był już na orbicie. I nie wybuchł. Niezawodność udowodnił podczas misji Apollo 12, kiedy w trakcie lotu dwukrotnie trafił go piorun.

Tu widać sporą różnicę w podejściu konstrukcyjnym między starym i nowym. Saturn V został stworzony „raz a dobrze”. To nie oznacza, że nie był testowany – najpierw był bezzałogowy lot orbitalny, później orbitalne misje z ludźmi na pokładzie,

następnie loty załogowe na Księżyc, ale bez lądowania. Dopiero po serii takich testów (wszystkie zaliczone pozytywnie) zdecydowano się na lądowanie.

Musk postawił na technikę szybkich powtórzeń startów i kolejnych iteracji po częściowo nieudanych testach. Każda kolejna rakietą jest nieco udoskonalonym modelem poprzedniczki. Najpierw, w 2019 roku, SpaceX eksperymentował z projektem „Starhopper” który miał tylko „podskakiwać”, sprawdzając, czy konstrukcja w ogóle oderwie się od ziemi. Pierwsze trzy loty trwały nie dłużej niż 20 kilka sekund. Kolejne próby były testami górnego członu rakiety. Większość zakończyła się efektywnymi eksplozjami. Dopiero w kwietniu 2023 nastąpił test całego systemu, czyli liczącego 70 metrów wysokości I stopnia rakiety zwanego Super Heavy oraz 50-metrowego II stopnia, czyli właśnie Starshipa.

Podczas kwietniowego startu nie zadziałały wszystkie silniki pierwszego stopnia i nie powiodła się separacja obu członów. Misja zakończyła się tym, do czego Musk nas już przyzwyczaił: efektowną eksplozją. Drugi, listopadowy, start pokazał, że SpaceX nauczył się separować stopnie statku. Zadziałały również wszystkie z 31 silników Raptor. Zanim jednak flagowy pojazd SpaceX wejdzie do użytku komercyjnego, minie trochę czasu.

DRUGI CZŁOWIEK NA KSIĘŻYCU SIĘ DĄSA

Ale Starship to niejedyny produkt SpaceX. Gigantyczna rakietą jest oczkiem w głowie Muska, jednak tym, co zapewniło firmie ekspansję, jest niezwykle udany projekt rakiety Falcon 9. To ona dała firmie miliardera absolutne prowadzenie w kosmicznym wyścigu. I w bardzo dużym stopniu przyczyniła się do tego, że ów wyścig, tym razem w komercyjnej odsłonie, nabrał sporego tempa. Bo warto pamiętać, że do naglego przyspieszenia eksploracji kosmosu dochodziło w dwóch momentach historii: albo kiedy rywalizowały mocarstwa, albo kiedy niezwykle bogaci megalomani zdecydowali się realizować swoje, nomen omen, kosmiczne ambicje. Przypomnijmy w telegraficznym skrócie.

Dzisiaj mało kto pamięta, że w pierwszych latach wyścigu bardzo wyraźnie prowadził Związek Radziecki. To Rosjanom w 1957 r. udało się umieścić na orbicie pierwszego sztucznego satelity – Sputnika 1. Dla zachodniej opinii publicznej mającej z tyłu głowy zimnowojenny kontekst skojarzenia nasuwały się same: jeszcze chwila, a Sowietci zainstalują nad jej głowami broń, przed którą nie będzie ucieczki.

Cztery lata później, w 1961, USA przyjęły kolejny cios – ZSRR wysłał w kosmos pierwszego człowieka. Co prawda niecały miesiąc po Gagarinie w kosmos poleciał pierwszy Amerykanin, jednak w pionierskich dokonaniach jest jak w sporcie – mało kto pamięta nazwiska pozostałych na podium. Choć Allanowi Shepardowi – tak nazywał się Amerykanin – kilka lat później udało się postawić stopę na Księżycu, to na kartach historii większymi literami zapisał się Gagarin.

Również mało kto pamięta nazwisko Buzza Aldrina, czyli drugiego człowieka, który stąpił na Księżycu. Aldrin był tak zły na fakt, że przypadła mu rola tego drugiego, że nie zrobił na srebrnym globie żadnego zdjęcia Neilowi Armstrongowi. Wszystkie fotografie z misji Apollo 11 przedstawiają właśnie Aldrina, którego uwieczniał Armstrong. Jedynym zdjęciem z widocz-

nym pierwszym człowiekiem na Księżycu jest to, w którym odbija się on w osłonie helmu Aldrina. Cóż, Armstrong, który zdawał sobie sprawę z tego, że zapewnił sobie po wsze czasy miejsce w historii, mógł machnąć ręką na zrozumiałe dąsy kolegi.

ARTHUR C. CLARKE MODLI SIĘ PIERWSZY RAZ OD 40 LAT

Napięcie między dwoma bohaterami podboju kosmosu nie zaistniałoby, gdyby nie ogromna mobilizacja amerykańskiej maszyny gospodarczo-inżynieryjnej. Suborbitalna misja Sheparda z maja 1961 trwała... 15 minut. Saturn V zabrał ludzi na Księżyc 8 lat później, w lipcu 1969. Oprócz trzech astronautów musiał przewieźć jedzenie, tlen, skafandry, niezawodną łączność, lądownik, lązik księżycowy. Ogrom prac, który musiał się przez ten czas dokonać, jest trudny do ogarnięcia. Wiele technologii wspomagających misję Apollo było tworzonych od zera.

Nie byłoby to możliwe bez gigantycznego budżetu. W połowie lat 60. finansowanie NASA pochłaniało 4,5 proc. całego budżetu federalnego najbogatszego państwa świata. Zanim odbył się pierwszy załogowy lot na srebrny glob, budżet spadł do około 2 proc. Nic dziwnego – wszystkie najważniejsze inwestycje w technologię już się dokonały.

Program Apollo sprzed 50 lat był szczytowym momentem eksploracji kosmosu. Nie tylko popisem zdolności logistycznych i technologicznych (oraz militarnych) nowoczesnego mocarstwa w swoim najlepszym okresie – dla wielu ludzi stanowił

Amerykanie wyślą na Księżyc

po prostu lądownik, tyle że

wiekszy niż w latach 60. i 70.

Chińczycy – drukarki 3D,

które z księżycowych skał

„wydrukują” elementy bazy.

Tajkonauci przylecą na gotowe

również doświadczenie na polu duchowe. Wielki pisarz s.f. Arthur C. Clarke, autor m.in. „2001: Odysei kosmicznej”, podczas jednego ze startów Saturna V powiedział, że po raz pierwszy od 20 lat płakał i po raz pierwszy od 40 lat się modlił. A brytyjski dziennikarz Hugo Young zapamiętał, że „podczas obłędu startu przez moment nie istnieli żadni krytycy programu kosmicznego”.

Przy czym Young był „apollosceptyczny”. Dzisiaj większości z nas, nie tylko tych, którzy interesują się podbojem kosmosu, program Apollo kojarzy się jednoznacznie pozytywnie. Nie pamiętamy już, że idea miała wielu przeciwników. Nie pamiętamy również, że jednym z najważniejszych jej architektów był Wernher von Braun, nazistowski twórca raket V2, po wojnie przejęty przez Amerykanów.

PÓŁ PROCENT BUDŻETU DLA NASA

Karty historii zapisują zwycięzcy. Warto mieć to z tyłu głowy, kiedy czytamy kolejne artykuły piętnujące dziwactwa Muska. To, jak go zapamięta historia, będzie zależeć od tego, czy uda mu się wyprawa na Marsa. Jeśli tak, całe dzisiejsze oburzenie na jego bucerskie wyskoki i dyskusyjne metody zarządzania wyładuje w przypisach.

Po zwycięstwie w decydującej bitwie USA straciły zainteresowanie kosmiczną ekspansją. Czy raczej zepchnęły temat na daleki tor. Od lat 90. środki NASA nie przekroczyły 1 proc. budżetu federalnego, a od dekady stanowią jedynie pół procent.

Wyścig kosmiczny był więc wyścigiem prestiżowym z militarnym tłem. Ameryka chciała pokazać ZSRR, że nie tylko może utrzymać wysoki poziom życia obywateli, zbroić się, ale też w ciągu zaledwie kilku lat po dwóch przegranych jest w stanie wysforować się na niekwestionowanego lidera. Program Apollo był pawim ogonem systemu kapitalistycznego; komunikatem, że możemy dokonać gigantycznego wysiłku intelektualnego, technologicznego, administracyjnego, inżynieryjnego i wystarczy nam środków na wszystko inne. Inna sprawa, że same inwestycje w program Apollo zwiększyły wzrost gospodarczy. I to na dwa sposoby. Po pierwsze, w Apollo uczestniczyło około 20 tys. firm i 400 tys. osób. Ktoś musiał stworzyć technologie, materiały, podzespoły.

Ekonomiści Luisa Corrado, Stefano Grassi, Aldo Paolillo oraz Edgar Silgado-Gómez w artykule w prestiżowym czasopiśmie „Proceedings of the National Academy of Sciences” twierdzą, że po poprawce

Amerykanie wyślą na Księżyc

po prostu lądownik, tyle że

wiekszy niż w latach 60. i 70.

Chińczycy – drukarki 3D,

które z księżycowych skał

„wydrukują” elementy bazy.

Tajkonauci przylecą na gotowe

na inflację sam program Apollo kosztował ponad 150 mld dolarów. Czy to dużo? Przy dzisiejszym kursie dolara wychodzi równowartość zaplanowanych na 2023 rok wpływów budżetowych Polski, jednej z 20 największych gospodarek świata.

Tak ogromne środki w sporej części po prostu rozplynęły się po gospodarce, oliwiac amerykańską maszyną kapitalistyczną.

Drugim czynnikiem, który wpłynął na podbicie wzrostu gospodarczego, była fala innowacji – zwłaszcza w sektorach chemicznych, inżynierii materiałowej, telekomunikacji. Amerykański PKB najbardziej skorzystał z programów kosmicznych od lat 60. do 80. Później skutki dla gospodarki były zauważalnie mniejsze. Wynikało to z faktu, że duża część nowinek rynek zaabsorbował w pierwszych dekadach wzmożonych inwestycji w kosmos.

CHINŹCYCY POLECA
NA GOTOWE

Jednak to, co na początku napędzalo innowacje, stalo się kulą u nogi rozwoju sektora kosmicznego. To bowiem nie ekonomia, lecz cele wojskowe i polityczne były głównymi motorami napędowymi wyścigu kosmicznego. Loty w kosmos były zarezerwowane dla sektora publicznego oraz dla naprawdę zamoznych firm, które mogły sobie pozwolić na przykład na wystrzeliwanie drogich satelitów telekomunikacyjnych.

O ile ambicjonalne loty w kosmos przez kilkadziesiąt lat były zdominowane przez dwóch graczy: USA i ZSRR, tak obecnie do gry wkraczą nowi aktorzy. Pierwszym są oczywiście Chiny.

Najludniejsze państwo świata na samym początku wyścigu kosmicznego w zasadzie się nie liczyło. Pierwszego satelitę wysłało w roku 1970, 13 lat po ZSRR i dwa lata po tym, jak Stany Zjednoczone posłały ludzi na Księżyc. Obecnie jednak Chiny mają swoją własną stację kosmiczną. I to już druga! Pierwsza, Tiangong I (Niebiański pałac) została wystrzelona na niską orbitę w 2011 r. Inna rzecz, że tajkonauci – chiński odpowiednik astronautów – przebywali w niej zaledwie kilka dni, potem wskutek usterek Chiny straciły kontrolę nad konstrukcją i w 2013 r. została zdeorbitowana. Od 2016 r. na niskiej orbicie znajduje się jednak stacja Tiangong II, która regularnie gości kolejne zmiany tajkonautów.

Państwo Środka postanowiło zbudować własną konstrukcję orbitalną nie tylko przez imperialne ambicje. Również dlatego, że Amerykanie wykluczyli Chińczyków z możliwości korzystania z Międzynarodowej Stacji Kosmicznej. Wydaje się zresztą, że nie bez podstaw – Stany Zjednoczone obawiały się szpiegostwa technologicznego. Jedną z poszlak, że słusznie, jest choćby zaprezentowana przez Chiny kilka miesięcy temu wizualizacja projektu rakiety Długi Marsz 9, która bardzo przypomina Starshipa.

Własna stacja to nie koniec chińskich sukcesów. Już dekadę temu Chiny wylądowały łazikiem na srebrnym globie jako trzeci kraj, który tego dokonał. W 2020 r. wysłały na ciemną stronę Księżyca sondę, która pobrała próbki księżycowego regolitu. Tego nie robił nikt od kilkadziesiątu lat.

Ambicje Pekinu sięgają dalej. Do roku 2030 chce wysłać załogową misję na Księżyc. Niewiele wiadomo o szczegółach, co nie znaczy, że plany są tylko propagandową wydumką – w przeciwieństwie do Amerykanów Chińczycy nie są szczególnie chętni do dzielenia się detalami strategicznych projektów. Mówi się jednak, że zanim na Księżycu wyląduje pierwszy Chińczyk, Państwo Środka wysle na srebrny glob... drukarki 3D, które z księżycowych skał „wydrukują” elementy księżycowej bazy. Tajkonauci przylecą na gotowe – to zupełnie inna filozofia działania niż Amerykanów, którzy na srebrny glob chcą wysłać po prostu lądownik, tyle że większy niż w latach 60. i 70.

ROSJA JUŻ NIE RZĄDZI,
AMERYKA ZARAZ
PRZESTANIE

W boksach startowych rozgrzewają się Indie. W sierpniu mijającego roku udało im się jako czwartemu państwu (po USA, Rosji i Chinach) wylądować na Księżycu. A mówiąc precyzyjnie – na jego południowym biegunie. Było pierwsze udane lądowanie ludzkości w tej okolicy – i jednocześnie pierwsze udane miękkie lądowanie indyjskiej sondy na innym ciele niebieskim. Lokalizacja jest o tyle istotna, że to tam znajduje się lód wodny, który niezwykle ułatwiałby życie przyszłym mieszkańcom księżycowych baz. Zeszłoroczne podejście było drugim indyjskim. Pierwsze miało miejsce już w 2019 r. Wtedy lądownik zboczył z kursu około 2 km nad powierzchnią Księżyca, po czym utracono z nim kontakt.

Obecnie Hindusi szykują się do wystrzelenia pierwszego astronauty na orbitę w ramach misji Gaganyaan – już w 2024 r., niemniej tego typu plany mają tendencję do przesuwania się nawet w najbardziej zaawansowanych państwach, a indyjski projekt przekładano już kilkakrotnie. Natomiast do 2030 r. zostało trochę czasu – wtedy Indie chcą mieć już własną stację kosmiczną.

Właśnie po 2030 r. możemy mieć interesującą sytuację, jeśli chodzi o obecność ludzi na orbicie. Obecna chińska stacja ma być użytkowana co najmniej przez dekadę. Tymczasem krążąca nad naszymi głowami na wysokości około 400 km Międzynarodowa Stacja Kosmiczna, której pierwsze moduły zostały połączone w 1998 r., ma zostać zdeorbitowana również w okolicach 2030 r. Jako że na konstrukcję większość środków wyłożyły USA, to oznacza, że na niskiej orbicie w latach 30. stałe przyczółki będą miały Chiny, Indie, a być może i Europa, ale nie największe mocarstwo na Ziemi i w okolicy.

Z wyścigu – wydaje się, że definitywnie – wypadła za to Rosja, która próbowała wylądować na Księżycu zaledwie kilka dni przed Hindusami. Misja sondy Łuna-25 się nie powiodła. Eksperci twierdzą, że to symptom degradacji rosyjskiego programu kosmicznego.

Rosja po uziemieniu amerykańskiego programu wahadłowców w 2011 r. przez dekadę udostępniała USA statki Sojuz, które woziły amerykańskich astronautów na Międzynarodową Stację Kosmiczną (za kilkadziesiąt milionów dolarów od głowy), a dzisiaj nie potrafi nawet powtórzyć tego, co udało jej się już w 1970 r., czyli lądowania na Księżycu. Wtedy to właśnie ZSRR jako pierwszy kraj na świecie wysłał łazika na obce ciało niebieskie.

W całym tym wyścigu nie widać za bardzo Europy. Co prawda Europejska Agencja Kosmiczna wysła sondy kosmiczne i satelity, lecz do podboju kosmosu podchodzi mniej ambicjonalnie niż USA, Chiny i Indie. Europejskie misje są głównie naukowe i praktyczne, związane np. z bieżącymi potrzebami telekomunikacyjnymi. Owszem, mówi się o wystrzeleniu na orbitę europejskiej stacji kosmicznej Starlab, jednak na wizualizacjach wygląda ona naprawdę mizernie w porównaniu z ISS. Europejski projekt to zaledwie jeden moduł mieszkalny i jeden moduł serwisowy, Międzynarodowa Stacja Kosmiczna składa się z kilkunastu takich elementów.

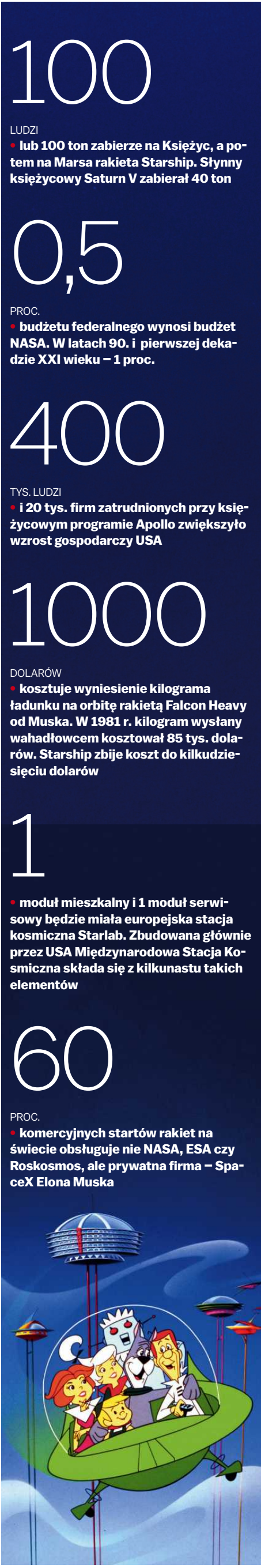
KILKADZIESIĄT DOLARÓW
ZA KURIERA NA ORBITĘ

Europejski pragmatyzm jest wyjątkiem – motywację większości obecnych planów podboju kosmosu są kalką tych z lat 60. i 70.: wschodzące potęgi chcą pokazać, że one też potrafią. W tej układance Chiny jako państwo autorytarne mają przewagę, ponieważ nie muszą się obawiać – przynajmniej na razie – ani o ciągłość finansowania, ani liczyć się z opinią publiczną naciskającą na polityków.

Niemniej w dłuższej perspektywie – przynajmniej dla demokratycznego Zachodu, dla nieco mniej, lecz wciąż demokratycznych Indii, ale wcześniej czy później i dla Chin – stabilizacja i ciągłość w eksploracji kosmosu wymaga silnej nogi ekonomicznej.

Wyścig kosmiczny musi się opłacać; bez tego elementu jest studnią bez dna napędzaną jedynie politycznymi ambicjami. A te mogą wygasnąć albo po osiągnięciu celu, jak w przypadku lądowania ludzi na Księżycu (USA), albo wskutek kosztownej nie tylko ekonomicznie, ale też – co dla państw autorytarnych jest nawet ważniejsze – prestiżowo przegranej (ZSRR).

Rzućmy więc okiem na ekonomiczną stronę wynoszenia ładunków w kosmos. W 1981 roku koszt wysłania jednego kilograma na niską orbitę za pomocą wahadłowca wynosił 85 tys. dolarów. W 1995 udało się zejść do 27 tys. Falcon 9,



kosmiczny hit od SpaceX, w 2017 r. zbił cenę do około 2 tys. Dzięki Falconowi Heavy, większemu kuzynowi „dziewiątki”, kilogram udaje się wynieść za mniej niż 1000 dolarów. Starship ma zbić koszty do zaledwie kilkadziesiątu dolarów. W końcówce lat 50., kiedy na niską orbitę trafiały pierwsze satelity, koszt wysłania kilograma wynosił około miliona dolarów w przeliczeniu na jego wartość z 2021 r.

Skąd aż taki spadek cen? W przypadku głównego transportowca SpaceX, czyli Falcona 9, wynika to z faktu, że najważniejsza część rakiety jest wielokrotnego użytku. To koncepcyjnie wydawałoby się proste rozwiązanie zrewolucjonizowało ekonomię wypraw kosmicznych. Wcześniej wszystkie rakiety były w zasadzie jednorazowe. To trochę tak, jak byśmy chcieli zawieźć dzieci do dziadków i specjalnie na podróż w jedną stronę za każdym razem kupowali bmw X5. Pewnym wyjątkiem były wahadłowce, których orbiter – to ten podobny do samolotu pojazd – był odzyskiwany. Tak też działo się w przypadku silników bocznych, które po wykonaniu pracy spadały do oceanu, skąd były wylądowane, przeglądane i użytkowane ponownie. To proces o wiele bardziej złożony niż w przypadku rakiet SpaceX, które po prostu lądują w precyzyjnie określonych miejscach.

Tak gigantyczny spadek kosztów otworzył kosmos dla coraz większej liczby graczy, w tym komercyjnych. Bo im tańsza dana usługa, tym więcej firm może rozważać korzystanie z niej.

W 2021 r. SpaceX obsługiwał 60 proc. komercyjnych startów rakiet na świecie, przy czym sama firma Muska była odpowiedzialna za sporą część tego ruchu, wynosząc kolejne elementy konstelacji Starlink. Wciąż jednak większość zleceń SpaceX to zlecenia publiczne obsługujące albo NASA, albo potrzeby militarne USA. Publiczny grosz jest więc jednym z głównych źródeł finansowania SpaceX.

TEAMSY Z ORBITY.
PRYZIEMNE USŁUGI
KOSMICZNE

Dzisiaj ogromna większość sektora kosmicznego to coś, co eksperci nazywają „space for earth”, czyli technologie lokowane w kosmosie po to, aby usprawnić procesy biznesowe czy naukowe na Ziemi. Ogromna większość z nas na co dzień w jakiś sposób korzysta z dobrodziejstw tych zastosowań, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

Ekspert firmy konsultingowej McKinsey & Company Ryan Brukardt zauważa, że znaczna większość „gospodarki kosmicznej” to usługi satelitarne: natychmiastowe transakcje bankowe, międzynarodowe wideokonferencje, geolokalizacja, telefonia komórkowa, satelitarny internet, analiza obrazów. Firmy zajmujące się rolnictwem zaprzągają satelity do lepszego obrazowania pól, co pomaga zwiększyć wydajność. Ponad 160 satelitów monitoruje kwestie zmian klimatycznych. Obrazowanie jest też wykorzystywane do namierzenia nielegalnych wycinek lasu, obrazowania lodowców, pożarów, erozji wybrzeży. Oraz oczywiście do pozyskiwania danych wywiadowczych. Kosmiczny biznes jest wart około 450 mld dolarów rocznie, a w 2040 r. wzrośnie do biliona.

Przyznajmy jednak, że choć te technologie ułatwiają nam życie, to stały się czymś prozaicznym i mało ekscytującym. Prawdziwe emocje może wzbudzać coś, co eksperci nazywają sektorem „space for space” – czyli wytwarzaniem rzeczy na orbicie, które albo mogą wrócić na Ziemię, albo być użytkowane dalej w kosmosie.

Do tej pory „space for space” to dome na głównie opowieści s.f. Jednak dzięki spadkowi cen transportu w najbliższych dekadach to się zmieni. Myśli się na przykład o tworzeniu fabryk w kosmosie, które wykorzystywałyby efektywnie próżnię do chipów, i o rozwoju kosmicznej turystyki. Lecz jedną z najbardziej ekscytujących

branż jest... górnictwo kosmiczne. Znów brzmi jak s.f.? Warto pamiętać, że bardzo wiele rozwiązań, którymi dzisiaj dysponujemy, jak choćby technologia GPS, aparaty w smartfonach czy zegarki, przez które możemy prowadzić telekonferencje, dekadę temu również były uważane za bajania pisarzy, scenarzystów komiksów i filmowców. Nikt nie ma wątpliwości, że przeszkód na drodze górnictwa poza Ziemią jest naprawdę multum. Ale jedną z największych jest – a w zasadzie był, i tu już się państwo domyślacie – koszt wystrzelenia ładunku.

Tymczasem górnictwo kosmiczne jest jednym ze sposobów na obejście problemu „nieskończonego wzrostu gospodarczego na skończonej planecie”. To hasło chętnie powtarzane przez zwolenników tzw. degrowthu, którzy twierdzą, że nasza fiksacja na nieustannym zwiększaniu PKB prowadzi nie tylko na skraj katastrofy klimatycznej, ale również zagraża naturalnym ekosystemom dewastowanym przez wydobywanie metali ziem rzadkich.

Trudno nie zgodzić się z taką diagnozą. Wysokie PKB (czy też szerzej – zamożność) powoduje wyższe emisje gazów cieplarnianych. Wygodne życie, czyli takie, w którym dostępne są wysokiej jakości usługi oraz szeroki wybór towarów konsumpcyjnych, wymaga energii. A energia jest produkowana w dużej części dzięki spalaniu paliw kopalnych. Związek ten jest jednak różny w różnych krajach, co wynika m.in. z tak zwanego miks energetycznego, czyli z udziału paliw kopalnych i źródeł odnawialnych w generowaniu energii.

TWÓJ SMARTFON PRZYLECI Z KSIĘŻYCA

I tu zbliżamy się do górnictwa kosmicznego. Aby realizować cel klimatyczny, którym jest możliwie szybkie odchodzenie od paliw kopalnych, bez ograniczenia podaży energii, potrzebujemy ogromnych ilości materiałów, w tym metali ziem rzadkich, które są niezbędne do wytwarzania paneli fotowoltaicznych, wiatraków czy baterii. Pierwiastki te możemy pozyskiwać z asteroid czy Księżyca.

O tej fascynującej wizji piszą Maxwell Fleming, Ian Lange, Sayeh Shojaeinia i Martin Stuermer w artykule naukowym „Mining in space could spur sustainable growth” (Górnictwo w kosmosie może napędzać zrównoważony wzrost gospodarczy) z „Proceedings of the National Academy of Sciences”. W ciągu ostatnich 100 lat światowe wydobywanie surowców wzrosło 60-krotnie. Dynamikę dalszego wzrostu może nieco ograniczyć recykling i bardziej efektywne używanie dostępnych zasobów, lecz i tak transformacja energetyczna na skalę cywilizacyjną będzie wymagała gigantycznych ilości takich substancji, jak miedź, nikiel, kobalt, lit. Przykładowo, produkcja elektrycznego samochodu wymaga trzy razy więcej miedzi niż w przypadku

samochodu konwencjonalnego. Całkowite zużycie kobaltu i litu w nadchodzących dekadach może zwiększyć się od 20 do 60 razy. Taki skokowy wzrost popytu podniesie cenę tych metali, co może przełożyć się na spowolnienie transformacji.

Badacze podkreślają, że raczej nie grozi nam wyczerpanie się tych pierwiastków w dającej się przewidzieć przyszłości. Zresztą większość przeszłych szacunków dostępności surowców okazywała się niedoszacowana. Problemem może być natomiast spadająca opłacalność wydobywania (a więc wyższe ceny) oraz dewastacja lokalnych ekosystemów.

Asteroidy mają tu dwie ogromne zalety. Po pierwsze, nie niszczymy żywych ekosystemów, eksploatujemy materię, której jest w bród w Układzie Słonecznym. Po drugie, stężenie pierwiastków na asteroidach metalicznych jest nieporównywalnie większe niż na Ziemi. Obecność żelaza w przeliczeniu na tonę jest ponad 20-krotnie wyższa na asteroidach. Kobaltu – 300 razy, niklu – 1100 razy.

Badacze zastrzegają, że prognozy rozwoju górnictwa kosmicznego są obciążone ogromną niepewnością. Aby myśleć o komercyjnej eksploatacji asteroid, potrzebna jest nie tylko flota statków podobnych do Starshipa, ale też gigantyczne inwestycje w technologii wydobywania w warunkach bardzo niskiej grawitacji i próżni. Do tego, aby zwiększyć opłacalność, potrzebne byłyby silne globalne regulacje ochrony ziemskich ekosystemów, innymi słowy – zachęta przez przymus. Do tego dochodzi kwestia emisyjności paliw, które napędzałyby „górniczne” rakiety. Jak zauważają jednak naukowcy, obecnie do napędzania statków kosmicznych stosuje się paliwa na bazie wodoru, które mają niewielki wpływ na emisję gazów cieplarnianych.

CZY STARSHIP SIĘ ZEPNIE W EXCELU

Czy więc stoimy u progu nowej rewolucji technologicznej i gospodarczego kopa, dzięki któremu rewolucja energetyczna będzie przebiegała bardziej gładko, a nasza cywilizacja nie będzie musiała rezygnować ze wzrostu wciąż tak potrzebnego miliardom ludzi na

świecie? Cóż – jak mawiał klasyk – prognozowanie jest wyjątkowo trudne, zwłaszcza kiedy dotyczy przyszłości.

Dziennikarka ekonomiczna Peggy Hollinger zastanawia się w „Financial Times”, czy Starshipa, jeden z filarów, na których (chwiejnie) posadowione są wizje rozwoju sektora kosmicznego, nie czeka los Airbusa 380 – największego samolotu pasażerskiego świata. Po zaledwie kilkunastu latach od pierwszego komercyjnego lotu został wycofany z produkcji, ponieważ eksploatacja giganta okazała się nieopłacalna dla linii lotniczych. Dla porównania, słynny jumbo jet był produkowany od roku 1970 aż do zeszłego – przez pół wieku! Czy więc – zastanawia się Hollinger – przemysł satelitarny będzie na tyle prężny, żeby zapełniać flagowy pomysł Muska ładunkami w takim stopniu, żeby inwestycja zwróciła się z nawiązką? Jeśli nie, to koszt wyniesienia na orbitę jednego kilograma wcale nie będzie tak niski, jak mówi się w optymistycznych komunikatach prasowych.

A więc być może Starship to po prostu bardzo drogi eksperyment nie tylko inżynierski, ale również ekonomiczny. Może okazać się wielkim sukcesem – jak jumbo, ale istnieje ryzyko, że będzie finansową kląpą, jak A380. Z drugiej strony możliwe, że dostępność gigantycznych i tanich rakiet sama z siebie wygeneruje popyt na ich usługi.

MUSK UMRZE NA MARSIE

A więc jak dokładnie będzie wyglądać przyszłość wyścigu kosmicznego – nie wiemy; to moment podobny do początków rewolucji transportowej w II połowie XIX i na początku XX wieku czy telekomunikacyjno-informatycznej od lat 80. do pierwszej dekady XXI wieku: przed nami wiele obiecujących ścieżek, w każdą zagląдают państwa, wizjonerzy i przedsiębiorcy, ale wiemy na pewno, że zaczyna się dziać.

No i wiemy, że wyścig ten ma dwa motory. Pierwszym, najbardziej zauważalnym, są inwestycje miliardów chcących realizować swoje dziecięce fantazje o marsjańskich habitatach. Musk poza wieloma, delikatnie mówiąc, niezbyt trafnymi diagnozami na temat rzeczywistości znany jest

z frazy „chciałbym umrzeć na Marsie”. Można oczywiście twierdzić, że to PR-owy spin stworzony po to, by zwiększyć kapitalizację jego spółek – jednak wiele wskazuje na to, że to akurat marzenie jest szczerze. Poszlaką może być choćby tworzenie Starshipa, który jest wszak wielkim ekonomicznym eksperymentem. Przecież istnieje wiele sposobów na bezpieczniejsze pomnażanie majątku niż obciążona ogromnym ryzykiem próba generowania niemalże od zera nowej branży.

Drugi motor to wkroczenie do gry nowych potęg gospodarczych. Przy czym Stany Zjednoczone jeszcze nie powiedziały ostatniego słowa – Waszyngton nie chce przespać tej rozgrywki, ponieważ walka o kosmos jest walką w domenie soft power, gry o wyobraźnię, zwłaszcza ludzi z, powtórzmy jeszcze raz ten suchy żart, kosmicznymi ambicjami. Być może Ameryka nie będzie chciała uczestniczyć w tej rozgrywce na takich zasadach jak przed półwieczem. Ma jednak inne narzędzia do sterowania tym procesem – choćby przez mniej lub bardziej otwarte finansowe, logistyczne i polityczne wspieranie swoich miliardów.

Niezwykle trudno jest przewidywać czarne łabędzie. Pamiętajmy, że ekonomista Nassim Taleb, popularyzator tego terminu, ma na myśli nie tylko zaskakujące i niewyobrażalne wcześniej zjawiska negatywne, również pozytywne – jak stworzenie internetu. Rewolucje technologiczne z pewnością należą do czarnych łabędzi. O tym, że dzieje się rewolucja, wiemy dopiero wtedy, kiedy zaczyna transformować społeczno-gospodarczą rzeczywistość w sposób, który bezpośrednio odczuwamy. Czy odczuwamy kosmiczne górnictwo i orbitalne hotele? W jakiejś przyszłości niemal na pewno. Pytanie, czy my, czy nasze wnuki. ●

Jutronauci 2023

- Po raz pierwszy w historii świat młodych jest tak różny od świata dorosłych. Zetki i alfy nie znają świata bez internetu, smartfonów, nowych technologii. A te jak nigdy dotąd napędzają zmiany społeczne: zwiększa się polaryzacja społeczna, obniżają się kompetencje międzyludzkie, rośnie epidemia samotności, a rolę Boga przejmują coraz bardziej inteligentne algorytmy. Czy tę przepaść da się zasypać? W tej, siódmej już edycji programu Jutronauci, którego partnerem jest Sebastian Kulczyk, ponownie spoglądamy w przyszłość, szukając najważniejszych przemian cywilizacyjnych.
- Czy czeka nas świat bez dzieci? Czy natura i AI powinny mieć własne prawa? Czy wchodzimy w wiek antyambicji w pracy? Czytaj na: **Wyborcza.pl/Jutronauci**

OŚWIADCZENIE

34287228

Najlepsze książki pod choinkę

Wybraliśmy najwybitniejsze powieści, kryminały, okładki, komiksy oraz książki dla dzieci i młodzieży



Pytali: umiesz jeść przy stole?
– z laureatką Pulitzera za „Demoną Copperheada”
Barbarą Kingsolver rozmawia Michał Nogaś



Dodatek: Jak się pisze o seksie

Zamów magazyn z darmową dostawą na:
Prenumerata24.pl

Więcej na:
Wyborcza.pl/ksiazki

W sprzedaży

Czapka niewidka jest tuż-tuż

Kieszenie, czyli minisejf dla każdego

dwunastużysiek od 10 zł

KSIAZKI

MAGAZYN DO CZYTANIA

Joanna Kuciel-Frydryszak

Chłopki naprawiają nam świat

10

KSIAZEK ROKU 2023

najlepsze kryminały, komiksy, okładki, dla dzieci

30

starannie wybranych prezentów

Sponsor numeru:

Ingmar Bergman

Dodatek: Jak się pisze o seksie

Danuta Pawłowska

Dorota Szparaga jako pierwsza kobieta pokonała solo Szlak Transkaukaski. Trasę ledwo wytyczono palcem na mapie, w terenie nie jest jeszcze w pełni oznakowana. Transkaukazja to ponad 1540 km po górach Armenii i Gruzji, a iść trzeba z namiotem, wodą i prowiantem na plecach. Część zapasów Dorocie pożarł niedźwiedź.

To, co robi Dorota – wcześniej m.in. przeszła szlak Via Alpina Red Trail, 2650 km w rekordowe 94 dni – jest ekstremalne i bywa niebezpieczne, jednak jest wyobrażalne dla ludzi z ograniczonym budżetem i kilkoma tygodniami urlopu, a przede wszystkim doświadczeniem. W Transkaukazji Dorota spędziła 76 dni, ale można też wybrać krótsze warianty i zaliczyć tylko wybrane odcinki. To jest turystyka w wersji slow i eko, ale z adrenaliną.

Masz ochotę przetrzeć nieprzetarte? Wciąż potrzeba tam ochotników.

Zaczęło się klasycznie, jak to wśród pasjonatów bywa – Dorota od znajomej przewodniczki górskiej dowiedziała się, że jest pomysł na szlak długodystansowy w górach Kaukazu. A organizacja, która go tworzy, szuka śmiałków, aby w terenie sprawdzili, czy w danym miejscu da się przejść, dostarczyli informacji o dostępie do wody, zweryfikowali miejsca, gdzie można spać i zaopatrzyć się w jedzenie.

– Dostałam ślad elektroniczny, opis szlaku w Armenii i kilka stron notatek z poszczególnych fragmentów drogi w Gruzji, bo tam formalnie ten szlak nie jest w całości wyznaczony – mówi Dorota.

Start jest w Meghri na południu Armenii i od razu zaczyna się ostro, bo już pierwszego dnia droga prowadzi na ponad 2,5 tys. m. – Armenia to wciąż nieodkryty kraj, dużo dziewiczych miejsc, taka Gruzja sprzed 15 lat – mówi Dorota. – Turystyka jest w powijakach, a już na pewno trekking nie jest popularnym zajęciem. W sumie na moim odcinku 800 km spotkałam kilkunastu turystów. Bywały dni, że nie widziałam kompletnie nikogo.

Na razie do Armenii większość turystów jedzie, żeby zdobyć szczyty takie jak Aǝdahak (3597 m n.p.m.) i Aragac (4090 m n.p.m.). Bardzo popularne jest też zwiedzanie monastyrów oraz okolic jeziora Sevan.

Idea jest taka, że każda osoba, która przejdzie szlak lub jego fragment, daje informację zwrotną organizatorom o warunkach na trasie. Czyli odkrywasz nowe źródelko, lepsze przejście, dobre miejsce do spania – dzielisz się z innymi śmiałkami.

Na początku organizatorzy ostrzegają, że jeśli decydujesz się na wędrowkę, musisz być przygotowany na chodzenie poza szlakiem. Brzmi jak rytualne zastrzeżenie, tak na wszelki wypadek – ale okazało się prawdą. – W Armenii 75 proc. trasy było nieprzebieżne lub bez wyraźnej ścieżki – mówi Dorota.

Jakie są trudności? Krzaki, młode dęby, zarośnięte ścieżki, czyli trawa po pas albo łąki po pas. A także niebezpieczny barszcz Sosnowskiego. Idziesz na azymut, nie widzisz drogi. W górach natrafiasz na osuwające się zbocza. Dorota chodziła też korytami wyschniętych rzek, które wiosną zmieniają się niespodziewanie w rwące, niebezpieczne rzeki. – W Gruzji na odcinku Ghebi – Zeskho, który teoretycznie jest wyznaczony, okazało się, że z 42 km tylko 15 było przebieżne, a przez pozostałą część drogi przedzierasza się przez wąwozy, strumienie i cały czas musisz być czujny, aby się nie pogubić.

A gubienie się było na porządku dziennym – wspomina Dorota – i to było najtrudniejsze w tej wędrowce. Cały czas musiałam mieć oczy dookoła głowy. To był pierwszy szlak, na którym mózg męczył mi się



FOT. DOROTA SZPARAGA

SĄ JESZCZE PUSTE GÓRY

bardziej niż mięśnie. Czasem GPS wyprowadzał mnie w przepaście, wtedy trzeba zawrócić, szukać obejścia, co może oznaczać kilkanaście kilometrów nadłożonej drogi, wspinaczkę i dodatkowe godziny.

Bywały łatwiejsze momenty – na przykład w Gruzji w parku narodowym Borjomi są ścieżki oznaczone jak w Tatrach, a w Swanetii już wszystko przygotowane dla turystów. – Nuda – podsumowuje Dorota.

W Armenii jest pasmo Gór Gegamskich, z najwyższym szczytem Aǝdahak, który ma prawie 3,6 tys. m n.p.m., a przewodniki ostrzegają, że przez cztery–pięć dni nie ma tam nic i trzeba mieć solidne zapasy, parę batoników nie wystarczy. Dorota zabrała więc solidny zapas żywności liofilizowanej, słodczy, izotoniki na czarną godzinę. – A paradoksalnie właśnie tam jadłam najlepiej, ponieważ od pasterzy dostawałam regularnie chleb, lawasz, czyli ormiańskie placki, ser, ziemniaki, fasolę, wszystko popchnięte kawą, słodzcami i kieliszkiem bimbru – wylicza Dorota.

– Brzmi tyleż smakowicie, co przerażająco – mówię – niezła bomba kaloryczna. – Ale ci ludzie naprawdę ciężko pracują w górach – tłumaczy Dorota. Pasterze mają krowy i owce, przeganiają je konno – a koń to oznaka statusu – mleko przetwarzają na sery, które zwożą regularnie na sprzedaż. – Raz chcieli zabić dla mnie barana, ale nie jem mięsa, więc nie mogłam na to pozwolić.

Pprzed wyjazdem konieczne są przygotowania logistyczne – wnikliwe przeczytanie wpisów na forum osób, które wędrowały po tych krajach, to podstawa, plus rzecz jasna zdobycie jak najwięcej in-

Nie zgodzę się
na chodzenie
w kolorowych
ciuchach
tylko po to,
aby oznaczyć
markę.

Są rzeczy,
których nie
będę robić, bo
zwyczajnie nie
jestem w nich
autentyczna.

Nie chciałabym
się zamienić
w ściankę
reklamową

Na odcinku 800 kilometrów
spotkałam kilkunastu turystów.
Bywały dni, że nie widziałam kompletnie nikogo

formacji o szlaku oraz zaplanowanie trasy. Dorota jednak dziś przyznaje, że jej największy strach okazał się zupełnie niepotrzebny.

– Najbardziej bałam się ludzi, bo to jednak inna kultura, silny patriarchat, a ja samotna blondynka. Wyobrażałam sobie, że będą zaczepki, a jak pasterze będą mnie zapraszać, to mam uciekać, bo na pewno mnie napadną.

A co ją spotkało? – Pierwsze pytanie od napotkanych ludzi: jak mi pomóc – mówi Dorota. Gdy dowiadawali się, że zamierza nocować pod namiotem, to było przerażenie, bo zaraz ją zjedzą wilki. A poza tym okazało się, że w obozach pasterskich rzadko widuje się samotnych mężczyzn: ponieważ mieszkają tam po trzy-cztery miesiące w roku, to sprowadzają się z całymi rodzinami. – Szybko zaczęłam chętnie korzystać z tych zaproszeń, bo mogłam podpatrzeć, jak żyją.

Do Gruzji, po prawie 900 km marszu, Dorota dotarła już poza sezonem i pasterzy w górach było mniej. Za to zderzyła się z komercją – może nie taką jak w polskich górach, ale są takie rejonry jak Swanetia, gdzie musisz zapłacić za wszystko, a ceny już całkiem podobne do europejskich.

Telefon, zapasowy telefon, nawigacja, powerbank, ładowarka solarna, czółowka i komunikator satelitarny, który służył do śledzenia na bieżąco mojej pozycji przez bliskich – Dorota zaczyna kolejną wyliczankę, gdy pytam ją o gadżety. I dodaje, że do grona bliskich, którzy widzieli jej współrzędne, doszłusowali także poznani na trasie tubylcy.

– Oni mają ogromne poczucie odpowiedzialności za swoich gości i chcą mieć pewność, że dotarłam bezpiecznie do kolejnych celów. A jeśli akurat spodziewaliśmy się, że po danym etapie może nie być zasięgu, to byliśmy umówieni na kontakt po przejściu jakiegoś kolejnego fragmentu trasy.

– Raz zatrzymało mnie wojsko w strefie przygranicznej i trudno im było zrozumieć, co ja tam robię i po co idę – uśmiecha się Dorota. – Z kolei ja myślałam, że biorą mnie za szpiega.

A okazało się, że boją się, że nie poradzę sobie w górach albo że niepostrzeżenie przejdę na stronę Azerbejdżanu i niechcący wywołam konflikt. Puścili mnie po interwencji Ormianina Araika, którego poznałam wcześniej i który im wytłumaczył, ile już przesłam, że sobie poradzę dalej i że jestem odpowiedzialna. Tylko musiałam pokazać, co mam w plecaku, i zapis GPS.

Zdarzały się także spotkania z żołnierzami, którzy robili zdjęcia dokumentów Doroty. Też nie z nieufności, tylko po to, aby kolejny patrol im potwierdził, że bezpiecznie dotarła.

Co w sytuacji naprawdę poważnych tarapatów? – Mogłam wysłać wiadomość satelitarną SOS z moją pozycją. To komunikacja w jedną stronę, potem można już tylko czekać na pomoc.

No dobrze, ale ja nie mogę się doczekać, co z tym niedźwiedziem. Wyobrażam sobie coś pomiędzy „Zjawą” z traperem Leonardem DiCaprio porzuconym w głuszy przez zdradzieckich towarzyszy a tragedią uciekającego od cywilizacji w dzicz młodzieńca we „Wszystko za życie” – i jestem trochę rozczarowana.

– Z niedźwiedziami to było tak, że wypatrywałam ich odchodów i w rejonach, gdzie były w ciągu dnia, stukalam kijami, robiłam hałas – tłumaczy Dorota.

Ale zdarzyło się bliskie spotkanie w nocy. – Pierwszy raz podszedł do namiotu, gdy jeszcze nie spałam, i przegoniłam go głośną muzyką – mówi Dorota. – Potem wyniosłam jedzenie z dala od namiotu. Niedźwiedź odczekał, wrócił, gdy zasnąłam, rozgrzebał, zjadł i sobie poszedł. To działa się na prowizorycznym polu namiotowym, zwierzęta już się zwiedziały, że tam można szukać łatwego jedzenia.

Lecz bliżej cywilizacji też można się natknąć na niedźwiedzie, które przychodzą do wiosek po jabłka nad ranem.

Pasterze w Armenii ostrzegają także przed wilkami, ale one nie są zainteresowane turystami, wolą bydło domowe.

Najgroźniejsze okazały się nie dzikie zwierzęta, ale domowe. Psy pasterskie Dorotę zaatakowały dwa razy. – Pierwszy raz przy obozie pasterskim, skuliłam się na ziemi, całe szczęście zaraz przyszła gospodyni, która odgoniła sfore, ale drugi raz już musiałam się bronić sama, otoczyły mnie trzy, dwa odgoniłam gazem, ale trzeci odszedł dopiero po półgodzinie – mówi Dorota na jednym oddechu i dopiero nabiera powietrza. – Ogromny strach miałam już do końca wędrówki.

Ponieważ redaktor, któremu zgłosiłam temat – przygodę Doroty – poprosił, żeby pokazać szerszy kontekst i wyzwania cywilizacyjne, pytam Dorotę o przyszość turystyki w czasach fly shamingu, śladu węglowego, odpowiedzialności za to, co zostawia się za sobą. Oczywiście turystyki eksploracyjnej, przygodowej, a więc z założenia skromniejszej, z większym respektem podchodzącej do krajobrazu naturalnego i kulturowego, przyrody i tradycji niż ta wypoczynkowa – ale przecież i ta szlachetna forma odkrywania świata staje się coraz popularniejsza.

– Chodzenie – odpowiada zdecydowanie. – Podczas chodzenia czy trekkingu człowiek jest bliżej natury, bardziej ją docenia i bardziej szanuje. A zaliczanie punktów samochodem, choć też nierzadko jest wyzowaniem, wiąże się, prócz emisji spalin, ze zwiększoną produkcją śmieci. Po prostu tacy eksplorery nie zawsze dbają o otoczenie, bo zaraz jadą dalej.

– Ludzie, którzy są bliżej natury, są bardziej świadomi – mówi Dorota. – Jak się myję w strumieniu, to nie używam szamponu, wszystkie śmieci noszę ze sobą.

Czyli w trekkingu jest przyszość? – Trekking wydaje się prostszą formą turystyki górskiej niż wspinaczka, ale to też jest długotrwały wysiłek, także psychiczny – zauważa Dorota. – Ta forma wypoczynku jest w stanie nie tylko dostarczyć nam dużo doznań i zachwyty czy pozwolić oderwać się od cywilizacji, ale też dać jakiś wgląd w to, kim jesteśmy. Poznanie siebie to jest prawdziwy wypoczynek. A nie zaliczanie.

Coraz więcej ludzi postanawia spróbować czegoś innego, niby bliższego, a w istocie bardziej egzotycznego niż wycieczka z katalogu czy nawet zwiedzanie samodzielne, ale standardowych turystycznych tzw. destynacji. – Widzę to po rosnącej popularności szlaków długodystansowych w Polsce.

Dorota jeszcze przed Kaukazem zrezygnowała z pracy na etacie w branży IT, a po Kaukazie jest już na sto procent pewna nowego planu na zarabianie. Będzie żyć z prelekcji, z pracy jako przewodnik, właśnie pisze książkę.

Tak, zdaje sobie sprawę, że freelance to ryzyko. Nie tylko niepewnego chleba i życia od zlecenia do zlecenia. Na takim freelansie bywają także wtopy. – Dostałam zaproszenie jako podróżniczka na prom. Ucieszyłam się, że będę miała prelekcję na Bałtyku. Mina mi zrzedła, gdy dostałam link z informacjami o wydarzeniu – śmieje się Dorota. – Chodziło o imprezę dla singli, taki speed dating, a ja miałam być atrakcją przy jednym ze stolików. To jeszcze byłoby nawet zabawne, gdyby nie okazało się, że część kosztów miałam sama sobie pokryć. Moim honorarium miało być samo zaproszenie!

Podróżnicy zarabiają też na Instagramie, trzeba tylko uezierać co najmniej 10 tys. obserwujących. Dorota mogłaby recenzować rzeczy, które sprawdziły się jej na szlaku, jednak otwarcie mówi, choć to nie w jej interesie, że nie ma wielu gadżetów czy ubrań, które przeszły taką długodystansową weryfikację.

– Nie zgodzę się na chodzenie w kolorowych ciuchach tylko po to, aby oznaczyć markę. Są rzeczy, których nie będę robić, bo zwyczajnie nie jestem w nich autentyczna i ludzie to widzą – mówi Dorota. – Nie chciałabym się zamienić w ściankę reklamową. ●

Dramat

„Skacząc przez ogrodzenia TVP, czolgając się pod bramkami, udało mi się dotrzeć do kolegów i przekazać im kanapki, bo chcieli ich wziąć głodem”.

Michał Rusinek



„Kiedy wróciłem parę dni temu z Krakowa o trzeciej w nocy i otworzyłem telewizor, zobaczyłem, że nie ma sygnału, zadzwoniłem do jednej osoby, potem do drugiej, a potem do samego prezesa Telewizji Polskiej Matyszkowicza, czy to już, czy to sposób, który został zastosowany w stanie wojennym. [...] Okazało się, że to tylko mój błąd, że nie dokonałem odpowiednich zmian w moim telewizorze” – powiedział Jarosław Kaczyński w wywiadzie dla Radia Wnet. Jest to wypowiedź interesująca na kilku poziomach.

Po pierwsze, zdumiewający jest pomysł dzwonienia w takim przypadku nie do pomocy technicznej lub kogokolwiek, kto ma obeznanie w sprawach technicznych, ale do prezesa TVP. Telewizję publiczną wyobrażać sobie musi Kaczyński jako organizm przypominający gigantyczną ośmiornicę, której wszystkie odnóża zakończone są odbiornikami, a głowę stanowi prezes Matyszkowicz. Głowa musi wiedzieć, co się stało. Odnóża – niekoniecznie. Po drugie, pomysł dzwonienia do kogokolwiek o trzeciej nad ranem wydaje się dość brawurowy, chyba że jest to sprawa życia i śmierci. Albo Kaczyński brak sygnału we własnym telewizorze uznał za taką właśnie sprawę, bo może się przestraszył, że po raz drugi przespał, a właściwie przegapił, rewolucję, albo uważa, że prezes TVP musi być przez dwadzieścia cztery godziny na dobę do dyspozycji prezesa partii do niedawna rządzącej.

Po trzecie, ta arcyzabawna anegdota nawiązuje do historii przytaczanej przez Hannę Krall w opowiadaniu „Spotkanie w Dolinie Białego”. W czasie powstania węgierskiego w 1956 roku „Budapeszt zajęła Armia Radziecka i grupę powstańców [...] załadowano na ciężarówkę. Samochód wyjechał z miasta i skręcił w las. Był wieczór. Po paruset metrach zatrzymali się i konwój dał znak: wysiadać. Najstarszy z powstańców zeskoczył pierwszy, wyprostował się, obciągnął sweter i zaczął śpiewać hymn narodowy. Za nim zeskakiwali następni i z pieśnią na ustach, z podniesionymi głowami ruszali przed siebie. Żołnierze radzieccy patrzyli przez chwilę zdziwieni, wreszcie jeden rzekł: – Eto nie budiet pif-paf. Eto budiet siu-siu”. W podobnej sytuacji został postawiony Jacek Kuroń i inni internowani w stanie wojennym, których pewnej nocy gdzieś przewożono: „W pewnym momencie kolumna ciężarówek zatrzymała się w lesie, kazali wysiadać w kopny śnieg. [...] Jacek pomyślał: »A więc to koniec?«. Ale nie. Konwojenci zablądzi na zaspanych śniegiem drogach, a zawracając, zrobili przerwę, żeby ulżyć pęcherzom” – jak opisuje Anna Bikont. I to jest lepsze skojarzenie, bo w pisowskiej narracji o tym, co się dzieje w TVP, najczęściej będą się bowiem pojawiać nawiązania właśnie do 13 grudnia. O tym za chwilę.

Po czwarte, na wypowiedź prezesa PiS zareagował szybko Krzysztof Luft: „Kaczyński nie miał telewizora dostosowanego do

standardu DVB-T2, więc 18 grudnia stracił sygnał TV. To znaczy, że od 1,5 roku oglądał wyłącznie TVP, bo tylko TVP nadawała dotąd w starym standardzie. To wiele wyjaśnia – żył w świecie TVP Info”. Cisną się nam na usta dwa pytania: gdzie oglądał ro-deo? I czy publiczna telewizja nie nadawała wyłącznie dla jednego widza? Przypomina się tu piosenka Wojciecha Młynarskiego „Po co babcię denerwować”: „My mieszkamy na parterku, babcia w oficynie, / drepce, żadna informacji o całej rodzinie. / Lecz choć u nas trwa od rana z sandomką gomorka, / babci o tym się nie mówi, by była w humorku”. I w ogóle żaden fakt nie stanie się dla babci udręką, „Bowiemy się drukuje dla niej osobne pismo, / Na domowej drukarence wszystko się wyłuszcza, / i w ogóle się babuni na parter nie wpuszcza”. Zamiast osobnej drukarenki była po prostu osobna stacyjka.

Przekształcenie owej stacyjki z powrotem w telewizję, w dodatku publiczną, a nie partyjną, wywołuje wśród polityków i publicystów prawicy reakcje ciekawe językowo i literacko. Najczęściej, jak już wspominaliśmy, pojawia się analogia do stanu wojennego: zamiast o ogłoszonej przez Donalda Tuska Koalicji 15 Października mawia się o „koalicji 13 grudnia”, Marek Suski o marszałku Sejmu Szymonie Hołowni mówi: „nowy Jaruzelski”, „Jaruzele” kontra wuwuzele, bo Ryszard Terlecki, przychodząc z odsieczą pracownikom dawnej telewizji, uzbroidł się w ten właśnie przedmiot. TV Republika twierdzi, że „trwa operacja specjalna Tuska i plk. Sienkiewicza przeciwko mediom publicznym” – sugerując, że działania rządu przypominają inwazję Rosji na Ukrainę. Pojawiają się informacje o „zielonych ludzikach”, także niosących przecież skojarzenia z Rosjanami, oraz „białoruskie standardy”. A także wywołująca geograficznie inne skojarzenia „junta Tuska” i prowokująca historyczne skojarzenia „okupacja” i „okupanci”. Zdarzają się też „osilki od Sienkiewicza”. I to nazwisko prowadzi nas w najważniejszym kierunku.

Natrafić można bowiem na przepelniające serca nadzieją informacje o „przybywającej najmocniejszej odsieczy” albo odsiecz „w osobie Jarosława Kaczyńskiego” – być może chodzi o tę samą odsiecz. Rysuje się nam więc wizja budynku przy ul. Woronicza jako oblężonej twierdzy, w której bohaterstwo broni się garstka „naszych”. Poseł Marek Suski na antenie TV Republika relacjonuje: „Pokonując liczne przeszkody, skacząc przez ogrodzenia, czolgając się pod bramkami, przenikając przez zamknięte drzwi, udało mi się dotrzeć do kolegów i przekazać im kanapki, bo chcieli ich wziąć głodem”. Jest to gotowy fragment filmowego scenariusza, bardzo dynamiczny (skoki, czolganie się), z elementami nadprzyrodzonymi (przenikanie przez zamknięte drzwi). Najważniejsze jest jednak „branie głodem”, bo – podobnie jak „szturm” czy „odsiecz” – żywcem wzięte z „Potopu” („Tejże nocy, najdalej we dwie godziny po odejździe oddziału Wołodyjowskiego, przybył do Billewicz na czele jazdy sam Radziwiłł, który Kmicicowi na odsiecz szedł”) albo „Pana Wołodyjowskiego” („Jeszcze parę szturmów – mówił mały rycerz – a jak Bóg na niebie, Turcy się zniechęcą i głodem będą nas chcieli zniewolić. A owóz zapasów jest dość”).

Oto bowiem prawdziwy dramat obrońców pisowskiej telewizji rozgrywa się na planie języka: im bardziej chcą nam oni zohydzić działania ministra kultury Bartłomieja Sienkiewicza, tym bardziej popadają w język jego dziadka, Henryka. Ba, nie można wykluczyć, że ostatnie ich zdanie będzie brzmiało: „Bar wzięty!”. Aż ku si, żeby zadzwonić do nowego prezesa telewizji i zaproponować mu, by wyprodukował film o całej tej sytuacji. Byłe nie o trzeciej nad ranem. ●

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL



Weekendówka

84

OD TEJ PORY!

Autorem wielu haseł jest **Andrzej Kulasek**

Tradycję mają wielowiekową. Co takiego? Postanowienia noworoczne. Starożytni Babilończycy jakieś 2 tysiące lat przed naszą erą celebrowali nadejście Nowego Roku – przypadał na dzień wiosennej równonocy, w marcu, kiedy też rozpoczynały się prace w polu. Podczas 12-dniowego święta nazywanego Akitu w Babilonii koronowało się nowego króla bądź oddawało hołd panującemu, składano ofiary bogom, obiecywano też zwrot pożyczzonego sprzętu do uprawy roli oraz spłatę długów.

Ci, którzy swoich przyrzeczeń dotrzymali, mieli być obdarzeni przez bogów łaską i przychylnością. Gorzej z tymi, którzy mieli z tym kłopot. Bo mieli kłopot – bóstwa mogły się od takich delikwentów odwrócić.

Zwyczaj Babilończyków przyjęli Rzymianie, którym za czasów Juliusza Cezara nieco pozmieniał się kalendarz – zgodnie z wprowadzonym nowym, juliańskim nowy rok rozpoczynał się 1 stycznia, w miesiącu, który nazwę wziął od boga Janusa. Ów Janus miał dwie twarze, patrzył na stary i nowy rok, zatem był idealnym adresatem takich postanowień.

Średniowieczni rycerze mieli też zwyczaj przed nowym rokiem potwierdzać swą wierność rycerskiemu etosowi.

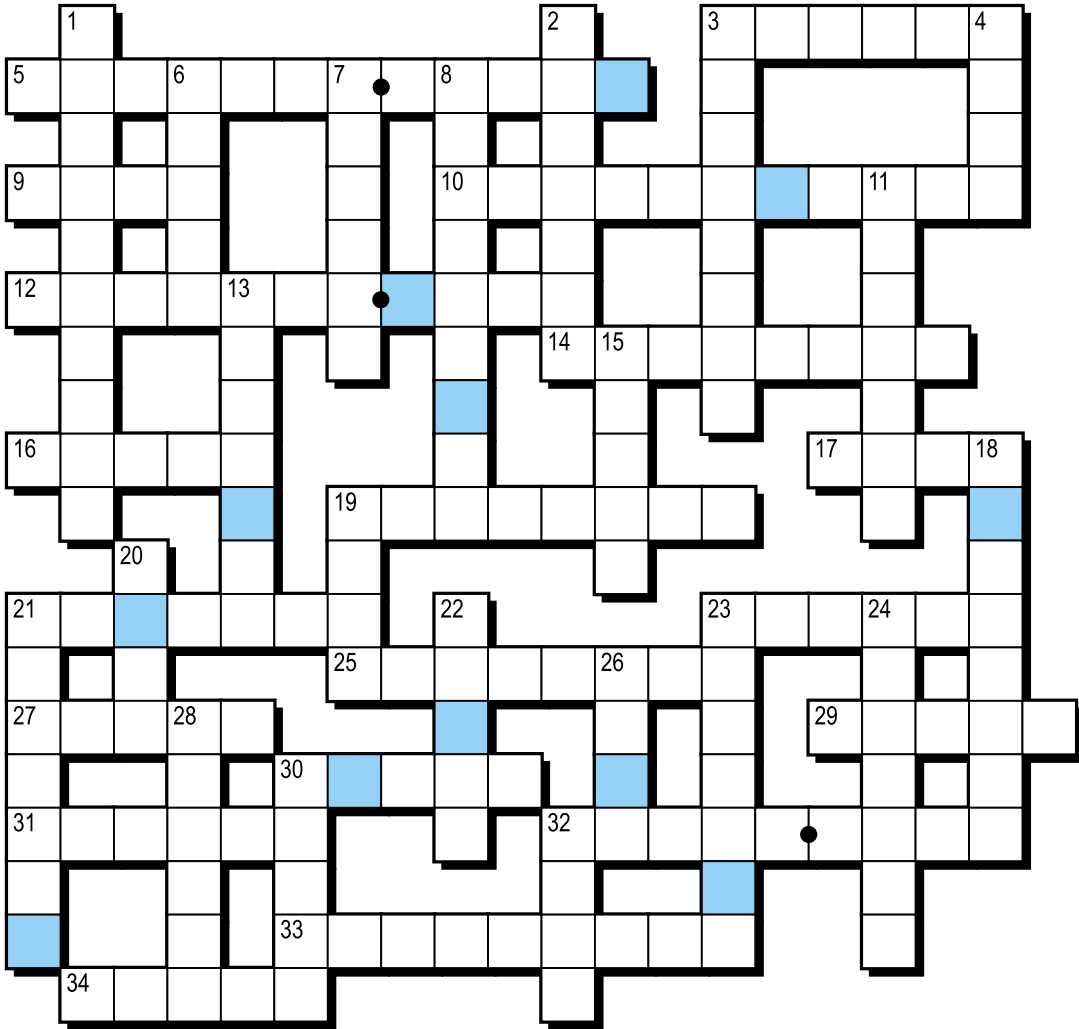
A dziś? Dziś rzecz jasna również obiecujemy sobie wiele. A to że będziemy uprawiać więcej sportu (chyba najczęstsza deklaracja), będziemy się zdrowo odżywiać, schudniemy, nauczymy się języka obcego czy znajdziemy więcej czasu dla najbliższych.

Są też tacy, którzy obiecują sobie znalezienie nowej pasji życiowej czy przeczytanie określonej liczby książek.

Postanowienia robimy dość powszechnie, chętnie i z nadzieją. Za to z wytrwaniem w nich jest już znacznie gorzej. Kpiono z tego „słomianego zapалу” już w XIX wieku, kpi się i dziś, ale nie zmienia to faktu, że z każdym kolejnym nowym rokiem mamy nadzieję na nowe otwarcie, „nowych nas”, że już od tej pory to na pewno!

Co z tego wychodzi – raczej wielu z nas miało się okazję przekonać. Niestety. Niżej podpisany podobnie. Dlatego do dzisiejszej „Weekendówki”, która noworocznych przyrzeczeń właśnie się tyczy, postanowił stanąć sam, by się z postanowieniami choć w ten sposób zmierzyć. A może wtedy łatwiej przyjdzie tych noworocznych dotrzymać? I tu rada: nie deklarujcie jakiegś szajstnej listy, zróbcie jedno, ale spróbujcie się go konsekwentnie trzymać. I już będzie dobrze. Wszystkiego dobrego w nowym roku! ●

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki” nr 83 z 23.12:

Poziomo:

- 1) czapa 9) bielizna
- 10) wymienniki 12) Green
- 13) ławy 14) sople 16) nogi
- 15) Laponia 17) kłęby 18) Nowy Rok 24) krikomora
- 27) zapasy na zimę 28) ręce
- 29) drań 31) Hemingway
- 33) Wyspa 35) Barbara
- 37) Różczka 38) Żyła
- 39) gawry 40) dekoracje

Pionowo:

- 2) zimowka 3) piec 4) olimpiada 5) Hej, kołęda, kołęda
- 6) bieguny 7) śnieżynki
- 8) zwały 9) bielizna 11) śniegi
- 14) sen zimowy 15) lis polarny
- 16) płozy sań 20) curling
- 21) szopka 22) narciarka
- 25) ogr 26) zamiecie 30) Ryby
- 31) Harry 32) wiatr 33) wróg
- 34) Snow 36) róża

HASŁO:

PIERWSZA GWIAZDKA

POSTANOWIENIA

Hasta Andrzeja Kulaska oznaczono inicjałami (AK). Litera w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 3) powodzenie w realizacji planu
- 5) bohaterka powieści Helen Fielding „Dziennik ...”, spisująca listę noworocznych postanowień
- 9) każdy powinien je mieć, nie tylko więźniowie
- 10) ułatwia planowanie; terminarzyk
- 12) razem ze Śnieżynką w Nowy Rok przynosi prezenty rosyjskim dzieciom

- 14) oczywiście, że się spełniają!
- 16) „Weronika postanawia umrzeć” i „Wygrane marzenia”
- 17) kap, kap... Ale w nowym roku na pewno naprawię (AK)
- 19) w 2024 r. więcej czasu poświęcić na ... książek!
- 21) żal za grzechy i mocne postanowienie ... (wpisujemy w mianownik)
- 23) „Na Nowy Rok” Adama Asnyka lub „Żegnamy dzisiaj rok stary” Jana Kasprowicza
- 25) kupić na nią karnet to nawet nie połowa sukcesu, niestety (AK)
- 27) zestawienie postanowień
- 29) Nowy Rok – ... wolny od pracy

- 30) w 2024 r. znaleźć nową i lepszą!
- 31) w 2024 r. wreszcie z nimi zerwać!
- 32) wytrwałość w realizacji wyznaczonych sobie celów
- 33) zachęta, bodziec, pobudka (mieć ... do działania, do zmian)
- 34) kierunek studiów, na których dowiemy się, jak wydawać postanowienia (k.p.a.)

Pionowo:

- 1) postanowienie sądu
- 2) pragmatyzm, racjonalizm np. w wyznaczaniu sobie celów
- 3) a może by z nich zrezygnować? Tylko wtedy nowy rok będzie jakiś gorzki... (AK)

- 4) na Nowy Rok przybywa dnia na barani ...
- 6) wskazana, gdy chce się schudnąć
- 7) instrumenty kojarzące się z Rosz Haszana – świętem rozpoczynającym nowy rok w judaizmie
- 8) osoba, przeciw której wszczęto postępowanie karne (wcześniej otrzymał postanowienie o przedstawieniu zarzutów)
- 11) mierz siły na ... (patrz: 2 pionowo)
- 13) postanowienie
- 15) wielu z nas się marzy, może uda się w nowym roku? (AK)
- 18) ... umiera ostatnia dla rodziny, przyjaciół, znajomych!

- 20) zestawienie postanowień
- 21) albo zdrowie, i lepiej to je wybierzcie (AK)
- 22) pobory, pensja (w 2024 r. wywalczyć podwyżkę!)
- 23) wątpliwości, rozterki np. przed podjęciem decyzji
- 24) nocne Polaków ...
- 26) ... z realizacji zeszłorocznych postanowień (fiasco)
- 28) dbałość o coś, zainteresowanie kimś lub czymś
- 30) postanowienie nadesłane przez urząd, sąd
- 32) 31 grudnia 2024 r. poczuć ... zwycięstwa!

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

34225722

Byle do Weekendówki

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ